

 HARLEQUIN®
TM

POWIEŚĆ
HISTORYCZNA

WYJĄTKOWA AUTORKA Z LISTY
BESTSELLERÓW NEW YORK TIMES

KASEY
MICHAELS

DŻENTELMEN
I GUWERNANTKA

Kasey Michaels

Dzentelmen i guwernantka

*Tłumaczenie:
Anna Pietraszewska*

Gdyby nie kobiety, bycie mężczyzną byłoby nie do zniesienia.
O.A. Battista

PROLOG

Angielskie ścierwo, francuska swołocz. Durni Angole, względnie przeklęte żaboja-dy. To tylko niektóre z przemysłnych inwektyw, jakimi od stuleci obrzucają się na-wzajem zwaśnione narody Anglii i Francji.

Historię odwiecznych wrogów można by opisać jako niechlubne dzieje zawiści i pasmo nieustających zatargów albo jak kto woli, kronikę wymiany niezliczonych wyzwisk i złorzeczeń. A wszystko to przeplatane przebłyskami nieżyczliwego podzi-wu.

Krótko mówiąc, obie nacje od wieków pałają do siebie żarliwą nienawiścią. O dzi-wo nie przeszkadza im to wykorzystywać się wzajem do własnych partykularnych interesów.

Weźmy na przykład handel, który kwitł w najlepsze nawet w czasach najkrwaw-szych konfliktów. Z tym zastrzeżeniem, że podczas wojen nie nazywano go han-dlem, lecz przemytem. Najwyraźniej Anglicy nie potrafią się obejść bez francuskiej brandy, a Francuzi bez angielskiego złota i angielskiej wełny. Zresztą, pokój nie trwał nigdy na tyle długo, by ktokolwiek zdążył do niego przywyknąć albo uwierzyć w jego długotrwałość.

Zdarzały się wszakże wyjątki, a to w osobach arystokratów cierpiących na chro-niczną i nieuleczalną manię wielkości. Owi nieliczni lordowie, którym Stwórca w swej łaskawości nie poskąpił sprytu i rozmachu, stawiali się w roli zbawców. Głę-boko przekonani o sile swych prężnych umysłów ufali, że zdołają pogodzić poróżnio-ne narody, na zawsze kładąc kres wszelkim sporom. Przy okazji, a raczej przede wszystkim, mieli się przy tym nieźle obłowić, ewentualnie podnieść splendor (w myśl dewizy, że świetności i zaszczytów nigdy za wiele).

Jednym z takich właśnie samozwańczych mężów opatrznościowych był Charles Redgrave, szesnasty hrabia Saltwood. Znał historię i ludzkie słabostki na tyle do-brze, by wierzyć, że znienawidzony przez poddanych król Francji spełni jego ma-rzenia i pomoże mu zostać nominalnym władcą Wielkiej Brytanii. W żyłach Redgra-ve'a płynęło ponoć kilka kropel królewskiej krwi Stuartów, ponadto hrabia dyspono-wał nieprzyzwoitym bogactwem oraz wystarczająco rozległym majątkiem ziem-skim, aby w razie potrzeby proklamować się monarchą własnego, całkiem sporego królestwa. Wszystko to czyniło go, jak mniemał, właściwym kandydatem do roli gło-wy państwa.

Naturalnie zdawał sobie sprawę z tego, że pomoc Ludwika XV nie będzie bezinter-esowna. Wiedział, że przyjdzie mu odwdzięczyć się za przysługę, lecz zwyczajnie bagatelizował sprawę. Przypuszczał, że wystarczy, jeśli dokona skutecznego zama-chu na życie kompletnie zidiociałego Jerzego III^[1].

Być może będzie musiał zgładzić także arcybiskupa Canterbury. Ot, błahostka. Nie obejdzie się wprawdzie bez zapłaty w złocie, ale co tam. Skarbiec państwa ja-koś przetrzyma ów niewielki uszczerbek. W końcu cel uświęca środki. A cel jest niebagatelny. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, skorzystają na tym wszyscy. Ludwik odzyska popularność, a Charles zrealizuje swe największe życiowe ambicje.

Na dobitek, wreszcie zapanuje pokój pomiędzy skłóconymi narodami, a to wyłącznie dzięki niemu, dzięki Charlesowi IV z dynastii Stuartów.

Niewiarygodne? Cóż, hrabiemu niewątpliwie brakowało piątej klepki. Niewykluczone jednak, że jego obłęd graniczył z geniuszem. W szaleńczym planie Saltwooda tkwił bowiem pewien potencjał. Przy odrobinie szczęścia i sprzyjającym splocie okoliczności mogło mu się powieść. Na szczęście opatrność powstrzymuje czasem od okrutnego mordy tych, którzy rozpoczynają wielkie przedsięwzięcia.

W każdym razie tak się stało w tym konkretnym przypadku. Zanim sprawy wymknęły się spod kontroli, obaj zainteresowani zostali wezwani na Sąd Ostateczny. Ludwik odszedł z tego świata, tak jak żył, w aurze nienawiści, Charles zaś do śmierci pozostał niespełniony.

Kilkadziesiąt lat później na scenę wkroczył Barry Redgrave, siedemnasty hrabia Saltwood. Dowiedziawszy się o śmiałych projektach ojca, postanowił kontynuować jego dzieło. Niebagatelne znaczenie miały także metody, jakimi niezrównany papa posługiwał się w drodze do upragnionego celu. To właśnie one w szczególności przypadły mu do gustu. Odczuwał przyjemny dreszczyk emocji na samą myśl o tym, w jaki sposób mógłby je rozwinąć i udoskonalić.

Wzorem ambitnego rodzica Barry również zwrócił oczy ku Francji i ku osobie Ludwika XVI. Nie zamierzał jednak nikogo mordować. Nie lubił brudzić sobie rąk. Uważał to za rzecz w bardzo złym guście. Zamiast tego postawił na politykę. Wystarczyło przekonać Anglię, aby udzieliła poparcia Ludwikowi. Wszak francuska rewolucja mogła niczym zaraza przenieść się na rodzimy grunt. Sądził, że ów argument załatwi sprawę, król Francji zaś oraz jego urocza małżonka, Maria Antonina, z wdzięczności pomogą mu dokonać zamachu stanu i zasiąść na angielskim tronie. Nic prostszego.

I tym razem interweniował los. W chwili upadku Bastylji Barry padł trupem podczas pojedynku. Na tamten świat wyprawiła go strzałem w plecy rzekomo niewierna hiszpańska małżonka. Niedługo potem Ludwik stracił głowę. Dosłownie i w przenośni.

Najdziwniejsze w całej sprawie jest to, że obaj Saltwoodowie obrali tę samą, dość dziwną drogę do celu, a mianowicie, zgromadzili wokół siebie grono zamożnych arystokratów o nieograniczonych wpływach politycznych. Współ z nimi stworzyli tajną organizację o jakże prostej i niewzbudzającej podejrzeń nazwie. Za fasadą zwyczajnego klubu dżentelmenów kryło się jednak przeżarte pychą i zepsuciem stowarzyszenie najgorszych zwyrodnialców i dewiantów, jakich wydała angielska ziemia. Początkowo grupa liczyła zaledwie dwunastu, może trzynastu członków, lecz jej rozentuzjzmowani ojcowie założyciele wkrótce zwerbowali kolejnych zwolenników, niektórych po dobroci, innych łagodną perswazją (czytaj: perfidnym szantażem). Po śmierci Charlesa stowarzyszenie zeszło do podziemia tylko po to, aby powstać niczym Feniks z popiołów za czasów jego syna. Następnie, po przedwczesnym zejściu Barry'ego, panowie znów zmuszeni byli zawiesić działalność.

Nieświadome angielskie społeczeństwo ani chybi odetchnęłoby z ulgą, gdyby tylko wiedziało o istnieniu diabolicznej organizacji sadystycznych degeneratów wielbiących rozpustę i dręczenie słabszych, Bogu ducha winnych ofiar.

Potomkowie szalonych Saltwoodów zamietli ową wstydliwą kartę dziejów głęboko

pod dywan i zaczęli żyć własnym życiem z nadzieją, że nikt nigdy nie odgrzebie jej zatechłego truchła.

Czterej synowie Barry'ego i Maribel osiągnęli dorosłość i z podniesionym czołem weszli do towarzystwa. Naturalnie, nie odstępowala ich aura skandalu, związanego z niecodziennym zgonem ojca, w który była ponoć zamieszana ich matka. Czasem ten czy ów przedstawiciel socjety napomykał też o klubie „niegrzecznych” dżentelmenów, któremu jakoby przewodzili ongiś ich przodkowie. Młodzieńcy niewiele sobie z tego robili. W żaden sposób im to nie ciążyło, przeciwnie, przydomek skandalistów przydawał rodzinie popularności.

Największą skandalistką była wszak ich niepoprawna babka, lady Beatrix (dla przyjaciół Trixie), która nie miała w sobie nic ze statecznej hrabiny wdowy. Lubowała się w romansach i miała cały szwadron kochanków. Nikt nie byłby w stanie ich zliczyć. Nawet ona sama straciła rachubę.

Niestety dobre samopoczucie Redgrave'ów miało się wkrótce skończyć. Jakiś miesiąc temu osiemnasty hrabia Saltwood, Gideon Redgrave, ku swemu zdumieniu i oburzeniu odkrył istnienie tudzież mało chwalebny naturę stowarzyszenia, które stworzyli niegdyś jego rodzic i dziad. Co gorsza, parszywa trzynastka ponad wszelką wątpliwość reaktywowała działalność. Tym razem panowie spiskowali przeciw ojczyźnie nie z kim innym jak z Napoleonem Bonaparte.

Bracia Redgrave'owie popatrzyli na siebie podejrzliwie, lecz szybko uznali, że żaden z nich nie jest ani na tyle głupi, ani na tyle szalony, żeby wyciągać z szafy starego trupa. Kiedy już ustalili, że prowodyrem spiskowców jest ktoś spoza rodziny, postanowili połączyć siły i za wszelką cenę powstrzymać łajdaka.

Stawka była wysoka. Chodziło przecie o dobro Anglii. I dobre imię rodziny. Niechlubne epizody z życia ich ojca i dziada powinny pozostać tam, gdzie ich miejsce, czyli pod najgrubszym dywanem w Redgrave Manor.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1810

Lord Spencer Perceval^[2], pełniący zaszczytne funkcje premiera oraz lorda kanc-
lerza^[3] Wielkiej Brytanii, rozsiadł się wygodnie w swoim ulubionym fotelu w gabi-
necie przy Downing Street 10. Przed niespełną minutą zakończył najważniejszą
tego dnia misję, a mianowicie utulił do snu tuzin pociech. Dzieci stanęły przed nim
w szeregu niczym żołnierze na musztrze. Kiedy z uśmiechem całował je w czoło,
każde po kolei ukłoniło się lub dygnęło. Potem żona ułożyła wszystkie latorośle do
łóżek i otuliła kołdrą. Kiedy spojrzała na męża, w jej oczach migotały znajome psot-
ne ogniki. Wyglądała dokładnie tak samo jak w dniu, w którym się jej oświadczył.
Bez trudu namówił ją wówczas, żeby uciekła z domu i wyszła za niego, nie zważając
na protesty nieprzychylnego ich związkowi ojca.

Nagle ktoś podszedł bezszelestnie do biurka i postawił przed nim srebrną tacę.

- Przekąskę, milordzie? Wyznam, że jestem pełen podziwu. Nie lada wyczyn.
Swoją drogą, piękną ma pan gromadkę. Wszystkie z jednego miotu? O, *pardon*,
w końcu to nie szczenięta. Tak czy owak, pogratulować. Wspaniałe potomstwo. Do-
prawdy imponujące...

Perceval odetchnął z ulgą i wyraźnie się odprężył. Dopiero teraz zauważył, że
kurczowo zaciska ręce na poręczach krzesła.

- Powinienem być się domyślić, że to ty, Redgrave. Chociaż spodziewałem się ra-
czej Saltwoda we własnej osobie. Jak się tu dostałeś, do diaska? To miejsce jest
strzeżone niczym forteca.

- Słuszne pytanie, wasza lordowska mość - odparł ze swadą Valentine, zajmując
miejsce naprzeciw rozmówcy. - Zwłaszcza z pańskiego punktu widzenia. - Założyw-
szy nogę na nogę, splótł dłonie na kolanie. Miał na sobie strój wieczorowy i choć
czuł się tu jak u siebie w domu, nie wypadało się przecież garbić. - Co się tyczy
mego brata, jestem pewien, że kazałby przekazać panu najserdeczniejsze pozdro-
wienia... gdyby tylko wiedział, że zamierzam... wpaść z niezapowiedzianą wizytą.
Zechce pan oświecić mnie w pewnej kwestii? Otóż od bez mała dwóch tygodni na
próżno usiłuję wyblagać pańskiego podsekretarza o prywatną audiencję. Czy mam
rozumieć, że mnie pan unika, milordzie?

- Skądże znowu - zapewnił pospiesznie premier. - Zajmowały mnie bez reszty...
inne sprawy, ot co - dodał, unikając wzroku gościa.

- Cóż, my Redgrave'owie także nie próżnowaliśmy. Pochłaniały nas równie ważne
kwestie... Nie żeby waszą lordowską mość interesowało, jakie poczyniliśmy postę-
py.

- Jak to „poczyniliśmy”? Chyba raczej jakie „ty” poczyniłeś postępy. A skoro o po-
stęпах mowa, wiedz, że trzymam rękę na pulsie. Tak się składa, że lada moment
mam otrzymać najświeższy raport od lorda Singleton. Właściwie to już powinien le-
żeć na moim biurku... Zaraz go poszukam...

Val uśmiechnął się, przypomniawszy sobie zaskakujący list od siostry, który nad-

szedł z Redgrave Manor wraz z wetkniętym do środka oficjalnym sprawozdaniem Simona Ravenbilla.

- Obawiam się, że mego przyszłego szwagra zaprzęta obecnie coś znacznie ciekawszego niż spisywanie szczegółowych relacji wydarzeń. Przeprasza za opieszałość, a zamiast meldunku przysłała mnie jako swego zaufanego emisariusza.

Lord kanclerz zainteresował się rozmową.

- Dalibóg, uszom własnym nie wierzę! Raczysz chyba żartować? Zdołaliście zdeprawować nawet czystego jak łąza markiza Singleton? Nie może być... Zawsze wiedziałem, że niezgorsze z was ancymony, ale żeby sprowadzić na manowce Ravenbilla? Nie przypuszczałem, że to w ogóle możliwe.

- Przy odrobinie zapału i dobrych chęci wszystko jest możliwe, milordzie. Spieszę jednak donieść, że w tym konkretnym wypadku nie działaliśmy wspólnie. Rzeczonej „deprawacji”, jak pan był łaskaw to ująć, dokonała nasza urocza siostra. W pojedynkę, bez niczyjej pomocy. Nie wątpię, że oboje będą zaszczyceni, kiedy przekażę im od pana życzenia wszelkiej pomyślności na nowej drodze życia. Za pozwoleniem, jakkolwiek miła jest nasza pogawędka, najwyższa pora, abyśmy przeszli do sedna. Mamy do omówienia o wiele ważniejsze sprawy, nie sądzi pan?

- Owszem, bezczelny szczeniaku, ale sam zadecyduję, o czym i w jakiej kolejności będziemy dyskutować. Twoje zuchwalstwo nie ma sobie równych. Chcesz powiedzieć, że markiz nie napisał do mnie ani słowa? Jest aż tak zadurzony, że zmąciło mu rozum?

- Przeciwnie, rzekłbym, że z rozumem u niego wszystko w jak najlepszym porządku. Rzecz w tym, że trudno mu odróżnić przyjaciół od wrogów. W podobnej sytuacji pan także nie ryzykowałby przesyłania niczego na piśmie, nieprawdaż? - Valentine, podobnie jak jego bracia, nie lubił kłamać. Wolał mówić prawdę prosto w oczy, nawet tę niemile widzianą. Tylko ich siostra Katherine uciekała się do innych metod, a mianowicie stosowała sztukę uniku, którą opanowała do perfekcji. Potrafiła bez wysiłku uchylić się od odpowiedzi na najbardziej niewygodne pytania. - Domyślam się, że to za sprawą dzieci wasza lordowska mość nie jest usposobiony do rozmowy o interesach. Pewnie wolałby pan wzuć bambosze i zapalić fajkę. Cóż, to zupełnie zrozumiałe. Wezmę to pod uwagę i będę się streszczał.

- I słusznie. Nareszcie mówisz do rzeczy. Masz kwadrans. Potem każę zakuć cię w kajdany i wtrącić do aresztu za to, że miałeś czelność nachodzić mnie w domu.

- Naturalnie, w pełni rozumiem pańskie rozdrażnienie - rzekł Val, podnosząc się z miejsca. Na siedząco prezentował się jedynie imponująco, za to na stojąco onieśmielał wręcz swoją słuszną posturą. Z ponadprzeciętnym wzrostem i ciemnymi włosami, wszyscy bez wyjątku Redgrave'owie, nie wyłączając Kate, budzili respekt. Niewątpliwie przychodziły im w tym z pomocą hiszpańskie korzenie. W końcu byli nieodrodnymi dziećmi swojej matki, która strzeliła ojcu w plecy, aby uchronić przed śmiercią kochanka. Kochanka, który na domiar złego był Francuzem. Taka hańba nie pozostaje bez echa, dlatego nietrudno było sobie wyobrazić pistolet w dłoni Valentine'a. Zwyczajnie miał to we krwi.

Tym razem jednak uklonił się nisko, aby zaznaczyć, że pozostaje do dyspozycji premiera.

- Oddaję się w pańskie ręce, milordzie - oznajmił z powagą. - Jako skazaniec

mam tylko jedno życzenie. Proszę upewnić się, że owe kajdany są czyste. Jak pan widzi, mam na sobie najlepsze ubranie.

Lord kanclerz spojrział na niego niewzruszony. Najwyraźniej był odporny na jego urok osobisty.

- Na miłość boską, Redgrave, oszczędź mi tych niedorzeczności. Nie pora na zbytki. Przestań pleść trzy po trzy, nim stracę cierpliwość. Jesteś bardziej nieznośny niż moje dzieci, kiedy próbują zrobić psikusa piastunce. Siadaj i mów jak na spowiedzi, co ustaliliście. Ty i nasz Romeo.

- Ja, wasza lordowska mość? Pochlebia mi pan, ale obawiam się, że jest pan w błędzie. Ja niczego nie odkryłem. Z zapamiętaniem oddawałem się... przyziemnym przyjemnościom, jeśli pojmuje pan, o co mi idzie.

- A jakże, pojmuję. Bałamuciłeś pewno jakąś niewinną pannę, łajdaku. Kto wie, może nawet zwodziłeś kilka naiwnych dzierlatek naraz. Twoja reputacja nie pozostawia żadnych wątpliwości ani tym bardziej nadziei na to, że ktokolwiek zdoła cię zreformować. Rozumiem, że to przykrywka, ale na Boga Ojca, są jakieś granice. Takiego zachowania nie usprawiedliwiają nawet powierzane ci tajne misje. Dobrze wiem, że od czasu do czasu zatrudnia cię jakiś wysoko postawiony dureń z rządu. Dureń, który jest na tyle głupi, by ci ufać. Ale strzeż się! Uprzedzam, że jeżeli za chwilę nie zakończysz tej farsy i nie zaczniesz gadać z sensem, nie pomoże ci żaden wpływowy przyjaciel. Mało przytulna, zatęchła cela już na ciebie czeka.

A niech to, pomyślał Redgrave. Perceval nie jest głupi. Naturalnie, że dowiedział się o jego okazjonalnej... nazwijmy to... służbie dla kraju. Nawet jeśli nie ma pojęcia, kto go zatrudnia, nie powinien się nim zanadto interesować. Jego zaangażowanie mogłoby się okazać zbyt niebezpieczne.

- Wybacz pan, milordzie, trochę się pogubiłem. Wspomniał pan coś o jakichś misjach... zatrudnieniu? Ja i praca? Dobrze sobie. Daruje pan, ale te dwa słowa zupełnie nie idą w parze. Powiem więcej, to wręcz nie do pomyślenia. Zresztą nie spodziewał się pan chyba usłyszeć innej odpowiedzi? - Valentine uniósł poły surduta i usiadł. - Darujmy sobie zatem owijanie w bawełnę. Żaden z nas nie ujawni więcej, niż chciałby ujawnić, możemy zatem spokojnie przejść do meritum. Na szczęście poczyniliśmy pewne postępy, o których z przyjemnością panu doniosę...

- Spencer, kochanie, wiedziałam, że cię tu znajdę... Och, przepraszam, nie sądziłam, że podejmujesz gościa...

Val poderwał się z krzesła i podszedłszy do drzwi, pochylił się nad dłonią Jane Perceval.

- Jakże mi miło, doprawdy. Nie widzieliśmy się od tak dawna... Czyżby mąż ukrywał panią przed światem?

- Nic podobnego. Dzieci chorowały na odrę, postanowiłam więc zostać w domu, żeby ich doglądać. Może już pan puścić moją rękę, panie Redgrave, będę zobowiązana. Nie zapytam, co pan robi w naszym domu o tak nieprzyzwoitej porze. Jestem żoną lorda kanclerza wystarczająco długo, by się niczemu nie dziwić. Z czymkolwiek pan przyszedł, będzie pan musiał poczekać. Spencerze, czy mogę cię na chwilę prosić? Mam z tobą do pomówienia.

Stanąwszy u boku małżonki, premier zmierzył gościa morderczym spojrzeniem.

- Zaraz wracam - oznajmił z marsem na czole. - Siadaj na swoim miejscu i nicze-

go nie dotykaj.

Valentine spuścił nos na kwintę. Sprawiał wrażenie szczerze zawstydzonego i odrobinę rozbawionego. Od dziecka potrafił grać kilka ról naraz, co było niewątpliwym darem od losu i nie raz ocaliło mu skórę. Perceval skrzywił się i posłał mu zde gustowane spojrzenie, jego żona natomiast była niemal wstrząśnięta brakiem taktu męża.

- Ależ, mój drogi, nie poznaję cię - zbeształa go, kręcąc głową. - Gdzie twoje maniery?

- Och, to nic, to nic, milady - zapewnił skruszony Redgrave. - Zasłużyłem na reprimendę.

Odczekawszy, aż Percevalowie wyjdą na korytarz, poczęstował się winem i usiadł, żeby zebrać myśli. Niestety istniały sprawy, o których lord kanclerz wiedział, choć nie powinien wiedzieć. Na szczęście nie było ich zbyt wiele. Tak czy inaczej, należało zachować szczególną ostrożność; poinformować go wyłącznie o rzeczach niezbędnych, a resztę zataić. Nie zaszkodzi zatem skorzystać z chwili samotności i przygotować się do rozmowy.

Zaczął od wyliczenia tego, o czym premierowi już doniesiono. Jak to ujął Gideon, Redgrave'owie „przypadkiem” odkryli spisek, którego pomysłodawcy rekrutowali się spośród członków rządu. Wywrotowcy zamierzali sprzymierzyć się z Bonapartem, z jego pomocą dokonać przewrotu, a następnie doprowadzić do obalenia obecnej władzy. Dowody zmywy znaleziono rzekomo w pobliżu Redgrave Manor, a posłużyły za nie przechwycone wozy z zaopatrzeniem wojskowym, które zamiast na Półwysep Iberyjski, zmierzały w zupełnie innym kierunku. Gideon ujawnił również nazwiska dwóch prowodyrów akcji, Archiego Uptona oraz lorda Charlesa Mailera. Upton już nie żył, zaś poczynania Mailera były ściśle śledzone. Percevala nakarmiono także tylko po części prawdziwą historią o tym, jakoby obaj konspiratorzy należeli do działającego w okolicy Saltwood tajnego stowarzyszenia o szemranej reputacji. Lord kanclerz nie wahał się ani chwili. Rozumiejąc powagę sytuacji, wyznaczył na swego pełnomocnika Simona Ravenbilla. Markiz został wysłany na miejsce w celu przeprowadzenia szczegółowego dochodzenia.

Lord kanclerz domyślał się naturalnie, że za sprawą kryje się znacznie więcej, niż wynikało z relacji Redgrave'ów. Na razie nie drążył kwestii, choć domniemywał, całkiem zresztą słusznie, że zaangażowanie rodziny jest znacznie większe, niż mieli ochotę przyznać. Nie przypuszczał natomiast, że historia tajemniczego klubu sięga czasów ojca i dziadka obecnego hrabiego Saltwood. Nie miał też pojęcia o tym, że owa grupka anonimowych zwyrodnialców oddawała się bezkarnie nie tylko spiskowaniu, lecz także czczeniu szatana tudzież perfidnym praktykom erotycznym. Z oczywistych względów jego lordowska mość powinien pozostać w błogiej nieświadomości. Krewni Valentine'a mieli ważne powody, aby ukrywać przed nim najpiquantniejsze fakty. Zależało im na tym, aby rozprawić się z winnymi bez rozgłosu.

W korespondencji od Simona i Kate znalazło się jednak kilka rzeczy, którymi Val zamierzał podzielić się z Percevałem. Otóż okazało się, że z plaży przy Redgrave Manor przemycano do Francji złoto i opium. Przerzucano także szpiegów oraz informacje. W każdym razie do czasu, gdy około dwóch tygodni temu Ravenbill i grupka anonimowych miejscowych szmuglerów położyli kres kontrabandzie.

Niestety jak dotąd nie udało się ustalić tożsamości aktualnych członków bractwa. Poznali wprawdzie nazwisko herszta przemytników, lecz schwytany wolał odebrać sobie życie, niż puścić parę z gęby. Choć bardzo na to liczyli, nie zdążyli niczego z niego wyciągnąć. Pozostało im jedynie pozbyć się ciała. Simon odprowadził wzrokiem jego zwłoki, znikające w otchłani morza, i stwierdził z namaszczeniem:

- Przywódca, który potrafi nakłonić swoich ludzi do samobójstwa, to poważna sprawa. Ci ludzie są gotowi na śmierć, byle tylko nie dopuścić do ujawnienia ciemnych interesów, w które są zamieszani. To bez wątpienia niebezpieczni fanatycy. Są nieobliczalni, więc miejcie się na baczności. Zawsze i wszędzie. O każdej porze dnia i nocy. Element zaskoczenia to wasza jedyna szansa. Jeśli chcecie ich pokonać, musicie uderzyć pierwsi i na miłość boską, nawet nie próbujcie pojmać ich żywcem. Przed wami brudna robota, nie da się tego uniknąć, ale jeśli się zawahacie, jeśli na ciśniecie spust o sekundę za późno, zginiecie. Kate nigdy wam nie daruje, jeśli zostawicie ją na świecie samą. Nie wiedzieć czemu uwielbia was.

Brr... - wzdrygnął się Val. Przyszły szwagier nakreślił swoje obawy w sposób nad wyraz obrazowy i co najważniejsze skuteczny. Wzięli sobie jego rady do serca.

Wiedzieli, że czeka ich arcytrudne zadanie, ale poprzysięgli sobie, że policzą się ze złoczyńcami osobiście i możliwie jak najdyskretniej. Od powodzenia owej misji zależała przyszłość całej rodziny. Nie mogli pozwolić, żeby ta kompromitująca afery kiedykolwiek ujrzała światło dzienne. Gdyby do tego doszło, byłiby skończeni. Skandal tak wielkich rozmiarów pograżyłby na wieki całą rodzinę.

Każde z rodzeństwa miało w sprawie swój udział. Zaczęło się od Gideona, który jako pierwszy odkrył istnienie stowarzyszenia oraz niechlubną naturę jego działalności. Kate i Simon rozprawili się z przemytnikami działającymi na terenie rodzinnego majątku. Maximilien przemierzał Europę w poszukiwaniu śladów aktywności bractwa na kontynencie, Valentine'owi zaś przypadło w udziale podjęcie tropu w kraju. Wierzył, że niebawem porachuje się z członkami przestępczego klubu i wybawi z kłopotów rodzinę. W każdym razie powtarzał to sobie do znudzenia, choć nie miał zwyczaju zaklinać losu. Ale cóż innego mu pozostało? Nie miał najmniejszego nawet punktu zaczepienia. Właśnie dlatego zjawił się u lorda kanclerza. Liczył na to, że Perceval będzie tak oszołomiony nowinami o przemytnikach z Saltwood, że w zamian zdradzi mu pewne istotne dla niego informacje.

Jakiś czas później po kilkuminutowym krążeniu wokół tematu przystąpił do ataku:

- Zachodzę w głowę, kto polecił zbudować kolejne wieże Martello^[4] wzdłuż południowego wybrzeża... Przyzna pan, że to dość dziwne... Wiem skądinąd, że miało ich nie przybywać, zwłaszcza teraz, kiedy inwazja ze strony Francuzów nie przedstawia już realnego zagrożenia. I raptem ni stąd, ni zowąd wyrosło kilka nowych... Ponadto nikt nie chce udzielić mi odpowiedzi. A może jest coś, o czym wasza lordowska mość nam nie mówi? Oj, nieładnie, nieładnie. I pomyśleć, że mój starszy brat wyznał panu całą prawdę jak na spowiedzi. Więcej, otworzył przed panem duszę, jak przed ojcem...

- Daruj sobie, Redgrave. Masz mnie za głupca? Saltwood i szczerłość? Nikt przy zdrowych zmysłach w to nie uwierzy. Poza tym, to ja tu zadaję pytania. Nie muszę i nie zamierzam oświecać cię ani w tym, ani w żadnym innym względzie. I nie pojmuję, dlaczego nagle interesują cię dodatkowe fortyfikacje?

Val rozparł się na krzesło, jakby siedział na kanapie we własnym gabinecie. Przybierając niedbałą pozę, czuł się jak aktor przed wygłoszeniem ważnego monologu. Polityka bez wątpienia przypominała teatr.

- W istocie - rzekł ugodowo. - To wasza lordowska mość zadaje pytania. Pragnę wszakże zauważyć, że jak dotąd odpowiedziałem na wszystkie. Bez wyjątku. Przyzna pan, że byłem niezwykle pomocny... Sądziłem, że zrewanżuje się pan tym samym. To dlatego pozwoliłem sobie na jedno niewinne pytanko... Jak to mówią: *quid pro... quid pro...* a niech to, nie pamiętam, jak to dalej szło. Nic dziwnego. W końcu jestem najmłodszym z braci, od dziecka miałem marne widoki na przyszłość. Nie należy się po mnie spodziewać zbyt wiele.

- *Quid pro quo*. Coś za coś. I nie bądź taki skromny. - Premier skrzywił się z niezadowolaniem. - Nie mam wyboru, przyparłeś mnie do muru. Wyjdę na niewdzięcznika i gbura, jeśli nie oddam ci przysługi. Coś mi jednak mówi, że nie będzie to uczciwa wymiana. Odnoszę nieodparte wrażenie, że nie powiedziałaś mi wszystkiego... Ale cóż, niech ci będzie. Odpowiem na twoje „niewinne pytanko”, choć nie pojmuję, do czego potrzebna ci ta wiedza. Budowa dodatkowych umocnień w żaden sposób nie dotyczy twojej rodziny.

- Przeciwnie, milordzie, przeciwnie - zaprotestował Valentine. - Przypomina pan sobie zapewne, że Redgrave Manor położone jest na wybrzeżu. To idealne miejsce do rozpoczęcia inwazji. Jeśli czeka nas najazd nieproszonych gości zza kanału La Manche, to powinniśmy zacząć gromadzić zapasy ślimaków i trufli. - Uśmiechnął się rozbrajająco. - Bóg świadkiem, że francuskiej brandy mamy już pod dostatkiem.

Premier popatrzył na niego, kręcąc głową.

- Dalibóg, przezabawne - skwitował bez cienia uśmiechu. - Wygrałeś. Powiem ci, co chcesz wiedzieć, ale tylko po to, żeby się od ciebie uwolnić. W przeciwnym razie gotów jesteś siedzieć tu do rana.

- Ależ, proszę się nie obawiać. Właśnie zbierałem się do wyjścia. Za nic w świecie nie nadużyłbym pańskiej gościnności. Powiem więcej, za chwilę wyjdę i nigdy więcej nie będę pana nachodził.

- Ha! Śmiem wątpić, ale trzymam cię za słowo. A co się tyczy nowych wież Martello, wzniesiono je na wszelki wypadek. Zwykłe środki ostrożności, nic ponadto. Dzięki patriotycznej postawie pewnego obywatela kilka miesięcy temu namierzaliśmy szpiega. Wprawdzie zbiegł, nim zdążyliśmy go pojmać, lecz jako że deptaliśmy mu po piętach, uciekał w wielkim pośpiechu. Pozostawił po sobie mnóstwo śladów. W jego pokoju w zajeździe znaleźliśmy między innymi zaszyfrowaną korespondencję zawierającą nowe plany inwazji.

Redgrave strzepnął z rękawa nieistniejący pyłek, gorączkowo analizując w myślach to, co usłyszał.

- Coś podobnego... Zatrważające wieści, słowo daję. Lecz o ile mnie pamięć nie myli, Bonaparte zamierza zwrócić się raczej ku wschodniej części kontynentu. Zda się, poczynił plany uderzenia na Rosję... Przypuszczam, że nie dysponuje nawet wystarczająco silną flotą, aby przypuścić atak na nas. Hm... zastanawiające... - Zerknął z namysłem na rozmówcę. - Jest jeszcze coś, co nie daje mi spokoju; dlaczego ów obcy agent zostawił na widoku inkryminujące, a w dodatku tajne dokumenty? Żaden szanujący się szpieg nie popełniłby tak elementarnego błędu. Zgadnu-

ję, że szyfr okazał się banalnie prosty do złamania.

- Zatrudniamy wyłącznie najzdolniejszych deszyfrantów, ale owszem, odczytali wiadomość podejrzanie szybko. Zaniepokoiło mnie to, nie przeczę, nie wypadało mi wszakże zignorować takiej informacji.

- Naturalnie - zgodził się ochoczo Valentine. - Urząd waszej lordowskiej mości zobowiązuje do zachowania rozwagi w każdej sytuacji. - Nawet nie drgnęła mu powieka, choć w głębi ducha wiedział, że jeżeli ustalenia jego rodziny w kwestii dodatkowych fortyfikacji są prawdziwe, to premier, a wraz z nim cały rząd zostali wystrychnięci na dudka. - Czy zna pan tożsamość osoby, która doniosła władzom o działalności owego szpiega? - zadał w końcu pytanie, z którym przyszedł.

Perceval potarł dłonią policzek.

- Owszem znam, choć nie sądzę, by miało to jakiegokolwiek znaczenie... niestety. Powiadomiono mnie o całej sprawie osobiście. Otrzymałem list od jednego z bliskich przyjaciół króla, ściśle mówiąc, od Guya Bedwortha, markiza...

- Mellis - podsunął usłudze Redgrave i westchnął w duchu. - Świętej pamięci markiza Mellis, jeśli się nie mylę. Zdaje się, że za życia był także w wielkiej komitywie z moim ojcem. - I udzielał się w jego tajnym bractwie, dodał w myślach. - Ponoć przeniósł się na tamten świat dość nieoczekiwanie.

- Nie inaczej. Nawiasem mówiąc, smutna historia, ale przynajmniej zszedł we własnym fotelu w ulubionym klubie. Czego chcieć więcej?

Valentine pokiwał smętnie głową i spuścił wzrok, głównie po to, żeby się nie roześmiać. Ciekawe, co by powiedział jego lordowska mość, gdyby poznał prawdziwe okoliczności śmierci markiza, gdyby wiedział, że nieborak zakończył żywot w buduarze Trixie Redgrave, statecznej hrabiny wdowy. Mojej babki. Gideon był zmuszony własnoręcznie wciągnąć mu z powrotem spodnie. Lecz bynajmniej nie to okazało się najbardziej niewdzięcznym zadaniem. Pozbycie się nieobyczajnego uśmiechu, który zastygł na ustach zmarłego, to dopiero był twardy orzech do zgryzienia. Biedny Giddy do tej pory wzdrygał się na wspomnienie owego traumatycznego przeżycia.

- Moja babka jest niepokieszona. Zdaje się, że przepadali za swoim towarzystwem. Hm... szkoda, że Bedworth niczego więcej nam nie powie...

Perceval podniósł się z miejsca.

- Pora na ciebie, Redgrave.

Valentine także wstał, po czym sięgnął po kapelusz, rękawiczki i laskę.

- Przekaż rodzinie wyrazy wdzięczności w imieniu moim i całego rządu. Byliście niezwykle pomocni. Dzięki wam zaopatrzenie dla wojska trafi tam, gdzie trafić powinno. Co się tyczy przerzucania informacji i obcych agentów, cóż, wprawdzie przegoniliście ich z Saltwood, lecz przypuszczam, że wkrótce znajdą sobie jakąś inną plażę. Nastaly bardzo niebezpieczne czasy, panie Redgrave.

- Owszem, rzekłbym nawet, śmiertelnie niebezpieczne, milordzie. Odprawia mnie pan z kwitkiem... Trudna rada, będę musiał przełknąć tę gorzką pigułkę. Chciałbym jednak wiedzieć, czy wraz ze mną pragnie się pan pozbyć całej mojej rodziny?

- Niezwykła przenikliwość, chłopcze. Tylko pozazdrościć. I owszem, życzyłbym sobie, przynajmniej przez jakiś czas, nie oglądać Redgrave'ów ani o nich nie słyszeć. Nie wypada mi powiedzieć na głos, że wasza pomoc nie była w pełni bezinte-

resowna. Wspomnę jedynie, że w pełni rozumiem wasze zaangażowanie. Bronicie swoich interesów. To rzecz zupełnie naturalna. Nikt nie może wam tego zabronić. Zaś kwestia Towarzystwa, jak nazywacie ową zgrają pospolitych złoczyńców, nie jest godna zainteresowania władz. To wam i tylko wam zależy na tym, aby urwać łeb Hydrze. Rząd jest zajęty czymś znacznie ważniejszym, a mianowicie, powstrzymaniem Bonapartego.

- Nadal nie dostrzega pan związku pomiędzy tymi dwiema sprawami? Nawet po tym, co pan ode mnie usłyszał na temat przemytników schwytanych w okolicy Redgrave Manor? Doprawdy, zdumiewające.

- Pozwól, że wyprowadzę cię z błędu. Nie idzie o to, że nie widzę związku, przeciwnie, widzę go całkiem wyraźnie. Tyle tylko że zupełnie o to nie dbam. Naturalnie, opryszków należy złapać i postawić przed sądem, podobnie jak wszelkiej maści konspiratorów i zdrajców ojczyzny, a jest ich, niestety niemało. - Na twarzy lorda kanclerza pojawiło się rozdrażnienie. - Sam przed chwilą przyznałeś, że nie dysponujecie żadnymi nazwiskami, poza dwoma zupełnie bezużytecznymi. Na dobitkę, zamiast niezwłocznie skontaktować się ze mną, postawiliście na otwartą konfrontację. Wprawdzie przepędziliście niepożądany element z własnej plaży, lecz nie pomyśleliście o konsekwencjach swego działania. Najwyraźniej nie przyszło wam do głowy, że owi łajdacy zwyczajnie zejną do podziemia. Jeśli potrafią zacierać za sobą ślady, to szukaj wiatru w polu, prawdopodobnie nigdy ich nie odnajdziemy. Nie nazwałbym waszych wyczynów działaniem dla dobra ogółu. Czy teraz rozumie pan moje stanowisko, panie Redgrave?

- Owszem, nie mógłby pan wyrazić go jaśniej. Prawdę mówiąc, obawiałem się, że właśnie tak oceni pan sytuację. - Val wciągnął rękawiczki i założył na głowę cylinder. - Innymi słowy, zrobiliście swoje, więc możecie odejść?

- W rzeczy samej. Lepiej bym tego nie ujął. Wyraży szacunku dla brata. Możesz go poinformować, że przejmujemy sprawę we własne ręce i nie będzie nam już potrzebne wasze wsparcie.

- Zwłaszcza że przecież sami bez najmniejszego kłopotu odkryliście spisek, zagrożający bezpieczeństwu i stabilności państwa. - Valentine wiedział, że igra z ogniem, ale nie mógł się powstrzymać od wygłoszenia kąśliwej uwagi. Pora zakończyć tę farsę, pomyślał poirytowany. Osiągnął swój cel. Dostał dokładnie to, po co przyszedł; informacje na temat wież Martello oraz oficjalną odprawę. Od tej chwili Redgrave'owie nie mieli już obowiązku powiadamiać rządu o swoich poczynaniach, zwolnił ich z niego sam lord kanclerz. To z kolei oznaczało, że nie będą musieli stosować się do żadnych reguł i będą mogli działać znacznie swobodniej. I skuteczniej.

Szkopuł w tym, że ród Redgrave'ów miał swoją dumę. Jego członkowie nie lubili, gdy traktowano ich lekceważąco czy wykluczano poza nawias.

Perceval odprowadził go do wyjścia.

- Nie powinienem się łudzić, że zostawicie to w spokoju, prawda? - zapytał, kiedy odźwierny otworzył drzwi.

Val miał ochotę udzielić pokrętej odpowiedzi, uznał jednak, że nie wypada okłamywać premiera. Zwłaszcza zaraz po tym, jak go obraził.

- Dobranoc, milordzie - rzekł w końcu. - Proszę przeprosić małżonkę za to, że niepokoiłem państwa o tak późnej porze.

- Zejdź mi z oczu, Redgrave - odparł ze znużeniem lord kanclerz.

- Jak pan sobie życzy. Mam jeszcze tylko jedno krótkie pytanie. Za pozwoleniem... O ile się nie mylę, działa umieszczone w wieżach Martello przytwierdzone na stałe do podłogi, nieprawdaż? Innymi słowy, są nieruchome. Zastanawiam się, na którą wychodzą stronę...

- Marnujesz mój czas. Dobrze wiesz. Na tę stronę, z której spodziewamy się ataku.

- Czyli na morze. A co poczniemy, jeśli atak przyjdzie od strony lądu? Okażą się kompletnie bezużyteczne.

- Atak z lądu? Wykluczone. Nie dojdzie do tego. Po to właśnie wznieśliśmy fortyfikacje. Mają powstrzymać inwazję nieprzyjacielskiej floty i przedostanie się wroga na nasze terytorium.

Valentine przysunął się i powiedział konspiracyjnym szeptem:

- Chyba że nieprzyjaciel wspomagany przez silną grupę wpływowych zdrajców, skupionych wokół Towarzystwa, znajdzie sposób na to, aby stopniowo i zawczasu przerzucić do Anglii doskonale wyszkoloną armię, która bez trudu zajmie wieże rozmieszczone wzdłuż nabrzeża. Jest pan w stanie to sobie wyobrazić? Jeżeli tak się stanie, to nasza marynarka będzie zmuszona przypuścić atak i tym samym narazi się na ostrzał z własnych dział, które znalazły się pod kontrolą wroga.

- Tak nie prowadzi się wojen - zaprotestował Perceval. - To nieuczciwe.

- I niehonorowe - zgodził się z kpiną Redgrave. - Tyle że niektórych zupełnie nie interesują pryncypia czy kodeks honorowy. Zasady obowiązują tylko wtedy, gdy przestrzegają ich obie strony. Czyżby wasza lordowska mość nie słyszał nigdy o koniu trojańskim? - Z tymi słowami uśmiechnął się i wyszedł. Miałby odmówić sobie tej satysfakcji? Sądząc po jego zdębiałej minie, lord kanclerz nieprędko uda się na spoczynek. Będzie miał sporo do przemyślenia. Znakomicie.

Kilka minut później Val siedział już w czekającym za rogiem powozie. Przy odrobinie szczęścia znajdzie swoją kolejną ofiarę w szulerni. Był nią lord Charles Mailer, człowiek, o którego względy zabiegał usilnie od z górą dwóch tygodni. Jak każdy szanujący się Redgrave miał bowiem w zanadrzu plan awaryjny. Życie nauczyło go, aby spodziewać się najlepszego, ale być przygotowanym na najgorsze.

ROZDZIAŁ DRUGI

Po dwóch tygodniach znajomości Valentine doszedł do wniosku, że Mailer – gbur, nikczemnik i ordynus pierwszej wody – jest idiotą, lecz niegłupim, niestety.

Sprzeczność? Niewątpliwie, lecz nie sposób było ująć tego lepiej. Gdyby mógł zawiesić nad jego głową tabliczkę z ostrzeżeniem dla bliźnich, napisałby coś w rodzaju: „bufon i kanalia, miejcie się na baczności. I broń Boże nie podchodźcie zbyt blisko”.

Powierzchnowość Charlesa nie zwałała z nóg. Choć jego garderobie nie można było wiele zarzucić, Mailer prezentował się raczej niepozornie, zwłaszcza według wysokich standardów Redgrave’a. Ubierał się szykownie i schludnie, ale bez polotu i wyczucia stylu. Podążał za modą ślepo i bezmyślnie do tego stopnia, że gdyby najnowszy trend kazał mu nosić fular zamiast pod szyją, przewiązany na czole, nie uznałby tego za ekstrawaganckie dziwactwo i paradowałby po Mayfair niczym Indianin, tyle że bladolicy, nadęty i rudowłosy.

Był młodszym synem hrabiego Vyrnwy i z lubością posługiwał się tytułem honorowym ojca. Jakiś czas temu zgłosił gotowość do służby w admiralicji, jednakowoż tuż po nagłym zejściu przyjaciela, Archibalda Uptona, nieoczekiwanie wyjechał z miasta. Nawiasem mówiąc, Archie skończył pod kołami powozu. Do dziś pozostawało zagadką, czy rzucił się pod pojazd sam, czy został podeń wepchnięty.

Tak czy owak, Charlie nie potrafił żyć długo z dala od zgiełku wielkiej metropolii. Wrócił do stolicy niemal w tym samym czasie, co Valentine. Redgrave zamierzał niezwłocznie udać się do niego z wizytą, naprzód jednak wypadało mu rozmówić się z babką. Nie zastał jej w mieście, za to Mailer już na niego czekał... Jakby sam pragnął zaserwować mu się na srebrnej tacy.

Val uznał to za dobry omen, znak opatrności, zrządzenie losu, czy też robotę samego diabła. Jakkolwiek to nazwać, ów zbieg okoliczności był mu bardzo na rękę. Trixie zdręczyłaby go masą trudnych pytań. To ona odkryła bowiem powiązania Charlesa i Archiego z Towarzystwem.

Simon Ravenbill próbował rozpracować obu delikwentów na długo przed Valentine’em. Szkopuł w tym, że zabrał się do tego zbyt topornie i niezręcznie. W przeciwieństwie do brata przyszłej małżonki brakowało mu subtelności i wyrefinowania.

Młodszy z braci Redgrave’ów szczyił się swoją finezją. Wprawdzie nie złowił jeszcze Mailera, lecz bez wątpienia zarzucił już wędkę z tłusciutką przynętą. Pozostawało jedynie kwestią czasu, kiedy rybka połknie haczyk. Co do tego, że połknie, nie miał najmniejszych wątpiwości. Wystarczyło, że pozostanie w pobliżu i zacznie odpowiednio urabiać ofiarę. Naturalnie w duchu nienawidził łajdaka. Ale udawanie i skrywanie emocji było jego drugą naturą.

Ani chybi zrobiłby furorę na scenie. Bywało, że miał szczerą ochotę spróbować sił w teatrze, lecz zaniechał tego pomysłu ze względu na rodzinę. Gideon nie pochwaliby jego decyzji. Hrabia Saltwood, którego brat zarabia jako aktor... Hańba i sromota. Za to Trixie byłaby wniebowzięta. Co noc przynosiłaby mu wstyd, krzycząc z widowni: „Brawo, brawo!”, i obrzucając go kwiatami.

Co też mi przychodzi do głowy? – pomyślał z niesmakiem. Nie pora na zbytki. Powinienem skupić się na Mailerze.

Charlie uważał się za błyskotliwego kpiarza obdarzonego nieprzeciętnym dowcipem. W rzeczywistości był zwykłym błaznem, w dodatku marnym i grubiańskim. Usiłował szydzić z innych, ale jego nieparlamentarne żarty krążyły nieodmienne wokół jednego tematu, a mianowicie damskich lub męskich „części intymnych”. Uwielbiał też rozprawiać o swoich przyszłych i przeszłych podbojach miłosnych, których, jak twierdził, miał bez liku.

W tym sezonie zjechał do Londynu ze świeżo poślubioną drugą żoną, Caroline – młodziutką, nieśmiałą blondynką o ziemistej cerze. Pierwsza lady Mailer straciła życie w podejrzanych okolicznościach, osierocając dwójkę dzieci. Biedaczka spadła z urwiska.

Charles traktował młodą małżonkę haniebnie. Albo nieustannie ją ignorował, albo niemiłosiernie z niej drwił, jedno z dwojga. W ciągu kilku miesięcy pożycia zaszczuł ją do tego stopnia, że w towarzystwie zawsze chodziła ze spuszczoną głową, prawie nigdy nie zabierała głosu, a kiedy już otwierała usta, wydobywał się z nich jedynie ledwie słyszalny szept.

Kiedy w ubiegłą sobotę podczas balu u lady Wexford Val poprowadził ją do tańca, wzdrygnęła się, gdy poczuła na łokciu jego dłoń. Tłumaczyła się potem, że nabiła sobie siniaka, potknąwszy się na schodach, ale rzecz jasna nie uwierzył w ani jedno słowo. Marna była z niej kłamczucha.

Redgrave znany był ze słabości do dam, które znalazły się w opresji, miał więc kolejny powód, aby zniszczyć Mailera. Oby jak najrychlej nadszedł dzień, w którym będzie mógł zrzucić maskę sympatii i zdradzić nikczemnikowi swoje prawdziwe zamiary.

– Wcale nie śpisz – odezwał się Charlie. – Widzę, jak się uśmiechasz. Dobrze, przynajmniej nie będę musiał cię budzić. Dojeżdżamy do Fernwood.

Valentine wyprostował się i zdjął stopy z kanapy. Ściągnąwszy cylinder, przecesał dłonią ciemne, niemal czarne włosy, które opadały mu falami na czoło i uszy. Były za długie, lecz właśnie taki pragnął uzyskać efekt, kiedy je zapuszczał. Wyglądał dzięki nim jak niesforny chłopiec i było mu z tym do twarzy.

– Mówiłeś coś, Charlie? – zapytał, wyjrzawszy przez okno powozu. – Chyba nie chrapałem? Boże drogi, tylko nie to. Jeśli się dowiem, że chrapię, nigdy więcej nie będę mógł zanocować w prywatnych pokojach żadnej z moich drogich... przyjaciółek. Jakżebym spojrział im potem w oczy?

– Czy to do którejś z nich uciekłeś wczorajszego wieczoru? Zostawiłeś mnie samego u lady Wexford, niecnoto, żeby oddawać się rozpuście? Przyznaj się, która to? Jakaś rozwiązała arystokratka? Gorąca wdówka? A może zwykła kokota? Tak czy owak, pamiętaj, zawsze wybieraj starsze od siebie. Takie są bardziej... ohotne i wiedzą, jak się odwdzięczyć za to, że się nimi interesujesz. Więc jak było? Zdradzisz mi jakieś pikantne szczególiki?

– Prawdziwy dżentelmen nigdy nie mówi o takich sprawach – odparł spokojnie Val, wyjmując z kieszeni kamizelki podłużne srebrne puzderko. Uniósłszy wieczko, wsunął sobie do ust białą pastylkę. – Poczęstuj się miętówką, przyjacielu – rzekł ze śmiertelną powagą. – Powinna pomóc. Na twoim miejscu ograniczyłbym nieco spo-

życie kiełbasy. Dopóki cię nie poznałem, nie sądziłem, że można pochłaniać ją w takich ilościach.

Mailer popatrzył z wahaniem na jego wyciągniętą dłoń. Najwyraźniej rozważał, czy wypada mu poczuć się urażonym. W końcu sięgnął do pudełka i zgarnął dwie drażetki. Był pazerny do granic, nawet gdy chodziło o zwykłe cukierki.

- Drocysz się ze mną, ot co - drążył Charlie. Monotematyczny jak zwykle. - Nie puścisz pary z gęby, dopóki sam nie opowiem ci czegoś z pieprzykiem, co? I słusznie, słusznie, mój drogi. Jestem od ciebie starszy i jak sądzę znacznie bardziej doświadczony. Jeśli idzie o sprawy łózkowe, niejednego mógłbyś się ode mnie nauczyć. Niestety wczoraj w nocy mi się nie poszczęściło. Musiałem zadowolić się własną żoną. Tfu, dasz wiarę? Lepiej bym sobie poużywał, gdybym wepchnął kuśkę w dziurę po sęku, to jest gdyby udało mi się znaleźć odpowiednio dużą dziurę...

- Naturalnie - skwitował gładko Redgrave, który miał nieodpartą ochotę udusić rozmówcę gołymi rękoma, choćby tylko po to, żeby raz na zawsze zamknąć mu parszywy pysk. - Tylko nie każ mi oglądać swojego interesu, żebyś mógł na własne oczy przekonać się o jego nieprzeciętnych rozmiarach. Wierzę ci na słowo.

- I dobrze. Bo czemu miałbyś nie wierzyć? Tak czy owak, powiadam ci, skaranie boskie. Ta kobieta jest równie żywotna, jak nie przymierzając, marmurowy posąg. Jakbym spółkował z truchłem.

Valentine zatrzasnął z hukiem puzderko z miętówkami.

- W takim razie po co w ogóle zaprzątasz sobie nią głowę? Nie lepiej zostawić ją w spokoju?

- W spokoju? Niedoczekanie. Nie jesteś żonaty, nie wiesz, jak to jest. Kobiety trzeba trzymać krótko. Przekłète babska... Wystarczy, że odrobinę im pofolgujesz, a wejdą ci na głowę.

Albo z rozpaczy rzucą się w przepaść, pomyślał Val. Byle tylko się od ciebie uwolnić, zwyrodnialcu. A może poprzednia pani Mailer zanadto się buntowała i sam zepchnąłeś ją ze zbocza? Nie zdziwiłoby mnie to. Zakrył dłonią usta i ziewnął. Znudziło mu się odgrywanie roli satyra, ale nie miał wyboru. Charlie uznawał bardzo wąski repertuar.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem rad, że się zaprzyjaźniliśmy - oznajmił zblazowanym tonem. - Twoje nauki są wprost bezcenne. Nikt inny mi tak dobrze nie doradzi. A co do mojego ewentualnego ożenku, to bądź spokojny. Jeśli kiedykolwiek dam się zakuć w małżeńskie okowy, w co wątpię, to sam wybiorę sobie żonę. Nie spieszy mi się. Nie dziedziczę tytułu, więc nie potrzebuję męskiego potomka i spadkobiercy. Jestem wprawdzie miłośnikiem damskiej anatomii, lecz to bodaj jedyna rzecz, która podoba mi się u kobiet. Zasadniczo uważam je za odrażające histeryczki. W najlepszym razie budzą we mnie litość. Nie od dziś wiadomo, że intelektem nie dorastają nam, mężczyznom, do pięt.

- Jesteś miłośnikiem damskiej anatomii, powiadasz? Ha! Przedni dowcip! Niezły z ciebie dziwak, Redgrave, słowo daję. Nie obawiaj się, będziesz mógł przebierać jak w ulegawkach. Już ja się o to postaram. Od razu cię polubiłem, młokosie. Przypadłeś mi do gustu już pierwszego wieczoru u Madame la Rue, chociaż sprzątnąłeś nam sprzed nosa trzy najlepsze laleczki. Przepadły na całe trzy godziny. Ponoć, kiedy z nimi skończyłeś, nie były w stanie obsługiwać klientów przez kilka dni. Nie są-

dziłem, że masz tyle krzepy i jesteś aż tak jurny.

- Nie wierz wszystkim pogłoskom, Charlie. Zazwyczaj niewiele w nich prawdy. Tylko dwie musiały... wziąć wolne, żeby dojsć do siebie. Trzecia to istny wulkan. Jej nieokiełznany zapal omal mnie nie wykończył.

Boże drogi, pomyślał, to odrażające, że muszę zabawiać go, wygadując te bzdury.

W rzeczywistości Val rozegrał z pracownicami pani la Rue kilka partyjek wista, a potem podjął je obfitą kolacją. Następnie hojnie obdarował Madame w zamian za to, by pozwoliła im na jakiś czas odpocząć od pracy. Kiedy wychodził, dziewczęta spały. Najmłodsza z nich ofiarowała mu swoje usługi nieodpłatnie, ale grzecznie odmówił. Nie chciał złapać jakiejś wstydlivej choroby, zwłaszcza teraz, kiedy miał przed sobą ważną misję.

- Cóż, wybaczam ci ów horrendalny nietakt - oznajmił wspaniałomyślnie Mailer. Machnął przy tym dłonią, jakby opędzał się od muchy. Na serdecznym palcu nosił pierścień w kształcie rozkwitłego pąka róży.

Redgrave nie zdołał się powstrzymać. Postanowił kuć żelazo, póki gorące.

- Przypomniało mi się, że od dawna chciałem cię o coś zapytać. Widziałem podobną różę u ojca. Na jednym z portretów nosi szpilkę do krawata, która wygląda niemal dokładnie tak samo jak twój sygnet. Tyle że ma odrobinę większy brylant, o ile dobrze pamiętam.

- Coś podobnego... - Charles rozcapierzył palce i przyjrzał się uważnie błyszczącemu kamieniowi. - To prezent od dziadka ze strony matki... Geoffrey, mój brat, nie chciał go nosić. Twierdził, że jest zbyt krzykliwy, a on nie lubi bezguścia.

- Mnie się podoba. Rzadko spotyka się takie cacka. Domyślam się, że twój brat to nadęty nudziarz.

- Nudziarz? To mało powiedziane. Czasem przysięgłbym, że nosi nad głową aureolę, taki z niego świętoszek. W dodatku ma kompletnego bzika na punkcie żonki i dzieci, jak pierwszy lepszy plebejusz. Zresztą pewnie ma to po ojcu. Papa jest w tym względzie dokładnie taki sam jak on. Powierzając mi pierścień, dziadek miał pewność, że oddaje go w dobre ręce. Powiedział, że widzi we mnie potencjał i że to właśnie ja powinienem odziedziczyć różę i całą resztę po jego śmierci.

Całą resztę? - zastanowił się Val. Całą resztę, czyli co? Czy ten osioł nie mógłby wyrażać się precyzyjniej? Może chodzi o przebranie, które członkowie Towarzystwa noszą, odprawiając swoje rytuały? Simon znalazł taki kostium wśród rzeczy swego zmarłego brata. Hm... tak, to pewnie to...

Mailer zmrużył powieki, jakby nad czymś się zastanawiał. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał całkiem swobodnie. Niezbyt inteligentny, ale wystarczająco cwany, żeby nie powiedzieć zbyt wiele - pomyślał Valentine.

- Prawdę mówiąc, rzadko noszę ten sygnet. Wyciągnąłem go z lamusa niedawno, głównie po to, żeby mi przypominał, że w kwestii uciech warto czasem zachować wstrzemięźliwość.

- Wstrzemięźliwość? Brzmi intrygująco. Musisz mi koniecznie opowiedzieć, co natchnęło cię do tego, by jej spróbować. Zakładam, że to dla ciebie coś nowego. Może i ja się na to porwę? Nie jestem tylko pewien, jak długo wytrzymam...

- Cóż, to kwestia silnej woli... - Uśmiechnął się Charlie. - Warto spróbować. Jak powiadają, co za dużo, to niezdrowo. - Na próżno usiłował zdjąć pierścień, który

utknął na dobre na jego pulchnym palcu. – Komu przypadła w udziale róża świętej pamięci Barry’ego? Doszły mnie słuchy, że nosił ją przez chwilę sam hrabia Saltwood.

– Doprawdy? – Do diaska. Gideon włożył tę pioruńską szpilkę tylko kilka razy. Wyłącznie po to, żeby wywabić z ukrycia członków bractwa. Kiedy pojął w pełni, co symbolizuje, natychmiast schował ją głęboko w sejfie. – Cóż, jako dziedzic tytułu, zgarnął wszystko. W tym całe mnóstwo najprzeróżniejszych błyskotek. Przeklęty dandys... Idę o zakład, że nigdy nie wkłada tej samej rzeczy dwa razy. Wszyscy wiemy, jaki z niego fircyk. Tfu, niech go piorun trzaśnie! A mnie, sknera, każe żyć z jałmużny, którą nie wyżywiłaby się mysz kościelna. Dasz wiarę?

– Cóż mogę rzec, nie od dziś wiadomo, że starsi bracia są jak wrzód na zadku – podsumował filozoficznie Charlie. – Jesteśmy na miejscu. Moja nudna żona dotarła do celu przed nami, dokładnie tak, jak jej poleciłem. Czeka razem z dziećmi, aby powitać w progu swego pana i władcę oraz jego gościa. Wszystko jak Pan Bóg przykazał. Porządek musi być. Mam nadzieję, że zadbała o lód do drinków. Jeśli nie znajdziemy go w moim gabinecie, polecą głowy!

Redgrave popatrzył w stronę domu. Na dziedzińcu zgromadzili się rodzina oraz cała służba Mailera. Na pierwszy rzut oka widać było, że Charles prowadzi rządy silnej ręki. Nikt tu nie radował się na jego widok. Może z wyjątkiem psów, które zapewne wszystkich witają z równie jazgotliwym entuzjazmem.

Na wszelki wypadek Valentine dyskretnie sprowadził do wioski własny powóz. Kto wie, czy nie będzie zmuszony nieoczekiwanie zniknąć. Doświadczenie nauczyło go, że lepiej być przygotowanym na każdą ewentualność. Właśnie dlatego jego zaufany sługa Twitchill zbijał teraz bąki w pobliskiej gospodzie, czekając na wezwanie.

Nagle jego uwagę przykuła stojąca nieco na uboczu postać kobiety. Nie zauważyłby jej, gdyby nie ujadające psiaki, które próbowała za wszelką cenę utrzymać na smyczy. I gdyby nie te niesamowite ciemnorude włosy... Związane z tyłu głowy w gruby, ciasny węzeł, połyskiwały w słońcu jak kasztany.

Dziewczyna była dość wysoka i szczupła. Miała na nosie szpetne okulary, zza których trudno było dostrzec barwę oczu. Równie szpetna nijakiego koloru sukienka skutecznie skrywała jej figurę. Wzdrygnął się bezwiednie. Po namyśle doszedł do wniosku, że wygląda tak, jakby miała na sobie przebranie, kostium szarej myszki, która nikomu nie rzuca się w oczy...

Psiakość, niech go lichy porwie! Wieczne utrapienie z tym Percevealem! Najwyraźniej umyślił sobie przysłać za nim szpiega! W dodatku w damskiej skórze! Ciekawe, czy kazał jej wdziać ów nieszczęsny kamuflaż dla niepoznaki, czy może specjalnie na jego użytek? Niewykluczone, że wszechwiedzący pan premier, chcąc zapobiec ewentualnym zalotom, uprzedził ją, że powinna mieć się w jego towarzystwie na baczności. Val i owszem miał reputację bawidamka, lecz w tym stroju protegowana lorda kanclerza nie prezentowała się szczególnie pociągająco. Krótko mówiąc, jego lordowska wszędobylskość uraził jego dumę. W dwójnasób.

– Winszuję, Charlie, uroczą rodziną. I zdyscyplinowaną służbą. Od razu widać, że wszyscy chodzą jak w zegarku. A to brzydactwo? Skąd ją wytrzasnąłeś?

Mailer wychylił głowę na zewnątrz i zaśmiał się złośliwie.

- Ach, masz na myśli upiorną pannę Marchant. To nasza guwernantka. W istocie straszycie ją jakich mało, ale jakimś cudem potrafi utrzymać w ryzach nie tylko smarkaczy, ale i moją żalostną żonę. Szczerze ubolewam nad tym, że taka z niej szkarada. Na dobitek chuda jak tyczka. Nie cierpię kobiet bez biustu. No, sam powiedz, co to za baba, co nie ma cycków ani kawałka tyłka? Im więcej, tym lepiej. - Ostatnich kilka zdań padło, kiedy wysiedli z powozu, a jako że psom akurat znudziło się szczekanie, usłyszeli je dokładnie wszyscy. Z drobną i chuderlawą lady Caroline na czele. Charles naturalnie nic sobie z tego nie robił.

- Milordzie. - Caro dygnęła przed mężem i ukradkiem pociągnęła pasierbicę za sukienkę. Dziewczynka także się ukloniła, a jej brat skłonił głowę. - Panie Redgrave, radzi jesteśmy pana gościć. Daisy, zechcesz odprowadzić dzieci do pokoju dzieciennego?

Panna Marchant pociągnęła za smycz i skinęła na swoich podopiecznych.

- Daisy? - Zatrzymał ją Valentine. Usiłował zajrzeć jej w oczy, ale uparcie spuszczała wzrok. - Łatwo zapamiętać. Klacz mojej siostry też wabi się Daisy. To kasztanka, da pani wiarę? Jest identycznej maści jak pani włosy. A jak trzyma się pani w siodle? Wytrawna z pani amazonka?

Mailer parsknął niepohamowanym śmiechem i klepnął Vala w plecy. Tak mocno, że ten niemal stracił równowagę.

Guwernantka podniosła głowę i posłała im obu mordercze spojrzenie.

Hm... zatem oczy Panny Niepozornej są niebieskie, pomyślał z satysfakcją Val. Waleczne. I bardzo bystre. Do następnego razu, Daisy...

- Przepraszam za męża, Daisy - powiedziała ponuro lady Mailer, siadając przy toalecie. Wyglądała żalostnie, jakby zbierało jej się na płacz. - Nigdy nie zważa na to co mówi.

Guwernantka wsunęła szczotkę w jasne włosy Caroline. Nie pierwszy raz wezwano ją do apartamentów pani. Często usługiwała jej w charakterze pokojówki. Godzinę wcześniej, tuż po kolacji, zostawiła siedmioletnią Lydię i trzyletniego Williama pod opieką piastunki.

Teraz pomagała Caro zmienić toaletę. Jako pani domu lady Mailer miała obowiązek zejść jeszcze raz do bawialni, aby dotrzymać towarzystwa małżonkowi oraz jego gościowi.

Panna Marchant żalowała, że nie potrafi do niej dotrzeć. Bóg świadkiem, przez cały ubiegły miesiąc próbowała namówić ją do jedzenia. Zazwyczaj na próżno. Kiedy już coś w sobie wmusiła, natychmiast biegła na górę, żeby wszystko zwrócić. Tak jak dzisiaj.

Z początku Daisy sądziła, że chlebodawczyni cierpi na jakąś dziwną przypadłość. Później myślała, że oczekuje dziecka. Po tym, co usłyszała dziś od Mailera, doszła do wniosku, że lady Caroline zwyczajnie głodzi się na śmierć, żeby oszczędzić sobie nocnych wizyt małżonka. Cóż, na jej miejscu pewnie postąpiłaby tak samo... Albo zamiast dręczyć samą siebie, zrzuciłaby mu na głowę cegłówkę. Może powinna podsunąć jej ten pomysł...?

Z pewnością nie zaszkodzi, ale nie teraz. Najpierw chciała zadać jej kilka pytań.

- A pan Redgrave? Zdaje się, że on także nie zwraca uwagi na to, co mówi...

Caro spojrziała na nią w lustrze.

- Sama nie wiem... Nic z tego nie rozumiem. W Londynie zawsze był dla mnie bardzo miły i uprzejmy. Może postąpił tak gruboskórnie, bo jesteś służącą? Choć to naturalnie nie powinno robić różnicy... W każdym razie prawdziwy dżentelmen nigdy by się tak nie zachował.

- W rzeczy samej. Może pan Redgrave nim nie jest.

- Możliwe. Ale przyznasz, że ma nienaganną prezencję. Jest zadbany i... czysty... O mój Boże, nie powinnam była tego mówić. Przecież w ogóle mnie to nie interesuje. Z drugiej strony, skoro już trzeba... to lepszy ktoś taki niż...

Panna Marchant pozwoliła jej pograżyć się we własnych myślach. Sama także miała nad czym się zastanawiać. Nie po raz pierwszy przywołała w pamięci obraz Redgrave'a.

Zastanawiała się, w jakim jest wieku. Sama liczyła sobie zaledwie dwadzieścia dwa lata. Rzecz jasna, nie miało to najmniejszego znaczenia. Zwłaszcza, odkąd kilka godzin temu przyrównał ją do klaczy. A potem jeszcze ta okropna aluzja. „Jak się pani trzyma w siodle?” Gbur. Tak czy owak, na jego przystojnej twarzy nie dostrzegła ani jednej zmarszczki. A zatem nie może być dużo starszy od niej. Najwyżej kilka lat.

Wytworne, doskonale skrojone odzienie leżało na nim jak druga skóra. Prawdopodobnie nie było to wyłącznie zasługą krawca. Choć Redgrave był wysoki i szczupły, z pewnością nie brakowało mu muskulatury. Szerokie ramiona i mocno zarysowane mięśnie od razu rzucały się w oczy. Od szyi w dół prezentował się jak ideał dżentelmena. Za to jego włosy stanowiły nie lada zagadkę. Czarna, nieokiełznana czupryna zupełnie nie pasowała do reszty wizerunku, ale niewątpliwie wyglądał dzięki niej na młodszego, niż był w rzeczywistości. Młodszego i bardziej przystępnego.

Miał orli nos i piękne usta, po których błąkał się nieodłączny, ironiczny uśmieszek. Najbardziej jednak zaintrygowały ją jego niesamowite, bursztynowe oczy okolone długimi ciemnymi rzęsami. Przez moment zdawało jej się, że widzi w nich współczucie, ale zapewne poniosła ją wyobraźnia. Wmówiła sobie nawet, że patrzy na nią tak, jakby chciał przeprosić za to, co powiedział.

Ale to przecież niemożliwe... W końcu przyjechał do Fernwood z Mailerem, a to oznacza, że łączy ich pewna zażyłość. Trudno o gorszą rekomendację.

- Dziękuję, już mi lepiej - odezwała się lady Caroline. - Chyba wystarczy tego czesania.

Panna Marchant odsunęła się i rozprostowała obolałe plecy.

- Naturalnie, milady. Czy mam zawołać Davinię, żeby upięła pani z powrotem włosy?

Caro wzdrygnęła się i spuściła głowę.

- Tak, poproś ją na górę - westchnęła ciężko, spoglądając na swoje odbicie. - Nie mogę tego dłużej odwlekać. Na szczęście dziś podejmujemy wyłącznie pana Redgrave'a. Niestety jutro zjadą się inni. Obawiam się, że zrobi się znacznie gorzej. Charles nie podał mi nawet nazwisk swoich gości. Zresztą może lepiej nie wiedzieć? Jak sądzisz? Och, znów za dużo mówię. Może skropiłabyś mi chusteczkę kilkoma kroplami laudanum?

Daisy poklepała ją po ramieniu. Chciałaby jej jakoś pomóc, ale nie mogła. Jeszcze

nie teraz. Mogła za to spróbować dodać jej otuchy.

- Krople to raczej nie najlepszy pomysł. Nie chce pani chyba zasnąć w trakcie rozmowy? Z nosem w filiżance? To by dopiero był widok. Pójdzie jak z płotka, zobaczy pani. Proszę tylko pamiętać, co pani doradziłam.

- A tak, mam rozprawiać wyłącznie o dzieciach i pogodzie. Uznają, że jestem śmiertelnie nudna, i dadzą mi spokój. Prawdę mówiąc, rzeczywiście jestem nudna. Nie pojmuję sensu połowy tego, co do mnie mówią, a kiedy już się śmieję, to zawsze w niewłaściwych momentach. Ludzie z reguły mnie męczą. Nie potrafię się przy nich odprężyć, jestem podenerwowana i często odbiera mi mowę. Wszyscy wydają mi się tacy niemili i okrutni.

Wychodzą ze swoich legowisk przy pełni księżyca niczym mityczne bestie. Zbudzone z wiecznego snu przez swego okrutnego stwórcę, czają się z rozpostartymi szponami i odsłoniętymi kłami, gotowe rzucić się na bezbronną ofiarę i rozszarpać ją na strzępy. Moja kochana Rose, musiałaś być przerażona, kiedy zrozumiałaś, co cię czeka. Bądź cierpliwa, siostrzo. Wytrzymaj jeszcze trochę. Być może tym razem zdradzą się z czymś, co pozwoli mi cię odnaleźć...

- Daisy, zabierz rękę. Zadajesz mi ból. Daisy...

Panna Marchant podskoczyła jak oparzona. Ocknąwszy się nagle, spostrzegła, że ściska boleśnie ramię lady Caroline. Czowała się taka bezsilna i bezużyteczna. Nie zdołała uchronić siostry. Nie umiała też ulżyć w cierpieniach kobiecie, która na swoje nieszczęście została żoną Mailera. Po części dlatego, że sama nie do końca rozumiała, co się dzieje. Wiedziała jedynie tyle, że jest znacznie gorzej, niż przypuszczała.

- Najmocniej przepraszam. Zamyśliłam się.

- Zdaje się, że nie rozmyślałaś o niczym przyjemnym. Wybacz. Nie chciałam psuć ci nastroju narzekaniem. Ale nie martw się. Przygnębienie wkrótce minie. To pewnie zapowiedź mojej comiesięcznej niedyspozycji.

Daisy nie przepadała za rozmowami na tak intymne tematy. Za to jej chlebodawczyni wspominała o kobiecej przypadłości niemal nieustannie. Jakby miała na jej punkcie obsesję.

- Dokuczają pani bóleści? - zapytała ze współczuciem.

- Nie w tym rzecz. Martwi mnie raczej to, że się spóźnia.

Guwernantka ujęła w dłoń dzwonek, aby przywołać pokojową, choć była więcej niż pewna, że stara wiedźma od dawna tkwi pod drzwiami z uchem przyklejonym do dziurki od klucza.

Nie darzyła sympatią leciwej służącej, która na każdym kroku obnosiła się ze swoim niezadowoleniem i kwaśną miną. Davinia usługiwała wprawdzie lady Caro, lecz wypłatę dostawała od Mailera i to wobec niego pozostawała lojalna.

- Nie mogę nawet kłamać - poskarżyła się szeptem Caroline. - Ona o wszystkim mu donosi... Uwaga... nadchodzi. - Spojrzała porozumiewawczo na pannę Marchant. - Możesz wracać do dzieci - powiedziała głośno. - Poradzimy sobie same. Davinia bardzo się o mnie troszczy. Prawda, moja droga?

Pokojowa nie raczyła odpowiedzieć. Machnęła ręką w stronę Daisy, jakby opędzała się od natrętnej muchy, po czym zabrała się do fryzowania włosów lady Mailer.

Guwernantka pożegnała się i wyszła na korytarz. Pograżona w zadumie nie

sprawdziła, czy jest sama. Rozprostowała ramiona i nie oglądając się za siebie, ruszyła naprzód.

- Daisy, cóż za miła niespodzianka. Dokąd to tak pędzisz?

Redgrave. Odwróciła się i dygnęła, ale nie podniosła wzroku.

- Wracam do dzieci, proszę pana - mruknęła niewyraźnie.

- Zamierzasz uczyć ich przez sen rachunków, jak mniemam? A przed chwilą do-
glądałaś pani. Jednym słowem, masz pełne ręce roboty. Chytrze. Bardzo chytrze...

Miała szczerą ochotę poderwać głowę i posłać mu piorunujące spojrzenie. Uznała jednak, że rozsądniej będzie zachować spokój.

- Niestety zupełnie nie pojmuję, o co panu idzie. Wybacz pan, ale spieszy mi się.

Zastąpił jej drogę.

- Proszę zaczekać. To potrwa tylko chwileczkę. Odkąd przyjechałem, intryguje mnie pani los, a trzeba pani wiedzieć, że jestem chorobliwie ciekawski. Nie będę mógł w nocy zasnąć, jeśli czegoś się o pani nie dowiem. Niech zgadnę, jest pani sierotą bez grosza przy duszy? Córką zubożałego duchownego, względnie nauczyciela? Możliwości jest bez liku. Pani matka mogła, dajmy na to, popełnić mezalians, pani ojciec został wydziedziczony, a może to panią pozbawiono spadku? Czy mam wymyślać dalej?

Najwyraźniej był jednym z tych, którzy nigdy nie dają za wygraną. Wyczytała to z jego uśmiechu. Jeśli nie zaspokoi jego wścibstwa, gotów trzymać ją tu do świtu. Spróbowała go wyminąć. Na próżno. Gdy przesunęła się w prawo, on przesunął się w lewo, kiedy ruszyła w lewo, on uskoczył w prawo.

- Niezwykła przenikliwość, panie Redgrave - powiedziała, zadzierając podbródek. - Istotnie, moim ojcem był wielebny James Marchant, niezamożny pastor z Hampshire. Był też nauczycielem. Dawał ubogim chłopcom lekcje łaciny. *Fere libenter homines id quod volunt credunt*. To jedno z jego ulubionych porzekadeł.

- Ludzie chętnie wierzą w to, w co chcą wierzyć, Juliusz Cezar. A zatem jest pani także sawantką. Nic dziwnego, że trzyma się od pani z daleka. Tacy jak on boją się bystrych kobiet. Cóż, wiem już wszystko, co powinienem wiedzieć. Może pani odejść.

Tacy jak on? Bez wątpienia miał na myśli Mailera. Tym razem nie zamierzała udawać, że nie wie, o czym mowa. Kusiło ją za to, żeby wytknąć mu zuchwalstwo. Jakim niby prawem dyktował jej, kiedy ma odejść? Sądzi, że będzie ją przywoływać i odprawiać jak służącą? Niedoczekanie. To nie u niego najeła się na służbę. Już miała otworzyć usta, lecz nagle się rozmyśliła. Lepiej jak najprędzej zniknąć mu z oczu. I tak stanowczo za bardzo się nią zainteresował. Zupełnie nie rozumiała z jakiego powodu. Jak dotąd żaden z gości Mailerów nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

- Dziękuję, panie Redgrave - powiedziała słodko. Miała nadzieję, że nie usłyszał w jej głosie sarkazmu.

Kiedy dygnęła i odwróciła się, żeby odmaszerować, nieoczekiwanie przysunął się i chwycił ją za łokieć. Zajrzała w jego niesamowite bursztynowe oczy i niemal zamrugała z wrażenia. Były nie tylko piękne, lecz także inteligentne i pełne poczucia humoru.

- Nie ma za co, Daisy! - uśmiechnął się zachęcająco. - Pozwól, że coś ci powiem.

Naprawdę mogłaś sobie darować te szkaradne okulary. Nawet pijany ślepiec jest bardziej spostrzegawczy niż twój chlebobawca. Kamuflaż kamuflażem, ale uwierz mi, to gruba przesada.

Szkaradne? A była z nich taka dumna... Wybrała najbardziej nietwarzową parę, jaką znalazła, i kazała oprawić w niej zwykłe szkła. Zwykłe, ale odpowiednio grube. Dzięki temu wszyscy sądzili, że jest ślepa jak kret, i przez trzy miesiące omijali ją z daleka, jakby była niewidzialna. Czowała się zupełnie bezpieczna, aż nagle zjawił się on, Valentine Redgrave. I przejrzał ją w jednej chwili.

Popatrzyła na niego, jakby nagle wyrosły mu rogi. Była tak wstrząśnięta i przerażona, że na moment zamarła, niezdolna wydusić z siebie choćby słowo. Miała wrażenie, że krew ścina jej się w żyłach, a żołądek podchodzi do gardła. Obawiała się, że za chwilę zemdleje.

- Daruje pan, ale nie wiem, o co panu chodzi...

Puścił ją i uniósł sceptycznie brew.

- Naturalnie, że nie wiesz. Nie zapytam, dla kogo pracujesz, bo chcę wierzyć, że idioci z Downing Street nie są aż tak durni, żeby powierzyć tajną misję komuś, kto od razu rzuca się w oczy. Tak czy owak, niepozorny wygląd to nie wszystko, zwłaszcza że pozory czasem mylą. Radziłbym wziąć to sobie do serca.

Dla kogo pracuję? - powtórzyła w myślach. Idioci z Downing Street? Co on wygaduje, na miłość boską? - zastanawiała się gorączkowo. I kim właściwie jest?

Zaczynała się w tym wszystkim gubić, mimo to postanowiła zaryzykować. To pewnie te jego oczy, tłumaczyła sobie. Może była naiwna i łatwowierna, jak jej siostra. A może zwyczajnie potrzebowała sojusznika i dlatego chwyciła się nadziei, że znajdzie go właśnie w nim? Od dłuższego czasu miała poczucie, że natknęła się na coś, co znacznie ją przerasta. Jeżeli Redgrave pojawił się w tym domu z własnymi, ukrytymi motywami, to być może wiedział, co się święci. Ona wiedziała jedynie tyle, że nic dobrego.

- Pozory mylą, panie Redgrave? Czy w pańskim mniemaniu dotyczy to jedynie złudnego wyglądu? Czy zachowanie także może wprowadzać w błąd i niekoniecznie świadczyć o prawdziwej naturze człowieka?

- Grzeczna dziewczynka. Jak zwykle utrafiłaś w samo sedno. Nie cierpię długich wyjaśnień, ale instynkt, a ten nigdy mnie nie zawodzi, podpowiada mi, że tym razem będę zmuszony ci się wytłumaczyć. A ty mnie. Niestety bez tego się nie obędzie. Dziś jednak już za późno. Kiedy i gdzie możemy się spotkać jutro?

Tego się nie spodziewała. Pan Redgrave był prawdopodobnie najbardziej nietuzinkowym i nieprzewidywalnym mężczyzną, jakiego poznała. Może powinna przywyknąć do tego, że będzie ją zaskakiwał za każdym razem, kiedy otworzy usta.

- Cóż... codziennie wychodzę z dziećmi z domu na co najmniej trzy godziny. Najpierw po śniadaniu, a potem po podwieczorku. Nalegam, aby spędzały dużo czasu na świeżym powietrzu. Rzecz jasna, o ile dopisuje pogoda.

- Ma się rozumieć. Nie pozwoliłabyś przecież, żeby się pozaziębiały. Jak rozumieć, aniołki będą nam towarzyszyć w charakterze przyzwoitki? Bardzo słusznie. Daję ci uroczyste słowo honoru, że będę wzorem wszelkich cnót. Nie zrobię niczego, co mogłoby zgorszyć ich niewinne duszyczki. Do zobaczenia, Daisy. Aha, jeszcze jedno. Na twoim miejscu nie robiłbym żadnych głupstw. Gdyby na przykład przyszło

ci do głowy przeszukać moje pokoje, Piffkin wystraszyłby się pewnie na śmierć.

Zamrugła zdezorientowana.

- Przywiózł pan ze sobą psa?

Jego uśmiech był jak promień słońca, który przedziera się przez chmury tuż po deszczu. Wydawało jej się, że czuje bijące od niego ciepło, i nagle zapragnęła się w nim ogrzać. Zbyt długo była zdana wyłącznie na samą siebie. Może wreszcie zyska sprzymierzeńca. Oby...

- Nie psa, Daisy, lecz kamerdynera, ale twoja pomyłka jest w pełni zrozumiała. Gdybym miał psa, pewnie właśnie tak by się wabił. W każdym razie, Piffkin, w przeciwieństwie do żalonych bestii Mailera, nie ujada. Za to w razie potrzeby gryzie jak najprawdziwszy brytan. - Valentine zerknął z niepokojem na drzwi garderoby lady Caro. Wydawało mu się, że coś usłyszał. - Nie możemy dłużej rozmawiać. Zaraz nas ktoś nakryje.

- Ale nie zdążyliśmy nawet... Dlaczego niby nie możemy zamienić kilku słów na korytarzu...? A niech to! - Westchnęła, spoglądając na jego plecy, kiedy zwawym krokiem zmierzał ku schodom.

Co się właściwie stało? Czemu tak łatwo mu uwierzyła? - wyrzucała sobie. Gdzie się podziała jej wrodzona nieufność? Jeden uśmiech, jedno spojrzenie bursztynowych oczu wystarczyły, by przełamać jej opór. I te jego niesforne włosy! Aż świerbiły ją palce, żeby ich dotknąć.

Valentine Redgrave... Czy okaże się sojusznikiem, którego tak bardzo potrzebowała, czy niezwykle przebiegłym wrogiem?

Dziś była pewna tylko tego, że jest najurodziwszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek dane jej było oglądać. Zapewne dlatego tak bardzo chciała mu zaufać. Trudno było się oprzeć jego urokowi. Byle tylko nie rozczarowała się tak jak jej biedna siostra...

ROZDZIAŁ TRZECI

- Cóż to, Charlie, jemy dzisiaj sami? - zapytał Valentine, usiadłszy przy stole w jadalni. - Śniadanie w kameralnej atmosferze... Hm... miła niespodzianka.

Jego lordowska mość łypnął na niego, oblizując z warg resztki jajka na miękko. Kawalek białka przykleił mu się do brody i zastygł, tworząc nieestetyczną białą plamę. Okropność, pomyślał Redgrave, odruchowo pocierając podbródek.

- Widziano cię wczoraj na korytarzu w towarzystwie guwernantki - zaczął bez wstępów Charles. - O czym z nią rozmawiałeś? Czyżby mimo wszystko wpadła ci w oko i raptem zapragnęłaś schadzki?

A więc jednak się nie przesłyszał, kiedy wydawało mu się, że w pokoju Caroline skrzypnęły drzwi. Ktoś je najwyraźniej uchylił.

Hm... Jak zareagować? Udawać urazę? Zdumienie? Cokolwiek powie, musi to zrobić szybko. Jeśli będzie zwlekał z odpowiedzią zbyt długo, Mailer zorientuje się, że coś jest na rzeczy.

- Daisy? - odezwał się, podjąwszy decyzję. Postanowił na razie zignorować fakt, że służba w tym domu nie stroni od donosicielstwa. Zależało mu przede wszystkim na tym, żeby sekret panny Marchant nie wyszedł na jaw. - Zupełnie nietrafione imię, słowo daję. Bardziej pasowałoby do niej jakieś trujące albo kolczaste zielisko^[5]. Skoro tak bardzo cię to interesuje, wyznam, że ponieważ odezwało się we mnie sumienie. Koniec końców, jestem dżentelmenem. Kiedy mijaliśmy się na korytarzu, zrobiło mi się jej żal i uznałem, że nie zaszkodzi przeprosić za mój wcześniejszy brak manier. Przypuszczam, że biedaczka ma wystarczająco ciężkie życie i bez moich niewybrednych żartów. Oby tylko po tym wszystkim nie zapalała do mnie gwałtownym afektem. Obawiam się, że czekałoby ją srogie rozczarowanie. Nie chciałbym na nią spojrzeć nawet, gdyby stanęła przede mną goła, jak ją Pan Bóg stworzył, i błagała o odrobinę uwagi. - Położył na talerzu tost i sięgnąwszy po masło, spojrzął na gospodarza spod przymrużonych powiek. - Swoją drogą, ciekawi mnie, dlaczego każesz śledzić moje poczynania. Zechcesz mi to objaśnić? Będę zobowiązany.

Idealna taktyka. Najpierw uderzyć się w piersi i wyznać: *mea culpa*, a zaraz potem odwrócić karty i zamienić się w oskarżyciela. Rady Kate są bezcenne. Mailer wyraźnie się spieszył. Wygląda, jakby uszło z niego całe powietrze. Aż miło popatrzyć.

- Chciałem tylko zapytać, czy ci się nie naprzykrza. To wszystko. - Charlie zdecydowanie nie był mistrzem improwizacji. - Żona najęła ją kilka miesięcy temu pod moją nieobecność. Nie miałem więc sposobności przyjrzeć się jej poczynaniom. Nie jest wprawdzie złodziejką, ale kto ją tam wie, do czego jest zdolna... Sprawdziłem raz, czy się skusi. Zostawiłem na widoku sygnet, ale nie wzięła...

Val rozłożył sobie na kolanach serwetkę.

- Ten, który masz na palcu? Może zwyczajnie nie jest w jej guście?

Charles wyciągnął dłoń i przyjrzał się brylantowej róży oprawionej w złoto.

- Nie pojmuję, co ci się w nim nie podoba... Sądzisz, że nie jest wystarczająco mę-

ski? W końcu to kwiat i...

Chętnie wepchnąłbym mu ten przeklęty pierścionek do nosa, żeby łatwiej go było zań wodzić. Żaloszny megaloman. Z pewnością nie jest przywódcą. To tylko szeregowy rekrut, nikt ważny. Jego wiedza może być przydatna, ale szukam znacznie grubszego zwierza...

- Nic podobnego. Mówiłem ci już, że to ładne cacko. O ile się w takich gustuje...

Mailer zdjął pierścień i wsunął go sobie do kieszeni.

- Rzecz w tym, że... - zaczął, wykrzywiając usta. - Otóż, wydaje mi się... Krótko mówiąc, czasem podejrzewam, że panna Merchant jest całkiem... bystra - ostatnie słowo wypowiedział z taką miną, jakby miał w ustach piołun.

Redgrave zakrztusił się i zakrył dłonią usta. Głównie po to, żeby się nie roześmiać.

- Coś podobnego... - skwitował nie bez drwiny. - Wydawało mi się, że lotny umysł to u guwernantki rzecz pożądana, ba, nawet konieczna.

- Guwernantki, też mi coś! Przecie te moje gnojki ledwie z pieluch powyrastały! Lydia ma siedem lat, a William to zafajdany trzylatek. Na cóż takim smarkaczom guwernantka, pytam się? Towarzyszka zabaw i owszem, ale guwernantka? Tak czy owak, nie podoba mi się to. Z początku nie zwracałem na nią uwagi, ale powiadam ci, ta dziewczucha jest jakaś... dziwna. Czasem aż mnie ciarki przechodzą, kiedy znajdzie się w pobliżu. Nieraz przyłapałem ją, jak mi się przygląda i...

- I co? Też zaczęłaś jej się przyglądać? - Valentine wbił widelec w plaster szynki. Kto by pomyślał, że słowne potyczki z bałwanami tak bardzo wzmagają apetyt... - Mam nadzieję, że żartujesz, Charlie - dodał, marszcząc brwi. - Nie jesteś chyba aż tak zdesperowany. Równie dobrze mógłbyś zacząć się uganiać za kijem od szczotki. Ustaliliśmy już, że to wyjątkowa paskuda, czyż nie?

- Ale co też ty, Val?! - zaprotestował Mailer. - Niech mnie ręka boska broni! Mówię tylko, że zbyt często się na nią natykam. Gdziekolwiek spojrzę, tam ona. Brr! Poza tym nie przepadam za rudymi...

Redgrave popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Doprawdy?

- Tak, tak, wiem. Sam jestem rudy, ale uwierz mi, nie cierpię swoich włosów. Na szczęście noszę je na czubku głowy, więc nie muszę ich ciągle oglądać.

Valentine potrząsnął głową i roześmiał się w głos.

- Niezgorszy z ciebie oryginał, Charlie, słowo daję. Nic dziwnego, że tak bardzo przypadłeś mi do gustu. Nikomu innemu nie udałooby się zaciągnąć mnie na wieś. - Wystarczy jeden tani komplement i już puszy się jak paw. Błazen. - Opowiedz mi lepiej o przyjęciu, którym mnie tu zwabiłeś. Miałeś gościć mnóstwo ludzi, tymczasem widzę wyłącznie nas dwóch. Naturalnie jest też twoja szanowna małżonka...

- Cóż, dziś z samego rana nadeszła wiadomość. Wyniknęły pewne komplikacje i... słowem, mamy opóźnienie. Niestety reszta towarzystwa dołączy do nas dopiero za kilka dni.

Val zastanowił się nad tym, co usłyszał, i uśmiechnął się w duchu. Jak to ujął Charles, „wyniknęły pewne kwestie...”. Ha, dobre sobie... Przypuszczał, że reszta towarzystwa wciąż próbuje odnaleźć zaginiony ładunek z Francji. Zapewne szukają nie tylko utraconych dóbr, lecz także czcigodnego Ambrose'a Webbera, który zamiast

dać się pojmać, wybrał samobójczą śmierć, i którego doczesne szczątki spoczywają obecnie na dnie morza w okolicach Dover.

- Wielka szkoda - oznajmił na użytek gospodarza. - Bardzo wielka... Czy owi spóźnialscy mają jakieś nazwiska, czy może postanowiłeś zrobić mi niespodziankę? Jeżeli tak, to powinieneś wiedzieć, że nie cierpię niespodzianek. Obiecywałeś ożywione dysputy polityczne i uciechy, których nie sposób kupić nawet w najbardziej wyzwolonych i tolerancyjnych zamtużach. Bez zagorzałych dyskusji mógłbym jakoś się obejść, ale bez cielesnych przyjemności... Z tym będzie znacznie gorzej. Nie na to się pisałem. Jeśli nie zamierzasz wywiązać się ze swoich zapewnień, mówię pas i wyjeżdżam. Nie będę gnił na wsi w imię...

- Ależ nie! Nie możesz teraz wyjechać! To znaczy... ominęłaby cię najlepsza zabawa. A co się tyczy pozostałych gości, to... - Charles spojrział bezradnie na talerz i przegarnął widelcem resztki wędzonego śledzia. - Jak by to powiedzieć, właśnie w tym rzecz... Wszystko, o czym ci opowiadałem, to szczerą prawdą, nawet sobie nie wyobrażasz, co tu się czasem wyprawia... Tyle tylko że... Ale zdaje się, że już ci to kiedyś tłumaczyłem, nieprawdaż? - Podniósł wzrok w nadziei, że Redgrave skróci jego męki. - Nie tłumaczyłem? Jesteś pewien?

Valentine wyobraził sobie, że wpycha mu do gardła calusieńkiego śledzia. Wraz z łbem i ogonem. Myśl niegodna prawdziwego chrześcijanina, ale tylko dzięki niej zapanował nad kipiącym gniewem.

- Nie, nie tłumaczyłeś. Z pamięcią u mnie, dzięki Bogu, jeszcze nie najgorzej. Możesz mi wszystko wyłożyć tu i teraz. To jest, jeśli skończyłeś już sekcję zwłok nieśczęsnego śledzika. Przyznam, że jestem coraz bardziej zaintrygowany.

Mailer odłożył widelec.

- Otóż... Chodzi o to, że... że sam nie wiem, kto właściwie ma przyjechać. To zależy. Moi goście często się zmieniają. Raz przyjeżdżają ci, raz inni. Idzie o... tę, no, o... różnorodność. Jak to mówią, w życiu potrzeba różnorodności.

- Odmiany, mój drogi, odmiany. Mówi się: „w życiu potrzeba odmiany, nie ma nic gorszego niż nuda”. Zdaje się, że autorem tego powiedzenia jest Cowper^[6]. Tak czy inaczej, nadal nic z tego nie rozumiem. W końcu jesteś gospodarzem owego przyjęcia. Jak możesz nie wiedzieć, kogo będziesz gościć?

Charles odprawił gestem kamerdynera i odpowiedział dopiero wtedy, gdy zamknęły się za nim drzwi:

- Czasem znam nazwiska gości, zwłaszcza kiedy spotykamy się tu, w Fernwood. Częściej jednak zbieramy się w innych miejscach. Wówczas pozostajemy bardziej... anonimowi.

- Czasem to, czasem tamto. Coś mi się zdaje, Charlie, że jesteś zwykłym gawędziarzem. Rozprawiasz o swoich licznych podbojach i znajomościach, ale to tylko zwykłe gadanie. Przechwałki i pobożne życzenia. Nic więcej. Wyłożyłem ci uczciwie, na czym mi zależy. Wiesz, jakie mam apetyty... Zapewniałeś mnie, że zostaną zaspokojone!

- I zostaną. Masz na to moje słowo. Wszystko, na co tylko będziesz miał ochotę. Londyńskie domy uciech nie mogą nam dać tego, na co obaj zasługujemy. Pamiętasz, jak się skarżyłeś po wizycie w przybytku Madame la Rue, że jej dziewczęta nie pozwalają się wiązać? Zobaczysz, tu nie będzie z tym problemu. Spełnią każdą twoją

zachciankę. Wystarczy tylko trochę poczekać...

Najwyższa pora przejąć kontrolę nad sytuacją, pomyślał Val.

- Czcze przechwałki, powtarzam raz jeszcze - rzekł poirytowanym tonem, po czym rzucił serwetę na stół i podniósł się z miejsca. - Puszysz się i nadymasz, lecz nic z tego nie wynika. I nieustannie powtarzasz, że powinienem uzbroić się w cierpliwość. Szkopuł w tym, Charlie, że nie należę do ludzi cierpliwych. Daję ci dwa dni. Dłużej nie zniosę tej wiejskiej... sielanki.

Mailer także poderwał się z krzesła.

- Co tylko zechcesz - zapewnił z zapalem. - A dwa dni w zupełności wystarczą. W międzyczasie możesz zwiedzić posiadłość. Fernwood to uroczy zakątek.

- Za to twoja żona nie jest szczególnie urocza. Dopóki jestem w tym domu, wolałbym nie widzieć jej więcej przy stole. Rozumiemy się?

- Naturalnie, będzie, jak zechcesz. Zresztą jest niedysponowana. Prawie nie wychodzi ze swoich pokoi. Czy życzysz sobie coś jeszcze? Może przyślę ci wieczorem którąś z pokojówek? Mamy tu taką jedną, całkiem niczego sobie...

Redgrave prychnął zdegustowany.

- Co ty sobie wyobrażasz?! - ryknął na cały głos. - Pochodzę z szanowanej, arystokratycznej rodziny! Nie upadłem jeszcze tak nisko, by brać do łóżka służącą! To uwłaczające! Poniżej mojej godności! Jak w ogóle możesz coś takiego proponować? - Dla efektu dorzucił jedno z ulubionych powiedzonek babki: - Gdzieś ty się chował, człowieku? W lesie, z wilkami?

- Daruj, jeśli cię uraziłem, ale to jeszcze nie powód, byś mnie obrażał.

- Masz rację. To ja powinienem cię przeprosić. Wybacz, że się uniosłem. Cóż mogę powiedzieć? Czasami odzywa się we mnie gorąca hiszpańska krew. Lepiej będzie, jeśli na jakiś czas zejdem ci z oczu. Czemu miałbyś znosić moje fanaberie? Pójdę się przewietrzyć. Wrócę, kiedy ochłone, i porozmawiamy znowu przy kolacji. Może do tego czasu nadejdą jakieś wieści od pozostałych gości. A może powinniśmy nazywać ich raczej współuczestnikami... zabawy?

Charles roześmiał się nerwowo i skinął mu na pożegnanie.

- Zatem do zobaczenia.

Val obejrzał się, gdy stanął w drzwiach, lecz Mailer był już zajęty przeżuwaniami śledzia. Miał przy tym minę kota, który właśnie upolował kanarka. Osioł, pomyślał Val. Wydaje mu się, że rozmowa poszła po jego myśli i że zdołał zażegnać poważny kryzys.

Westchnąwszy w duchu, Redgrave wrócił do swego pokoju i przywołał kamerdynera.

- Raczysz chyba żartować? - zadrwił, kiedy ten wyłonił się z gotowalni ze świeżo wypucowanym cylindrem, parą czyściutkich rękawiczek oraz elegancką laską z rękojeścią z kości słoniowej. - Nie wybieram się na przechadzkę po Bond Street, lecz na spacer po wsi. Nie uważasz, że w związku z tym mogę choć na chwilę wziąć rozbrat z wizerunkiem dandysa?

Służący - ponury jegomość w nieokreślonym wieku, wrzucił ramionami i zajął się prasowaniem sterty nieskazitelnie białych fularów.

Nie wiedzieć czemu, Piffkin nigdy nie rozstawał się z rękawiczkami. Nie zdejmował ich nawet, kiedy przygotowywał kąpiel czy układał ręczniki. Poza tym był wyjątkowo

kowo wyrozumiały i niewiarygodnie spokojny, by nie powiedzieć, flegmatyczny. Do swoich obowiązków podchodził ze śmiertelną powagą i rodzicielską troską. Cały jego świat kręcił się wokół „panicza Valentine’a”.

- Naturalnie ma pan słuszość, jaśnie panie, jednakowoż na pańskim miejscu nie rezygnowałbym z łaski. W pobliskich lasach mogą grasować niedźwiedzie.

- Też wymyśliłeś! Na tej zatęchłej wyspie nikt od wieków nie widział niedźwiedzia. Chyba że masz na myśli te nieszczęsne osobniki, które sprowadzono z kontynentu, tylko po to żeby toczyły ze sobą walki ku uciesze żadnej krwi gawiedzi. Swoją drogą haniebna rozrywka.

- W rzeczy samej. Któryś z nich mógł zerwać się z łańcucha i uciec okrutnemu właścicielowi. A teraz być może błąka się po okolicy i spragniony zemsty na podłym rodzaju ludzkim wypatruje kolejnej, bezbronnej ofiary. - Z tymi słowy służący posłał Redgrave'owi szeroki uśmiech okraszony złotym zębem. Valentine zawsze podziwiał tę oryginalną błyskotkę, lecz nigdy nie śmiał zapytać, jakim sposobem znalazła się w ustach nieocenionego kamerdynera. Gdy miał siedem lat, piastunka powiedziała mu, że Piffkin otrzymał go w nagrodę za uratowanie życia księżniczce uwięzionej w wieży. Sam zainteresowany nigdy temu nie zaprzeczył. Cóż, każdy ma swoje tajemnice. Val także to i owo przed nim ukrywał, a przynajmniej tak mu się zdało...

- Spójrz tylko - rzekł, ujmując w dłoń łaskę. - Jak zwykle będę posłuszny i posłucham rady wiernego przyjaciela, któremu leży na sercu mój los.

- Pański los? - wyszczerzył zęby kamerdynier. - Idzie raczej o ewentualne skutki pańskiej nieroztropności. Gdyby podczas spaceru natknął się pan na dzikiego zwierza, musiałbym się nieźle napocić, żeby doprowadzić pana z powrotem do ładu; pozszywać rany, dokleić nadgryzione uszy i tym podobne. W przeciwnym razie nie mógłbym już nigdy pokazać pana pańskiej szanownej babce.

- A skoro o niej mowa, zdradź mi, z łaski swojej, ile hrabina wdowa płaci ci za niańczenie mnie? I jak często donosisz jej o moich poczynaniach? Zawsze mnie to nurtowało.

- Jaśnie pani jest bardzo opiekuńcza - odparł wymijająco Piffkin. - Martwi się o wszystkie swoje pisklęta... Dlatego niech pan będzie ostrożny podczas łowów i uważa na owe niedźwiedzie. Obawiam się, że jest ich tu całe mnóstwo - dodał i wrócił do prasowania, jakby dając znak, że zakończył rozmowę z podopiecznym.

Redgrave był z siebie całkiem zadowolony, kiedy wychodził na dziedziniec. Sporo dziś osiągnął, a nie wybiło jeszcze południe. Podczas rozmowy przy śniadaniu zyskał pewność, że jego „przyjaźń” z Mailerem nie jest przypadkowa. Obydwaj - rzecz jasna z zupełnie różnych powodów - starali się za wszelką cenę podtrzymać nową znajomość. Charles robił to na rozkaz swoich wysoko postawionych znajomych. Najprawdopodobniej przyjechał do Londynu specjalnie po to, żeby go znaleźć i wkraść się w jego łaski. Miał wy badać jego upodobania i poglądy polityczne. Potem wystarczyło sprawdzić, czy ziarno padło na podatny grunt, i zwabić go na prowincję obietnicami rozpasanych rozrywek. Valentine ze swej strony niezwykle przekonująco odegrał rolę rozpustnika i hulaki. Udając pijanego, opowiadał Charliemu niestworzone historie o swoich sypialnianych podbojach i paplał coś o zasypanych tunelach w Redgrave Manor. To w zupełności wystarczyło, aby rybka połknęła ha-

czyk.

Gospodarzowi tak bardzo zależało na tym, żeby zatrzymać cennego gościa w Fernwood, że z uśmiechem na ustach znosił jego najgorsze humory, a nawet jawne obelgi. Takie widać otrzymał rozkazy. Mocodawcy Mailera ani chybi pragnęli sprawdzić Valentine'a osobiście. Nim zaproponują mu, aby zasilił szeregi Towarzystwa, muszą się przecież upewnić, czy jest odpowiednim kandydatem. Są zbyt przebiegli i ostrożni, aby pozwolić sobie na jakiegokolwiek potknięcie.

Zapewne woleliby Gideona, który był spadkobiercą tytułu, lecz Val wydawał się łatwiejszym celem. Nie wiedział jednak, jak zamierzali go wykorzystać. Cóż, niebawem się przekona...

Jak dotąd sprawy szły po jego myśli. Bez trudu przekonał Charlesa, że są bratnimi duszami. Nie raz nad butelką wina wychwalał razem z nim Napoleona i utyskiwał na angielskie prawo dziedziczenia. Dlaczego niby pierworodnym synom należy się wszystko? – mówili. Niby w czym są lepsi od młodszego rodzeństwa? Przyjście na świat przed innymi to przecie żadna sztuka! A Bonaparte nagradza ludzi za zasługi, a nie kolejność urodzenia, i tak dalej, i tak dalej.

Wodził durnego Charliego za nos, jak chciał, a ten w niczym się nie połapał. Jego plan okazał się nie tylko błyskotliwy, lecz także skuteczny. Mógł sobie pogratulować, choć oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że tak naprawdę znalazł się w Fernwood niemal wyłącznie na życzenie bractwa.

Musi być bardzo ostrożny, bo zabójstwo to dla nich chleb powszedni. Wystarczy jeden fałszywy krok i znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Laska z bagnetem, but z wysuwającym z podeszwy sztyletem, a nawet pistolet, który nosił w kieszeni, mogą nie wystarczyć...

Na szczęście dość gładko poradził sobie z lady Caroline. Po pierwsze, miał nadzieję, że w swoich pokojach będzie bezpieczniejsza. Po drugie nie chciał, żeby go rozpraszała. Wczoraj przy kolacji wpatrywała się w niego smutnymi oczami, jakby chciała go prosić, żeby przyszedł jej na ratunek. A kiedy nie patrzyła na niego, wlepiła nieobecny wzrok w ścianę. Przemknęło mu przez myśl, że jako wdowa byłaby znacznie szczęśliwsza i bardziej zadowolona z życia. Mord nie leżał jednak w jego naturze, poza tym na razie Mailer był mu potrzebny żywy.

Teraz pozostawało jeszcze wyeliminować z gry fałszywą guwernantkę, przysłaną na przespiegi przez Percevala. Val wolał pracować sam. Działając w pojedynkę, był najbardziej skuteczny. Nie lubił mieć na głowie współników ani pomocników. Zwłaszcza kobiet. Po cóż zamartwiać się o dwie osoby? Wystarczyło, że musiał pilnować własnej skóry.

Wymachując laską, ruszył na poszukiwania panny Marchant i jej podopiecznych. Powtarzał sobie przy tym, że powinien jak najprędzej wyprawić ją w drogę powrotną do Londynu.

Szkopuł w tym, że nabrał ochoty, aby choć raz zobaczyć ją bez okularów i z rozpuszczonymi włosami...

- Daisy, Daisy, chcę do domu! - zajęczała Lydia. - Trzewiki mnie piją! Nie podoba mi się tu. Jest błoto i brzydko pachnie!

Panna Marchant zacisnęła zęby i przeklęła w duchu Redgrave'a. Wałkoń, pewnie

jeszcze wyleguje się w łóżku. Nikt mu nie powiedział, że dzieci zwykle budzą się o świcie? Niebawem skończą jej się pomysły na nowe zabawy. Czym by tu je zająć?

- Ależ, kochanie, mówiłam ci przecież, że zaplanowałam dla was lekcję botaniki. Dlatego przyszliśmy do szklarni. Nauczę was nazw tych wszystkich pięknych kwiatów.

Prawdę mówiąc, zaciągnęła ich do szklarni głównie po to, żeby nie było ich widać z okien. Lepiej, żeby Mailer nie przyłapał jej na rozmowie ze swoim gościem. O ile ten w ogóle raczy się zjawić.

Lydia posłała jej psotny uśmiech.

- William chyba raczej nie chce się niczego uczyć. Spójrz tylko, wyjada ziemię z doniczki.

- Och, na miłość boską... powinnam się była domyślić. Teraz wiem, dlaczego zwykle wolę nie zajmować się takimi małymi szkrabami. - Daisy podbiegła do chłopca i chwyciła go za rączkę, która rozsmarowywała na policzkach ciemne smugi błota. - I co ty najlepszego wyczyniasz, brzdącu?

Willie spojrzał na nią błękitnymi oczami i wyszczerzył ząbki. Potem wzruszył ramionami, jakby odpowiedź na jej pytanie była oczywista. Wzięła go na ręce i zaniósła do najbliższej pompy. Wkrótce chłopiec był czyściutki, czego nie można było powiedzieć o jej poplamionej sukience.

- Mam nadzieję, że nie wyciągnąłeś z doniczki żadnych różowych, poskręcanych stworzonek? Chyba niczego takiego nie zjadłeś, co, mały urwisie?

- Willie je robale! Willie je robale! - zawołała radośnie Lydia, skacząc dookoła brata. Najwyraźniej buty już jej nie uwierały.

- Wcale nie - zaprotestowała Daisy, spoglądając groźnie na malca. - Stój tu i nie ruszaj się ani na krok. Zrozumiano?

William wykrzywił usta i uderzył w płacz.

- Willie zjada robaki! Willie zjada robaki!

- Lydia! Na miłość boską, przestaniesz wreszcie?!

Nie spisałam się, pomyślała panna Marchant. Marna ze mnie guwernantka. Ciepłarnia to nie miejsce dla dzieci. Powinnam jak najprędzej zabrać je do domu na drugie śniadanie. William na pewno by się ucieszył, a Lydię mogłabym udobruchać obietnicą długiej bajki na dobranoc. Najlepiej o zionącym ogniem smoku i pięknym księciu, który ratuje z opresji księżniczkę...

Właśnie, ciekawe, gdzie się podziewa mój piękny książę? Zdaje się, że jednak nieprędko go zobaczę. A tak się starałam... Wybrałam idealne miejsce, jedyne, z którego nikt nie może nas nie zobaczyć. I jaka spotkała mnie nagroda? Dwójka kapryśkich i umorusanych dzieci, uwalana błotem sukienka i poskręcane od wilgoci włosy. Gdzie on jest? Najpierw nalega na spotkanie, a potem wystawia mnie do wiatru?

- Spójrzcie, moi drodzy, to jest róża - powiedziała, wskazując palcem jeden z najbardziej rozwiniętych pąków. Drugą ręką trzymała za kołnierz podopiecznego. Obawiała się, że znów jej ucieknie. - Z pewnością ma też skomplikowaną łacińską nazwę, ale nie musimy się jej teraz uczyć. Wystarczy, że zapamiętacie, że to różowa róża. Lydio, może chcesz powąchać? Willie, nie wierć się, proszę...

- Au, au, au! - wrzasnęła chwilę później Mailerówna. - Daisy, krew mi leci! Ojej! Krew mi leci.

William popatrzył na zawodzącą siostrę i znów się rozplakał.

- Pewnie chwyciłaś za kolec. Przestań skakać i pokaż. Tak, to kolec. Daj mi rączkę, to go wyciągnę.

- Nie! Nie chcę! Nie dotykaj mnie! To twoja wina, Daisy! To ty mi kazałaś powąchać kwiatek! Przez ciebie się skaleczyłam.

- Naturalnie. To wszystko moja wina. Okropnie mi się nudziło, więc wymyśliłam, że będzie ciekawiej, jeśli oboje zaczniecie beczeć. Boże drogi, co za okropny poranek.

- Ojoj, co tu się najlepszego wyprawia? Wydawało mi się, że słyszę piosenkę o robakach. Podszedłem bliżej i co widzę? Piękną księżniczkę. Zastanawiam się tylko, czemu ta księżniczka tak płacze?

Daisy zamarła. No tak, Redgrave. Wreszcie raczył zaszczyścić mnie swoją obecnością. I oczywiście wybrał najmniej odpowiedni moment. Cudownie, właśnie o tym marzyłam.

Lydia zachowała się, jak prawdziwa kobieta. Spojrzała na Valentine'a i natychmiast przestała chlipać. Wystarczył jeden jego uśmiech i zapomniała o bólu.

- Czy pan jest księciem? - zapytała, wpatrując się w niego jak w obraz.

- Tak, piękna pani - odparł, kłaniając się, jak przed królową. - Spóźnionym księciem z królestwa Redgravii.

- Och, na litość boską... Spóźniony książę? Doprawdy nie mógł pan wymyślić czegoś lepszego? - Guwernantka miała ochotę posunąć się do mordy, a do tej pory uważała się za niesłychanie spokojną i zrównoważoną młodą kobietę. Czasami broniła się przed światem sarkazmem, co często wytykał jej ojciec, ale poza tą jedną drobną słabostką była wzorem cierpliwości i opanowania. - Panienska Lydia ukłuła się w palec i nie pozwala mi wyjąć kolca - dodała gwoli wyjaśnienia.

- Nawet wiem, dlaczego, panno Marchant. - Val ukląkł w błocie i wyciągnął rękę do Mailerówny. - Na pierwszy rzut oka widać, że to magiczny cierń. Może go usunąć tylko prawdziwy książę... Ktoś, w czyich żyłach płynie błękitna krew...

- Ach tak? - odparła słodko Daisy. - Może w takim razie pobiegnie pan kogoś takiego poszukać? - Nie wiedzieć czemu kipiała ze złości. Prawdopodobnie dlatego, że naprawdę wyglądał jak... książę z bajki. Zupełnie nie mogła się przy nim skupić. Nie mógłby być odrobinę mniej przystojny?

Kiedy się uśmiechnął, przekłęta w duchu własną małość. Próbował jej pomóc, a ona potraktowała go, delikatnie mówiąc, wyjątkowo nieuprzejmie.

- Zechce pani podać mi rączkę, wasza wysokość?

Lydia dygnęła i położyła dłoń na jego dłoni.

Zrobiła to istic królewskim gestem. Zdaje się, że niektóre kobiety rodzą się po to, żeby kusić i uwodzić, pomyślała panna Marchant. Jej samej Stwórca poskąpił owej niewątpliwie przydatnej umiejętności.

Redgrave spojrzał dziewczynce w oczy i prawiąc jej komplementy, wyciągnął kolec. Następnie wyjętą z kieszeni, nieskazitelnie białą chusteczką wytarł jej z palca kropelkę krwi. Cała operacja trwała nie więcej niż kilka sekund.

- Jeśli wasza wysokość pozwoli, pocałuję, żeby nie bolało.

Daisy otworzyła usta, żeby zaprotestować, lecz nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Lydia kiwnęła ochoczo głową, a Valentine, przycisnął na moment usta do jej

kciuka.

- Wasza książęca mość ma na spodniach błoto - zauważyła z przekąsem, kiedy podniósł się z ziemi i stanął obok niej.

- Lepiej mieć brud na spodniach niż na nosie - odparł i roześmiał się, gdy odruchowo sięgnęła palcami do twarzy.

- Co pan opowiada? Przecież nie mam niczego na nosie.

- Racja, nie ma pani. Ale warto było posunąć się do małego oszustwa. Gdybym powiedział, że ktoś teraz za panią stoi, na wszelki wypadek odwróciłaby się pani, żeby to sprawdzić. Jest pani ciekawska jak każda kobieta, a to bywa niebezpieczne. Będę musiał pani pilnować.

Pilnować? Mnie? Cóż za tupet.

Sądziła, że będzie dziś poważniejszy, ale zachowywał się dokładnie tak samo jak wczoraj. W dodatku robił aluzje, których nie rozumiała. Nie była w nastroju do gier.

- Dzieci, pora wracać do domu - powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Lydia, która jeszcze przed chwilą skakałaby z radości, ani myślała się ruszyć. Była zbyt zajęta wpatrywaniem się w swoją rączkę.

- Nie chcemy do domu. Wolimy sobie popatrzeć na ładnego pana... Znaczy się... na ładne kwiatki, prawda, Willie?

Willie nie odpowiedział, jako że miał buzię pełną cukierków, które nie wiedzieć skąd pojawiły się w jego pulchnych dłoniach. Uśmiechał się szeroko do Valentine'a i raz po raz oblizywał wargi.

- Jest pan niemożliwy - stwierdziła Daisy. - Pańskie dzieci będą rozpuszczone jak dziadowski bicz. Nikt sobie z nimi nie poradzi.

Redgrave wzruszył ramionami.

- Jak mawia moja babcia, nad wyraz mądra kobieta, rozwijanie wyobraźni dziecka to nic złego. Dyscyplina natomiast nie przyniosła jeszcze nikomu niczego dobrego. Dorośli uczą maluchów moresu wyłącznie wtedy, kiedy pragną ułatwić życie samym sobie. - Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu. - To ona nas wychowała i, jak pani widzi, wyszliśmy na ludzi.

- Tak... to wiele tłumaczy. Pańskie siostry żyły w świecie niczym nieograniczonej fantazji, a bracia dostawali wszystko, co chcieli, i robili wszystko, na co tylko mieli ochotę.

- Mam dwóch braci i młodszą siostrę. Dorastaliśmy w dostatku, nie przeczę, ale nauczono nas także, że życie to nie tylko zabawa. Moja siostra, Kate, w zależności od nastroju nazywa mnie paskudnym ogrem albo rycerzem w lśniącej zbroi. Z przewagą tego ostatniego. Przy kimś takim jak ona odgrywanie roli bohatera i wybawcy to chleb powszedni.

Daisy zawstydziała się i przestąpiła z nogi na nogę.

- Cóż, dziś znów okazał się pan wybawcą.

- Zawsze do usług - odrzekł Val i spojrzał na służącego, który właśnie wszedł do szklarni. - Młody człowieku - przywołał go gestem i dla zachęty wręczył mu wyciągniętą z kieszeni monetę. - Panienska Lydia chciałaby, żebyś pomógł jej nazrywać kwiatów. Paniczowi Williamowi zaś przydałyby się łopatką i wiaderko. Będzie lepił ciastka z błota. Chłopcy uwielbiają bawić się błotem, prawda, Williamie?

Chłopiec zazwyczaj niewiele rozumiał z tego, co się do niego mówiło, lecz słowa Valentine'a trafiły do niego bez kłopotu. Natychmiast chwycił służącego za rękę i poszedł z nim bez najmniejszego sprzeciwu.

- Bukiet będzie dla pana, księżę, w podziękę za ratunek - wyszczebiotała Maile-równa i ukłoniwszy się, pomaszerowała za bratem.

Panna Marchant zamierzała się sprzeciwić, ale dała za wygraną. Redgrave pozbył się dzieci, żeby mogli swobodnie porozmawiać. Choć nie chciała się do tego przyznać, była ciekawa, co miał jej do powiedzenia. Żałowała tylko, że z błotem na sukience i przemoczonymi mankietami wygląda jak siedem nieszczęść. W dodatku włosy poskręcały jej się w loki przypominające wielkie korkociągi.

- Proszę się nie obawiać, dzieciom nic nie grozi - zapewnił Val. - Będą w pobliżu.
- Wyciągnął dłoń i dotknął pasma włosów, które wymknęło jej się z koka, a ona poczuła na plecach dreszcz. - Owinęły mi się wokół palca... Zupełnie jakby żyły własnym życiem. Chciałbym zobaczyć je kiedyś rozpuszczone...

Posłała mu piorunujące spojrzenie guwernantki strofującej krnąbrnego podopiecznego. Każdy na jego miejscu skuliłby się ze strachu albo przynajmniej z wrażeń. Każdy, ale nie Redgrave.

- W takim razie czeka pana gorzkie rozczarowanie. Miejmy nadzieję, że pańska babka nauczyła pana przyjmować z godnością życiowe niepowodzenia.

- Niestety, obawiam się, że w tym jednym względzie zawiodła - odrzekł niezrażony. - Tak się składa, że bardzo nie lubię przegrywać, ale do rzeczy. - Oparł się o drzewo i założył ręce na ramiona. - Zechce pani łaskawie wyjawić mi, kim jest?

- Kim jestem? - Na wszelki wypadek cofnęła się o krok. - Właśnie miałam zadać panu to samo pytanie. Zresztą, już się panu przedstawiłam, sama nie wiem dlaczego... Zazwyczaj nie jestem aż tak lekkomyślna i nie rozmawiam z nieznajomymi.

- Nadal twierdzi pani, że ma na imię Daisy? - Pokręcił głową. - Jakoś nie chce mi się w to wierzyć. Nie stać panią na coś lepszego, panno Marchant?

- Słucham?! - Przysunęła się i zadarłszy głowę, spojrzała na niego z niemym wyzwaniem. - Coś się panu nie podoba w imieniu Daisy?

Wzruszył ramionami.

- Cóż, jak już wspominałem...

- Ach tak, naturalnie! - weszła mu w słowo. - Jakże mogłabym zapomnieć? Klacz pańskiej siostry wabi się Daisy. A to ci zabawna... koincydencja. Bardzo śmieszne. Doprawdy, boki zrywać. Przykro mi, że pana rozczaruję, ale właśnie tak mnie ochrzczono i powiem więcej, czy to się panu podoba, czy nie, lubię swoje imię! A pan? Pan także lubi swoje? Valentine to dopiero powód do zmartwień. I drwin, jak sądzę.

Uniósł ręce w obronnym geście.

- W porządku, wygrała pani. Powiedzmy, że jesteśmy kwita. Czy teraz powie mi pani, po co się tu zjawiała?

- Jak to po co? Przecież prosił mnie pan o spotkanie. Uznałam, że jest pan osobą niespełna rozumu i w związku z tym należy obchodzić się z panem ostrożnie.

Poza tym, dodała w myślach, sądziłam, że usłyszę od pana coś strasznego, coś co od dawna podejrzewam, a czego wolałabym nie wiedzieć.

- Brawo, próbuje mnie pani przechytrzyć. Jak już mówiłem, jest pani bardzo by-

stra, ale tym razem to na nic. Proszę mi wierzyć, uwielbiam słowne utarczki, zwłaszcza z panią. Chętnie przedłużyłbym naszą miłą pogawędkę, lecz niestety nie mamy na to czasu. Za pozwoleniem więc, będę się streszczał. Otóż oczekuję, że natychmiast opuści pani majątek Mailera. I radziłbym przekazać swemu mocodawcy, kimkolwiek jest ów nieprzeciętny idiota, że miała pani więcej szczęścia niż on rozumu. Gdyby nie to, że obiekt, który obraliście sobie za cel, nie grzeszy spostrzegawczością, a mówiąc ściślej, jest wyjątkowo tępy, mogłaby pani bardzo źle skończyć. Kto wie, być może nie uszłaby pani z życiem. Aha, proszę mu także powiedzieć, że czcigodny Valentine Redgrave przesyła pozdrowienia i obiecuje złożyć mu niemiłą widzianą wizytę, jak tylko zdoła ustalić jego tożsamość. W głowie się nie mieści, że przysłał tu kobietę. Toż to czyste szaleństwo!

- Szaleństwo? Dlaczego zaraz szaleństwo? - Postanowiła udawać, że na wszystko się zgadza i że rozumie, o co mu chodzi. Liczyła na to, że dzięki temu zdradzi jej, w jakim celu sam przyjechał do Fernwood. Na razie zdołał ją jedynie wystraszyć. Po wysłuchaniu jego bezsensownej przemowy miała w głowie jeszcze większy mętlik niż przedtem.

- Dlaczego?! Jeszcze pani pyta? Dobrze pani wie dlaczego. To przecież oczywiste. Ostrzegaliśmy ich, ale jak widać, nie potraktowali naszych słów poważnie. Być może w ogóle nam nie uwierzyli, w przeciwnym razie za nic nie przysłałoby tu kobiety. Pani marny kamuflaż świadczy o tym, że poinformowali panią, w czym rzecz. Nie próbowałyby pani przebrać się za szarą myszkę, gdyby nie miała pani pojęcia... to znaczy - urwał raptownie, zamrugał, po czym wymamrotał coś pod nosem, sądząc po jego minie, było to siarczyste przekleństwo.

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Potwierdzały się jej najgorsze obawy.

- Gdybym o czym nie miała pojęcia? - ponagliła. Musiała nakłonić go do mówienia.

- Nie mogę uwierzyć, że ci durnie pani nie ostrzegli.

Ta nedorzeczna rozmowa zmierza donikąd, pomyślała zde gustowana. Redgrave najwyraźniej brał ją za kogoś, kim nie była. Da mu jeszcze jedną szansę, ale na tym koniec.

- Nie ostrzegli mnie, bo nie istnieją - oznajmiła zniecierpliwionym tonem. - Nie ma żadnych durniów, idiotów, mocodawców ani nikogo takiego. Czy zechce pan wbić to sobie wreszcie do tej ciężko myślącej głowy? Nikt mnie nie przysłał. Jestem tu, bo zatrudniono mnie jako guwernantkę. A co do mojego, jak pan to nazywa „kamuflażu”, to noszę takie, a nie inne stroje, ponieważ guwernantki nie powinny rzucać się w oczy. Ręczę, że tak postępuje zdecydowana większość, a przynajmniej te z nas, które nie chcą ściągać na siebie gniewu pani domu albo niechcianych umiżgów chlebobdawcy. Od tego zależą nasze posady. Jeśli chcemy utrzymać je dłużej niż przez dwa tygodnie, musimy wyglądać jak szare myszki. Czy wyraziłam się wystarczająco jasno? Proszę dać mi znać, kiedy już zdecyduje się pan pomówić ze mną otwarcie. Spotkamy się jeszcze raz. Tymczasem żegnaj, panie Redgrave. Słuchając pańskich bezsensownych wywodów, można by pomyśleć, że jeszcze do niedawna zamiast sztywnego surduta nosił pan kaftan bezpieczeństwa w szpitalu dla obłąkanych w Bedlam.

- Zgoda, wyłożę karty na stół, lecz nie dlatego, że jestem skłonny pozwolić, aby

postawiła pani na swoim. O nie, co to, to nie. Rzecz w tym, że chyba pomyliłem się co do pani. W istocie jest pani osieroconą córką zubożałego duchownego, której konieczność każe utrzymywać się samej. Nie zjechała więc pani do Fernwood, po to, żeby szpiegować Mailera ani tym bardziej mnie, czy też innego przedstawiciela rodu Redgrave'ów, który prędzej czy później musiał pojawić się na horyzoncie. Radzę słuchać uważnie, panno Marchant. I choć to, co pani usłyszy, nie mieści się w głowie normalnej osoby, radziłbym uwierzyć w każde moje słowo. Od tego może zależeć pani życie. Otóż znalazła się pani w siedlisku zła i rozwiązłości. Co miesiąc zbierają się tu najbardziej zdegenerowani sadyści Anglii, aby oddawać się rozpuście i innym wyuzdanym rozrywkom i rytuałom. Uprawdzenia, gwałt, a nawet, jak sądzę, bezduszny mord na kobietach takich jak pani to dla nich chleb powszedni. Musi pani stąd wyjechać. I to jak najprędzej.

O mój Boże, jest znacznie gorzej, niż myślałam...

Zachwiała się i niemal upadła na ziemię.

- Co takiego? - wykrztusiła zduszonym szeptem. - Co pan powiedział?

- O, widzę, że wreszcie zwróciłem na siebie pani uwagę. Powiedziałem dokładnie to, co pani słyszała. Ci obmierzli plugawcy porywają młode dziewczyny, wykorzystują je, a potem prawdopodobnie zabijają ot tak, dla zabawy albo po to, żeby zatuszować swoje zbrodnie. Od jakiegoś czasu podejrzewam Mailera, który, choć nie jest szczególnie rozgarnięty, okazał się wyjątkowo niebezpieczny. Spotkania odbywają się wprawdzie w jego posiadłości, nie znaczy to jednak, że jest przywódcą grupy. Dziś podczas śniadania przekonałem się, że ma nad sobą innych, znacznie bardziej wpływowych, nazwijmy to „zwierzchników”. Ci ludzie są bezwzględni, traktują kobiety jak zabawki, które można wyrzucić, kiedy się znudzą. Jeśli to, co mówię, pani nie przekonuje, proszę przyjrzeć się uważnie swojej chlebodawczyni. Ta biedaczka żyje w ciągłym strachu, prawda? Od jak dawna mieszka pani w tym domu?

„Jest zadbany i... czysty... Skoro już trzeba... to lepszy ktoś taki niż...” - Daisy wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie słowa lady Caroline. Miała ochotę poderwać się do biegu i uciec jak najdalej od tego okropnego miejsca. Niestety nie mogła sobie na to pozwolić. Czuła, że musi zostać i wysłuchać go do końca. Musi się dowiedzieć, dlaczego Redgrave pojawił się w Fernwood. Czy naprawdę jest rycerzem w lśniącej broni? Wybawcą, który pragnie położyć kres udreće tyranizowanych kobiet? A może ma własne powody, aby zakończyć ów przestępczy proceder? Prawdopodobnie to drugie. Była niemal pewna, że nie przybył tu ze specjalną misją ratunkową ani tym bardziej po to, żeby przyjść z pomocą właśnie jej. Przecież z początku nie wiedział nawet, kim była. Przypuszczała, że chodzi raczej o osobiste porachunki z Mailerem i resztą jego bandy.

- Jak... długo tu... jestem? - zapytała, z trudem łapiąc oddech. - Prawie trzy... miesiące...

- Znakomicie. W tym czasie były co najmniej dwie pełnie księżyca. Jako że nie jest pani ani ślepa, ani głucha, na pewno zdążyła się pani zorientować, że w tym domu dzieje się coś bardzo niedobrego. Mam rację?

Wiedział o pełni księżyca? Skąd? - zastanawiała się gorączkowo. Sama wpadła na to, tylko dzięki temu, że systematycznie prowadziła dziennik. Po jakimś czasie zorientowała się, że podczas pełni życie w Fernwood zmieniało się nie do poznania.

I istotnie dochodziło wówczas do dziwnych incydentów. Sześć tygodni temu, także tuż przed pełnią, Rose wyjechała z Londynu i przepadła bez wieści.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Niczego nie zauważyłam... No, dobrze, już dobrze, niech pan tak na mnie nie patrzy. Owszem, ma pan rację. Widuję różne... rzeczy, różnych ludzi, głównie mężczyzn, choć niektórzy przywożą także żony. Zazwyczaj zatrzymują się na kilka dni. Wychodzą i przychodzą o dziwnych porach, czasem nie ma ich całą noc, ale to, co pan mówi... jest... jest... kompletnie niedorzeczne...

- Interesujące - stwierdził w zamyśleniu. - Może jednak na coś się pani przyda. Słyszała pani jakieś nazwiska? To dla mnie bardzo ważne, panno Marchant. W całej tej sprawie nie chodzi wyłącznie o zaspokajanie wyuzdanych fantazji tych zwyrodnialców. Mają też na sumieniu inne sprawy.

- Downing Street! - olśniło ją nagle. - Wspominał pan coś o Downing Street... Myślał pan, że jestem szpiegiem? Że donoszę komuś z rządu na Mailera? I na pana? Na miłość boską, ja miałabym być szpiegiem?! To idiotyczne!

Wzruszył ramionami.

- Przyznaję, zbyt pochopnie wyciągnąłem wnioski. Każdy się czasem myli. Nawet ja. Teraz widzę, że popełniłem błąd. Pani jest zwykłą guwernantką, ja zaś... hm... powiedzmy, że jestem żywo zainteresowany tym, żeby ukrócić działalność tego towarzystwa wzajemnej adoracji. Ale czy moglibyśmy wrócić do tematu?

- Wrócić do tematu? Chyba zbyt wiele pan ode mnie wymaga, panie Redgrave. Czemu nagle mi pan uwierzył?

- Nie odpuści pani, prawda? Cóż, mogłem się domyślić. Dobrze, powiem pani, ale nie będę się nad tym rozwodził. Uwierzyłem, że nie jest pani szpiegiem, kiedy zobaczyłem w pani oczach przerażenie. Czegoś takiego nie da się udawać. Sam jestem całkiem niezłym aktorem, ale nie aż tak dobrym. Nie chciałem pani wystraszyć. Przepraszam, jeśli byłem zbyt oschły i obcesowy, ale nie dała mi pani wyboru. Nie chciała pani słuchać, więc musiałem mówić bez ogródek. Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym, żebyśmy spotkali się jeszcze raz. Dziś wieczorem. Do tego czasu na pewno uda się pani sporządzić listę nazwisk gości Mailera. Niech pani spíše wszystkich, których udało się pani spać. Aha, i niech pani nie prosi o pomoc lady Caro ani tym bardziej służby. Mogłoby to wzbudzić niepotrzebne podejrzenia.

- Prowadzę pamiętnik.

- Nie pani jedna. Mam nadzieję, że trzyma go pani pod kluczem. Poczyniłem już odpowiednie przygotowania do pani wyjazdu. Czy dysponuje pani wystarczającymi środkami na podróż? Nie, naturalnie, że nie. Domyślam się, że Mailer marnie płaci... Hm... biedaczka... nie dość, że pracuje dla potwora, to jeszcze zarabia grosze... Nie powinna zabierać ze sobą żadnego bagażu... Nie, stanowczo nie. Będę musiał się tym zająć...

Daisy miała szczerą ochotę tupnąć nogą i przerwać jego monolog.

- Przypominam, że stoję tuż obok pana, panie Redgrave! Byłabym zobowiązana, gdyby zechciał pan nie mówić o mnie w trzeciej osobie.

Posłał jej rozbijający uśmiech.

- Och, najmocniej przepraszam. Zdarza mi się myśleć na głos.

- Bardzo szkodliwy nałóg, ośmielę się zauważyć. Powinien pan z nim walczyć.

- Tak... zdecydowanie jest pani guwernantką, panno Przemądrzalska. Teraz nie mam już co do tego najmniejszych wątpliwości. Wręcz nie pojmuję, jak mogłem wziąć panią za szpiega. Ale do rzeczy... Niebawem zrobi się tu bardzo... gorąco. Apeluję więc do pani zdrowego rozsądku. Jeśli zostało pani choć trochę oleju w głowie, posłucha pani mojej rady i wyjedzie z Fernwood jeszcze dzisiaj. Rozumiemy się? Jeżeli nie ma pani dokąd się udać, wyślę panią do Redgrave Manor. Przeczeka pani najgorsze w towarzystwie mojej siostry. Nie może pani pozostać w okolicy ani tym bardziej tułać się sama po kraju. Zbyt wiele pani wie. Tak... trzeba panią dobrze ukryć. Poza tym, będę szczery, tutaj wchodziłaby mi pani tylko w drogę. Mam do wykonania arcyważne zadanie i to na nim muszę się skupić.

Daisy była bliska hysterii. Chciał się jej pozbyć! Odesłać ją Bóg wie gdzie i to właśnie teraz, kiedy wreszcie dowiedziała się czegoś konkretnego.

- A co się stanie z dziećmi? I z lady Caroline? Jeżeli choćby połowa z tego, co pan mówi, jest prawdą, im też grozi niebezpieczeństwo.

- Nie większe niż przed pani przyjazdem do Fernwood. Poza tym teraz ja tu jestem.

- No tak, oczywiście - skwitowała szyderczo. - Skoro pan tu jest, nic złego nie może się stać. Czemu od razu o tym nie pomyślałam? Bez trudu upora się pan ze schwytaniem szajki przestępców i zapanuje nad dwojgiem niesfornych dzieci tudzież ich wylęknioną macochą. Dla pana to przecież fraszka. Nieustraszony rycerz w lśniącej zbroi, wybawca skrzywdzonych niewiast i niewinnych dzieci.

- Doskonale rozumiem powody pani niezadowolenia. Jako że jestem z gruntu wyrozumiały, nie wezmę tej zniewagi do siebie. Szczerze mówiąc, jestem zobowiązany za to, że przyjęła pani moje słowa z takim spokojem. Niejedna w podobnej sytuacji dostałaby ataku waporów. Z dwojga złego wolę fochy niż regularną histerię.

- Rozważałam i spazmy, lecz pańska arogancja wprawiała mnie w tak wielkie osłupienie, że to na niej postanowiłam się skupić.

- Au, widzę, że wie pani, jak celnie wbić szpilkę. Wielka szkoda, że nie mogła pani uczyć za młodu mojej siostry. Wyrosłaby na najlepiej ułożoną pannę w całej Wielkiej Brytanii. Panuje pani nad sobą nawet w złości. Doprawdy zdumiewająca powściągliwość...

Nie mógł wiedzieć, że od lat ćwiczyła się w trzymaniu emocji na wodzy. Zmusiły ją do tego okoliczności. Już jako siedemnastolatka musiała radzić sobie w świecie zupełnie sama. To właśnie wtedy nauczyła się ukrywać prawdziwe uczucia pod maską oschłości lub obojętności. Najczęściej broniła się przed trudną rzeczywistością ironią i sarkazmem. Wylewanie łez to daremny trud, z którego nic nie wynika. W dodatku płacz to niebezpieczna oznaka słabości. Daisy była twarda. Wiedziała, że jest w stanie znieść wiele, nawet najgorszą prawdę. Nie mogła wyjechać. Jeszcze nie teraz. Obiecała sobie, że najpierw odnajdzie siostrę albo chociaż... jej doczesne szczątki.

- Nie posłucha mnie pani, prawda?

- Winszuję, panie Redgrave. To bodaj pierwsze celne spostrzeżenie, jakie wypłynęło z pańskich ust, odkąd zjawił się pan w Fernwood. I tak, ma pan rację. Nigdzie się nie wybieram.

Kiedy na nią spojrział, wydawało jej się, że przejrzał ją na wylot. Poczowała się naga i zupełnie bezbronna.

- Los Willa, Lydii i lady Caro z pewnością leży pani na sercu, odnoszę jednak wrażenie, że to nie o nich chodzi. Kobiety lubią stawać w obronie najmłodszych. Uważają to za swoją misję i aby chronić dzieci, gotowe są bez zastanowienia popełniać największe głupstwa.

- Chce mnie pan obrazić czy może znów myśli pan na głos?

- Poczowała się pani urażona? Cóż, bardzo mi przykro, ale nie powiedziałem niczego, co nie byłoby zgodne z prawdą. Gdyby pani widziała moją siostrę, kiedy próbowała ratować swego ukochanego... Zachowała się jak kompletna wariatka, zresztą mniejsza o to. Widzę, że miała pani jakiś powód, żeby starać się o posadę w domu Mailera. Osobisty, jak mniemam... A zatem wcale się co do pani nie pomyliłem. Nie miałem tylko racji w kwestii Downing Street, reszta się zgadza. Zdradzi mi pani, po co tu przyjechała?

Nie miała gotowej odpowiedzi na to pytanie. Poza tym w tej chwili marzyła o tym, żeby zostawił ją w spokoju. Chciała zostać sama i pomyśleć o Rose; o tym, co ją prawdopodobnie spotkało z rąk Mailera i jego współpracowników.

- Dzieci! Wracamy do domu!

Lydia podbiegła do nich z bukietem róż i wręczyła go Valentine'owi.

- To dla pana, książę - zaszczębiotała, posyłając mu tęskne spojrzenie. - Tobias urwał wszystkie kolce, żeby się pan nie skaleczył.

Panna Marchant przewróciła oczami i westchnęła. Kobiety bywają czasem takie bezmyślne. Wpatrują się w mężczyzn cielecym wzrokiem i wielbią ich niczym bóstwa, w większości przypadków zupełnie bezpodstawnie. To właśnie dlatego „władcy świata” od stuleci tkwią w przekonaniu o swojej wielkości. Nawet jej własna siostra wpadała w tę odwieczną pułapkę.

- Gdzie się podział William? - spytała, próbując zwrócić na siebie uwagę podopiecznej.

- Jego babki jeszcze nie wyschły - odparła dziewczynka. - Są bardzo ładne, ale Tobias mówi, że się rozpadną, jeśli nie poczekamy, aż błoto zastygnie. Dorobiliśmy im oczy i włosy z kamyków i trawy. - Spojrzała na Valentine'a i schowała brudne ręce za plecami. - To znaczy oni dorobili. Ja nie lubię takich głupich zabaw. To dobre dla małych dzieci.

- Naturalnie - mruknęła Daisy, spoglądając na upiaszczone dłonie Mailerówny. - Wrócimy po wasze babki po obiedzie - obiecała, popychając ją lekko w stronę wyjścia.

- Żegnaj, drogi książę! - zawołała przez ramię Lydia.

Redgrave ukłonił się z galanterią, po czym posłał im beztroski uśmiech i minął je w drodze do drzwi. Zachowywał się, jakby zupełnie nie pamiętał, że jeszcze przed chwilą rozmawiali o niewyobrażalnych zbrodniach. Jakby zapomniał, że z jego ust padły słowa takie jak „mord” czy „gwałt”.

No i naturalnie wyszedł, nie ustalwszy, gdzie i kiedy mają się spotkać. Prawdopodobnie zaskoczy ją znienacka, kiedy niczego nie będzie się spodziewała. Tak jak wczoraj na korytarzu. Nieznośny typ... Cóż, może i był nieznośny, ale trzeba przyznać, że odkąd zjawił się w Fernwood, czuła się znacznie bezpieczniejsza. Niestety

potwierdził także jej najgorsze obawy. Po tym, co od niego usłyszała, bardziej niż kiedykolwiek pragnęła konfrontacji z Mailerem. Zamierzała stanąć z nim twarzą w twarz i zapytać, co zrobił z ciałem jej siostry. Nie miała już nadziei na to, że odnajdzie Rose żywą.

Z trudem powstrzymawszy drżenie rąk, odpędziła łzy i ruszyła za Lydią.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Val odłożył kwiaty oraz laskę na stół, po czym wyciągnął się na łożku i splótłszy ręce za głowę, popatrzył na baldachim.

- Czyżbyśmy byli nie w humorze, jaśnie panie? - zapytał beznamiętnie Piffkin. - Piękny bukiet - dodał z nieco większym ożywieniem. - Może poproszę, żeby przynieśli panu coś słodkiego? Ponoć słodczyce są dobre na chandrę.

- Lepiej znajdź jakiś knebel i zatkaj mi usta... - bąknął Redgrave i spojrzał z wyrzutem na służącego. - Piffkin, stary drabie, dlaczegoś mi nigdy nie powiedział, że za dużo gadam?

- Cóż, pewnie dlatego, że zazwyczaj nie daje mi pan dojść do słowa... Ma pan na podszewkach zaschnięte błoto. Muszę je wyczyścić.

Valentine usiadł i mamrocząc coś pod nosem, zaczął ściągać buty. Nie poszło mu łatwo, jako że były to ciasne oficerki.

- Wiedz, że zabrudziłem też spodnie. Zanim zaczniesz mnie strofować, dodam, że poświęciłem je w szczytnym celu. Ratowałem z opresji młodocianą księżniczkę.

- Brawo, *bravissimo!* Niech mi wolno będzie zauważyć, że służba dla jaśnie pana to nie tylko wielka przyjemność, lecz także nie lada zaszczyt. - Służący uśmiechnął się od ucha do ucha. - Załatwione. A teraz porcięta, paniczku - dodał, kiedy uporali się wspólnie z butami.

Val przewrócił oczami, ale wstał i posłusznie zdjął spodnie. Od berbecia słuchał rozkazów Piffkina bez mrugnięcia okiem i nie widział powodu, aby cokolwiek zmieniać w tej materii. Niektóre rzeczy w życiu powinny pozostać zawsze takie same, w przeciwnym razie świat może stanąć na głowie.

- Nie chciałbyś poznać powodów mojej „chandry”? - zapytał, gdy kamerdyner wręczył mu ciemnoniebieski szlafrok.

- Powiedzmy, że się ich domyślam. Spotkał się pan z naszą wielce podejrzaną guwernantką, a zatem możliwości są dwie; albo nie udało się panu niczego od niej wyciągnąć i nadal nie ma pan pojęcia, kim jest, albo podczas rozmowy zdradził jej pan zbyt wiele o sobie i swojej... misji. Niewykluczone, że jedno i drugie. Tak czy owak, pańska wyprawa zakończyła się kompletnym fiaskiem. Mam rację?

- Hm... cóż... jak zwykle utrafiłeś w samo sedno.

- Czy w związku z tym życzy pan sobie, abym zaczął pakować walizki? - zapytał służący. - A może zechce pan naprzód wyprawić lorda Mailera na Sąd Ostateczny? Nic prostszego. Pański sztylet nadałby się w sam raz. - Podał Valentine'owi nóż, który ten nosił w specjalnym schowku w cholewce buta. - Proponuję błyskawiczne przecięcie tchawicy. Jest szybkie i stuprocentowo skuteczne. Tylko proszę zajść delikwenta od tyłu. Tym sposobem nie uwala pan sobie ubrania. Plamy krwi są wyjątkowo trudne do wywabienia.

Redgrave posłał mu krzywy uśmiech.

- Mówisz, jakbym mordował ludzi na co dzień. W każdym razie tak to zabrzmiało.

- Nic podobnego. Mówię jedynie, że prawdopodobnie jeszcze w tym tygodniu będzie pan zmuszony zabić co najmniej jedną osobę.

- Znów zaglądałeś do mojej korespondencji? Simon napisał mi w liście dokładnie to samo, co usłyszałem od ciebie. Możesz być spokojny, Piffkin, jeśli istotnie do tego dojdzie, nie zadrży mi ręka i nie będę czynił sobie wyrzutów. To wojna, a na wojnie zabijanie to rzecz powszednia.

- Nie inaczej. Tyle że tę wojnę przyjdzie nam stoczyć z prawdziwymi demonami z piekła rodem.

Val usiadł na krześle i założył nogi na stół.

- Czasem się zastanawiam, czy istnieje na tym świecie coś, czego nie wiesz.

- Owszem, jasnie panie. Nadal nie wiem, czym panna Marchant wyprowadziła pana z równowagi. Aż tak bardzo zalaża panu za skórę?

- Otóż, okazało się, że jest „całkiem... bystra”, że zacytuję Mailera. Zbyt bystra, by nie zauważyć, że w tym domu dzieje się coś bardzo złego, i zbyt bystra, żeby zaprzeczać, że od dawna ma swoje podejrzenia. Powiem więcej, może podać mi jakieś nazwiska, co będzie niezwykle pomocne.

- Tym bardziej nie pojmuję, w czym problem - podsumował Piffkin, zabierając się do pucowania butów. - I czemuż to wrócił pan nadąsany, skoro są powody do zadowolenia?

- Cierpliwości, zaraz do tego dojdę. Najpierw chcę ci oznajmić, że choćbym szczerł, nigdy więcej nie wejdę do szklarni. Zdarzają się tam wyjątkowo dziwne rzeczy.

- Doprawdy? Wrócił pan prawie czysty, więc raczej nie wpadł pan do żadnego przepastnego dołu.

- Uwierz mi, przyjacielu, są na świecie różne doły. Niektóre bardziej przepastne niż inne... Takie, z których ciężko wygrzebać się z powrotem na powierzchnię. Istne otchłanie w ludzkiej skórze...

- Zaraz, zaraz, nie chce pan chyba powiedzieć, że jest bliski popadnięcia w miłośny obłąd? I że obiektem pańskich westchnień jest właśnie panna Marchant? To by było wysoce... niewłaściwe. I niefortunne, zwłaszcza teraz, w tych, a nie innych okolicznościach...

- Ha, ha! Dowcipniś z ciebie, Piffkin, słowo daję. Rzecz w tym... Idzie o to, że panna Marchant jest niesłychanie... jak by to rzec... zagadkowa. Zaintrygowała mnie, a nie potrafię jej rozgryźć. Niby wygląda tak niepozornie... a jednak nie sposób jej rozszyfrować. W dodatku nijak nie udało mi się wyprowadzić jej z równowagi. Jest stanowczo zbyt opanowana, jak na mój gust. Sam wiesz, co mam na myśli. Nie wierzę, że zatrudniła się tu przypadkowo. Z tego, co wiem od Charlesa, Mailerowie nie zamieścili ogłoszenia, a zatem musiała zabiegać o tę posadę z własnej inicjatywy. Zjawiała się w Fernwood z sobie tylko wiadomych powodów i wkupiwszy się w łaski pani domu, została opiekunką dwójki dzieci, które potrzebują guwernantki nie bardziej niż ty grzebienia, bez urazy, Piffkin.

Kamerdyner pogłaskał się po łysinie.

- Zainwestowałem w nową pomadę, jasnie panie. Wciąż nie tracę nadziei, że moja bujna ongiś czupryna niebawem odrośnie. - Uśmiechnął się z satysfakcją. - Kosztuje to pana ponad funt za słoiczek. Bolesnie maleńki słoiczek...

- Jestem pewien, że kuracja jest warta każdej ceny - zadrwił Val. - Idę o zakład, że dzięki niej twój czerep świeci nawet w ciemnościach. Przy pełni księżyca pewnie

mógłbym czytać w jego blasku i bez świecy. A skoro mowa o pełni księżyca, panna Marchant potwierdziła, że Towarzystwo zbiera się w Fernwood właśnie podczas pełni. Widziała jego członków na własne oczy. Przynajmniej tych, którzy zatrzymują się w domu Mailera. Szkopuł w tym, że aby wyciągnąć z niej jakiegokolwiek informację, sam musiałem zdradzić więcej, niż zamierzałem. I masz babo placek. W rezultacie zaparła się i nie chce wyjechać. Najpierw usiłowałem ją nastraszyć. Po tym, co usłyszała, każda inna na jej miejscu uciekłaby, gdzie pieprz rośnie. Każda, ale nie ona. Potem próbowałem zachęty i łagodnej perswazji. Tłumaczyłem jak dziecku, że nie będzie tu bezpieczna. Wszystko na nic. Co za uparta koza! W ogóle nie powinienem był z nią rozmawiać. Ot co.

- Cóż, paniczu Valentine, nie zaprzeczę. Coś w tym jest. Już dawno zaobserwowałem u pana zamiłowanie do niepotrzebnego komplikowania spraw na pozór dziecinnie prostych.

- Wielkie dzięki, toś mnie pocieszył. Od razu poczułem się lepiej. Ale co robić, masz rację, niestety. Już na samym wstępie wspomniałem, że nie podoba mi się jej żaloszny kamuflaż, i od tego wszystko się zaczęło. A raczej to ja zacząłem nie tak, jak trzeba, i sprawy potoczyły się niewłaściwym torem. Wiem, wiem, marne usprawiedliwienie. Tak czy owak, choć była autentycznie zszokowana tym, co jej powiedziałem, zareagowała na moje słowa inaczej, niż się spodziewałem. Już przed rozmową ze mną wiedziała albo przynajmniej podejrzewała, że pod tym dachem mają miejsce wyjątkowo podejrzane i niepokojące rzeczy. Wyczuła pismo nosem... Muszę się koniecznie dowiedzieć, po co przyjechała do Fernwood. Może wtedy uda mi się ją przekonać, żeby opuściła to paskudne miejsce.

- Nie liczyłbym na to. Proszę się postawić na jej miejscu. Wyjechałby pan tylko dlatego, że ktoś tak panu radzi? Ktoś kogo pan w ogóle nie zna? I niech pan nie zapomina, że mocno się natrudziła, żeby dostać tę posadę. Pan zresztą także wiele zniósł, żeby znaleźć się w tym domu.

Ni stąd, ni zowąd Valentine przypomniał sobie aksamitne loki Daisy.

- Będzie mi tylko zawadzać.

- Kobiety zawsze zawadzają. Taka już ich natura. Oj, coś mi się zdaje, że chodzi o coś więcej. Zaintrygowała pana! Kto wie, może nawet zafascynowała...

- Nie mam teraz czasu na takie rzeczy. Nie wolno mi się rozpraszać. Jeśli zostanie w Fernwood, będę musiał stale martwić się o jej bezpieczeństwo i pilnować, żeby nie wpadła w tarapaty. Sam dowodziłeś, że w okolicy grasują niedźwiedzie.

- A zatem odsyłamy ją?

Val podniósł się z krzesła.

- W rzeczy samej, odsyłamy. Nawet jeśli będę musiał osobiście ją związać, zakneblować i wrzucić do powozu. Pojedzie do Redgrave Manor, czy jej się to podoba, czy nie. Simon i Kate będą mieli na nią oko...

- Do czasu, aż znajdzie pan chwilkę, żeby się nieco porozpraszać, jak mniemam?

- zapytał niewinnie Piffkin.

Valentine rzucił w niego szlafrokiem.

- Do czasu, aż rozbijemy w proch całe to piekielne Towarzystwo. Bez względu na to, dlaczego się tu znalazła, jej nagłe zniknięcie z pewnością wyda im się mocno podejrzane. To z kolei ściągnie na jej głowę śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie muszę

ci przypominać, że ci plugawcy są kompletnie pozbawieni skrupułów.

- Nie, nie musi pan. Sęk w tym, że mam przecież ukryć lady Caroline i dzieci w Twitchill. To długa i męcząca podróż. Czyżby zamierzał pan obarczyć mnie dodatkowo panną Marchant?

- Cóż, skoro już o tym wspomniałeś... Może to nawet niezły pomysł. Daisy martwi się o lady Caro. Wczoraj wieczorem przyłapałem ją, kiedy wychodziła z jej komnat. Usługiwanie pani domu nie należy do obowiązków guwernantki. Ponadto, wydaje mi się, że pani Mailer nadużywa laudanum i się głodzi. Wczoraj przy kolacji wlepiła oczy na przemian to we mnie, to w ścianę.

A właściwie nie w ścianę, lecz w wiszący nad kominkiem obraz, pomyślał Val, przypomniawszy sobie wystrój jadalni. Dopiero teraz uświadomił sobie, że Caroline nie wpatrywała się w owo malowidło ot tak. Próbowwała zwrócić na siebie jego uwagę. Jakby chciała przekazać mu jakąś wiadomość. Czyżby usiłowała go ostrzec? A jeśli tak, to dlaczego? Powinna przecież sądzić, że jak inni znajomi Charlesa, on także jest członkiem bractwa. W każdym razie robił, co w jego mocy, żeby za takiego uchodzić. Czy to możliwe, że przejrzała jego grę? Że dostrzegła to, czego na szczęście nie był w stanie dostrzec jej mąż?

- Jakież to smutne, że taka młoda kobieta szuka pocieszenia w otumaniających specyfikach - stwierdził Piffkin. - Zechce pan włożyć z powrotem spodnie? Już wyczyszczone. Buty też za moment będą gotowe. Może pan wybrać się na popołudniową przejażdżkę i wstąpić do nowej gospody. To jedyny sposób, aby skontaktować się dyskretnie z naszymi ludźmi. Najwyższa pora na mały rekonesans, nie uważa pan?

Redgrave oderwał się od swoich myśli.

- O tak, rozpoznanie z pewnością nie zaszkodzi. Jak ty to robisz? Znów bezbłędnie przewidziałeś mój kolejny ruch. Mailer na okrągło chełpi się swoimi końmi. Poczytałby mi za afront, gdybym nie wypróbował któregoś z jego rasowych wierzchowców. Wszystko, byle tylko nie oglądać do wieczora jego paskudnej gęby. Wczoraj w powozie co najmniej dwa razy byłem bliski uduszenia go jego własnym fularzem.

Valentine odtworzył w myślach rozmowę przy śniadaniu. Choć Charlie miotał się i plątał w zeznaniach, wydusił z siebie przynajmniej tyle, że tylko niektóre przyjęcia bractwa urządzane są w jego posiadłości. Możliwe zatem, że Fernwood to jedynie miejsce rozpustnych hulanek, zaś narady polityczne stowarzyszenia odbywają się zupełnie gdzie indziej. Dziś Towarzystwo zapewne nie ma takich środków i możliwości jak za czasów dziadka Charlesa Redgrave'a. W przeciwnym razie klub nie przyjąłby w swoje szeregi takiego skończonego durnia jak Mailer.

- Uśmiecha się pan, jaśnie panie. Czy to znaczy, że wraca panu humor?

- Możliwe, Piffkin, całkiem możliwe... Dopasowałem kilka kolejnych kawałków układanki. Powiedz, gdybyś miał zorganizować rytualną orgię, zrobiłbyś to na wolnym powietrzu? Sprzyjającą pogodę i pełnię księżyca masz zapewnione, więc niech to nie wpłynie na twoją decyzję.

- Przydałyby się też ruiny jakiegoś starego kościoła.

- Słusznie! Że też sam na to nie wpadłem! Wyobraź sobie, że są tacy, którzy każą specjalnie budować takie rumowiska w swoich majątkach. Dziwnym zbiegiem oko-

liczności lady Caro wpatrywała się wczoraj w olejny obraz czegoś, co do złudzenia przypomina Stonehenge^[7].

- Hm... interesujące.

- Niewykluczone, że ta budowla znajduje się na terenie Fernwood. Miejscowi wieśniacy pewnie omijają ją z daleka, zwłaszcza w nocy. Wystarczy, że Mailer rozpuścił w okolicy przerażające opowieści o żądnych krwi druidach... Wiesz, co mam na myśli. Ale ja jestem przecież światłym arystokratą, nie wierzę w tego rodzaju bajdy. Jako gość mam wszelkie prawo zwiedzić ów zabytek. Naturalnie za dnia i bez wzbudzania niepotrzebnych podejrzeń.

Kamerdyner podszedł do stołu i włożył kwiaty do wazonu.

- Jak najbardziej, paniczku Valentine. Tylko błagam, niechże pan nie zniszczy sobie butów. Byłbym niepokieszony. Kto wie może są tam ławeczki i rosną stokrotki...

- Rozmarzyłeś się, mój drogi. Może się okazać, że owe ruiny to tylko nasze pobożne życzenia.

- Czymże byłyby ten świat bez marzeń i pobożnych życzeń? - Piffkin uśmiechnął się, błyskając złotym zębem. - Udanej przejażdżki, jaśnie panie.

Val miał ochotę westchnąć i wzruszyć ramionami, ale nie miał serca psuć mu nastroju.

Daisy siedziała skulona na parapecie w swoim pokoju na poddaszu. Przeglądała pamiętnik, raz po raz wyglądając przez okno na dziedziniec.

Wymówiwszy się bólem głowy, zostawiła podopiecznych z piastunką. Nareszcie miała trochę czasu dla siebie. Lady Caro wezwie ją na codzienną pogawędkę dopiero po południu. Nie musiały kryć się z tym przed lordem Mailerem. Wersja oficjalna głosiła, że omawiają postępy Lydii i Willa w nauce. W rzeczywistości gawędziły o wszystkim z wyjątkiem dzieci. Zdaje się, że Caroline nie pamiętała nawet, w jakim są wieku.

Opowiadała jej za to o swoim dzieciństwie, rodzinnym domu, rodzicach oraz starszej siostrze, która mieszkała obecnie w Kanadzie ze swoim mężem, wojskowym. Czasem w ogóle nie rozmawiały. Caro prosiła ją tylko, żeby uklękły i się razem pomodliły.

Po tym, co usłyszała od Redgrave'a, panna Marchant bała się z nią spotkać. Oba wiała się, że nie będzie w stanie spojrzeć jej w oczy bez współczucia. Miała ochotę ją przytulić i podnieść na duchu. Lecz jak tu pocieszyć kogoś, komu trafił się mąż potwór, jak Mailer?

Chciałaby wypytać ją także o urodziwą drobną blondynkę z pieprzykiem nad górną wargą.

W przeciwieństwie do Daisy, Rose wdała się w matkę. Była zjawiskowo piękna. Wyglądała jak anioł. Tak piękną dziewczynę trudno było zapomnieć. Jeśli Caroline ją widziała, z pewnością ją zapamiętała.

Boże drogi, dlaczego okrutny los musiał zetknąć jej siostrę z Charlesem Mailem?

Przewróciła kartkę w dzienniku i zaczęła czytać od miejsca, w którym wszystko się zaczęło.

Rose pisze, że poznała pewnego dżentelmena. Spotkali się w dość niefortunnych okolicznościach. Gdybym była przesądna, uznałabym, że nie wróży to niczego dobrego. Ów nieznajomy wpadł na nią na ulicy. Uciekał przed deszczem i niemal stratował ją swoim ogromnym parasolem. Naturalnie przeprosił i odprowadził ją do sklepu, w którym zamierzała zrobić zakupy. Był nad wyraz uprzejmy i współczujący. Najwyraźniej wpadł jej w oko. Sama nie wiem, czy bardziej mnie to martwi, czy cieszy. Zwłaszcza że nie zostali sobie oficjalnie przedstawieni.

Papa by tego nie pochwalał. Ale papy nie ma już wśród nas, a Rose zasługuje na szczęście. Bardzo przeżyła śmierć Waltera. Skoro jest gotowa na nowy związek, wypada mi życzyć jej szczęścia i żywić nadzieję, że Chas, jak go nazywa, okaże się jej godny.

Myślę, że powinnam wracać do Londynu. Rose coraz częściej opowiada w listach o Chasie. Wiem, że jest samotna i trudno jej przeżyć z oficerskiej pensji Waltera. Ubóstwo może zaważyć na jej osądzie. Obietnica dostatniego życia u boku nowego męża z pewnością wydaje jej się kusząca. Pytanie tylko, czy zna owego Chasa wystarczająco dobrze?

Moje własne fundusze także się kurczą. Czekam na wypłatę za ostatni kwartał, żeby sprawić sobie materiał na nową sukienkę. Niestety nie da się tego uniknąć. Starą przerabiałam i łatałam już kilkanaście razy. Jest zbyt wysłużona i nie nadaje się do użytku. Guwernantka powinna mieć odpowiednią prezencję i wyglądać „dystyngowanie”, jak powiada moja chlebodawczyni, pani Beckwith. Nie mogę jej się narażać. I bez tego patrzy na mnie podejrzliwie. Ubrdała sobie, że robię słodkie oczy do jej tłustego małżonka.

Rose znów do mnie napisała. Jest taka szczęśliwa, a ja cieszę się razem z nią. Chas oświadczył jej się i zaprosił ją do swego majątku na wieś, aby poznała jego matkę. Żałuję, że nie wiem o nim więcej. Koniec końców, ma zostać moim szwagrem. Pan Beckwith uprzykrza mi życie na każdym kroku. Jego umizgi stają się nie do zniesienia. Jak tylko dostanę wypłatę, wracam do Londynu, żeby nareszcie zobaczyć się z siostrą.

Odchodzę od zmysłów. Rose od trzech tygodni nie daje znaku życia. To do niej zupełnie niepodobne. Dlaczego nie pisze? Przecież jest teraz szczęśliwa. Może nie zaakceptowała jej matka narzeczonego? Nie, to niemożliwe. Rose ma taką pogodną i przyjazną naturę, a jej maniery są bez zarzutu.

Dziś przyszła odpowiedź na mój list. Pani Hopkins, z którą Rose dzieli mieszkanie nad sklepem pasmanteryjnym, pisze, że moja siostra przepadła jak kamień w wodę. Wyjechała na wieś i zniknęła bez śladu. W domu zjawiała się jedynie służąca, którą przysłano po resztę jej dobytku. Próbowwała przekonać panią Hopkins, że Rose postanowiła przenieść się do Ameryki, ale to oczywiste kłamstwo. Nie zostawiłaby mnie tak... bez pożegnania, bez słowa wyjaśnienia... Pani Hopkins nigdy nie poznała Chasa i nic o nim nie wie. Zdołała jednak wypytać służącą, gdzie mają trafić rzeczy Rose. Dziewczyna pamiętała jedynie, że majątek leży na południu i nazywa się Oakwood albo Burnwood.

Daisy zamknęła dziennik i odłożyła go na bok. Resztę wpisów znała na pamięć. Opowiadały o tym, jak studiowała mapy w poszukiwaniu nazwy miejscowości przy-

pominającej Oakwood i Burnwood. I o tym, jak natychmiast po otrzymaniu wypłaty wymówiła posadę u Beckwithów. Odmówiono jej referencji, lecz zupełnie nie miała głowy się tym przejmować. Wsiadła do najbliższego dyliżansu i wyruszyła na poszukiwanie siostry. Nie wiedziała, dokąd zmierza. Wypytywała wszystkich napotkanych po drodze ludzi o posiadłości z końcówką „wood” w nazwie. W rezultacie odwiedziła co najmniej tuzin różnych majątków; Laurelwood, Fleetwood, Inglewood, Far Woods, Birchwood i tym podobne, nim wreszcie po miesiącu poszukiwań trafiła do Fernwood, którego właścicielem okazał się Charles Mailer. Ani chybi Chas z listów Rose.

W pobliskiej gospodzie dowiedziała się, że właściciel obecnie przebywa w stolicy, ale w rezydencji pozostają jego żona oraz dwójka dzieci. Niewiele myśląc, panna Marchant wydała ostatnie pieniądze na pokój i gorącą kąpiel. Kiedy doprowadziła się do porządku i włożyła najbardziej reprezentacyjną suknię, zasiadła do stołu i sama napisała sobie trzy listy polecające, trzema różnymi charakterami pisma. Ten, który wyszedł rzekomo spod ręki pani Beckwith, wyrażał się o niej w największych superlatywach. Nazajutrz udała się pieszo do Fernwood.

Mieszkała u Mailera już od trzech miesięcy. I choć do dziś nie dowiedziała się niczego o siostrze, z każdym kolejnym dniem nabierała podejrzeń, że w jego domu dzieje się coś bardzo, ale to bardzo złego. Postanowiła uzbroić się w cierpliwość. Była niemal pewna, że jeśli odpowiednio długo zaczeka, w końcu dowie się, o co w tym wszystkim chodzi, a co najważniejsze, pozna prawdę o siostrze.

Mimo wszystko nie była przygotowana na rewelacje Redgrave'a. Trudno jej było zmierzyć się z rzeczywistością. Jak miała pogodzić się z tym, że jej ukochana Rose prawdopodobnie nie żyje?

Powinna posłuchać zatem Valentine'a i wyjechać. Uciec stąd jak najdalej.

- Boże, dlaczego pozwalasz na takie okropieństwa? - powiedziała do siebie szeptem. - Dlaczego zło zawsze wygrywa? Ojciec od dziecka wpajał nam, że z dobra rodzi się dobro, a sprawiedliwi tego świata dostąpią zbawienia. Łatwo w to wierzyć, kiedy jest się szczęśliwym i beztróskim. Znacznie gorzej, kiedy ludzie krzywdzą bliźnich. Zupełnie bez powodu, ot tak, dla rozrywki. To takie niesprawiedliwe i absurdalne...

Otarła z policzka łzę i spróbowała wziąć się w garść. Płacz na nic się nie zda. Nie uśmierzy bólu i nie ukoi ran. Musi być silna. Nie odejdzie z kwitkiem. Zrobi dokładnie to, po co przyjechała. Odnajdzie siostrę i przynajmniej wyprawi jej godziwy pogrzeb. Nie podda się, póki Rose nie spocznie w grobie obok rodziców.

Wyjrzała przez okno w samą porę, by zobaczyć Redgrave'a, który zmierzał konno ku bramie. Był sam. Nie towarzyszył mu ani lord Mailer, ani stajenny. Przemknęło jej przez głowę, że zamierzał opuścić Fernwood, i na moment zamarła z przerażenia. Nie, to niemożliwe. Po pierwsze, nie przyjechał tu na własnym koniu, po drugie, tak jak ona, zjawił się w Fernwood nie bez powodu.

Uznała, że zamierza zwiedzić posiadłość. Jej właściciel rzadko jeździł wierzchem. Większość czasu spędzał na przyjmowaniu gości, ewentualnie zamykał się w swoim gabinecie i upijał do nieprzytomności. Przy takim trybie życia on i jego rodzina powinni żyć w ubóstwie, ale wyglądało na to, że Mailerom nie brakuje pieniędzy.

Valentine pojedzie pewnie nad strumień, a potem obejrzy urwisko i rzekomo za-

bytkową budowlę z głazów.

Daisy była tam kilka razy. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie wzniesli jej pradawni druidowie. Dzięki wilgoci od morza kamienie porastał mech, ale cała konstrukcja była jedynie marną imitacją Stonehenge. Nagle przypomniała sobie, że w samym środku kamiennego kręgu znajdowało się coś na kształt ołtarza ofiarnego. Wzdrygnęła się bezwiednie, po czym wstała i narzuciwszy pospiesznie szal, wybiegła na dziedziniec.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Po półgodzinnej przejażdżce Valentine zyskał pewność co do trzech rzeczy. Po pierwsze, Fernwood było co najmniej pięciokrotnie mniejsze niż Redgrave Manor. Po drugie, Charles kompletnie nie znał się na koniach. Przy zakupie brał pod uwagę jedynie urodę zwierzęcia. Chów i rodowód najwyraźniej nie miały dla niego najmniejszego znaczenia. O wałachu, którego dosiadał Val, nie można było powiedzieć wiele dobrego, a był rzekomo najlepszą sztuką w stajni. Po trzecie, imitacja Stonehenge i pobliski klif były zdecydowanie najciekawszym zakątkiem w całym majątku.

Kiedy zapytał jednego ze stajennych o jakieś ciekawe miejsce, ten pokierował go wprost do „dziwaczego kamiennego kręgu, który jaśnie pan kazał postawić w zagajniku”. Redgrave miał ochotę go ucałować, ale nie chciał przyprawić biedaka o atak apopleksji, więc podarował sobie.

- Tylko niech pan nie zapuszcza się za daleko - ostrzegł parobek. - Przy krawędzi urwiska gęsto rosną drzewa. Chwila nieuwagi, zleci pan z hukiem w przepaść i... mogiła. - Przeżegnał się z namaszczeniem. - Pierwsza żona lorda Mailera, świeć, Panie, nad jej duszą, zagapiła się na spacerze i spadła. Żal, bo zacna była z niej kobieta.

Val objechał dla niepoznaki okolicę, po czym przywiązał konia u podnóża klifu. Pomny ostrzeżeń Piffkina ruszył na górę uzbrojony w laskę ze sztyletem. Wspinając się po łagodnym zboczu, rozmyślał o poprzedniej lady Mailer. Musiała cierpieć z rąk męża prawdziwe męki. W przeciwnym razie nie targnęłaby się na własne życie. Jaka matka zostawiłaby na pastwę losu dwójkę małych dzieci, gdyby nie była zdesperowana i bliska utraty zmysłów? Żadna.

Nie wierzył jednak, że spadła. Nie mógł to być nieszczęśliwy wypadek. Wzdrygnął się, wyobraziwszy sobie bezwładne ciało na dnie urwiska.

Nie było sensu dłużej tego odwlekać. Odgarnął włosy z czoła i wszedł pomiędzy głązy. Pośrodku kręgu znajdował się ołtarz. Roślinność była w tym miejscu bujniejsza i gęstsza. W pewnej chwili natrafił czubkiem buta na jakiś okrągły twardy przedmiot.

- Zapewne nic dobrego - mruknął pod nosem, pochylając się ku ziemi. - Z moją bujną wyobraźnią zawsze stawiam na najgorsze. - Za pomocą laski rozchylił wysoką trawę i podskoczył jak oparzony. - Chryste, to kości. Przecudownie. Tylko tego brakowało.

- Co się stało? Co pan znalazł?

Zdębiały obrócił się na pięcie i spojrzał z wyrzutem na pannę Marchant. Jej głowę i szyję zakrywał bladoniebieski szal. Wyglądała jak zakonnica albo wcielenie starożytnej druidycznej boginki. Nie wiedzieć czemu, na jej widok coraz częściej przychodziły mu do głowy wymyślne porównania i metafory. Źle ze mną, pomyślał cierpko.

- Co pani tu, u licha, robi?! Zawsze zakrada się pani jak złodziej i zachodzi ludzi od tyłu?

- Wystraszyłam pana? - spytała, wyraźnie z siebie zadowolona. Urodzona guwer-

nantka. Jej belferski ton zaczynał mu działać na nerwy.

- Wolne żarty - odparł z godnością. - Niewiele brakowało, a dźgnąłbym panią w serce. Ciekawe, czy wtedy przeszłaby pani ochota na samotne wycieczki. - Dla efektu skierował w jej stronę łaskę z wystającym ostrzem sztyletu.

O dziwo, nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia.

- Ojejku, straszne - skwitowała z kpiną. - Jestem pewna, że pańscy znajomi drżą z przerażenia, ilekroć zaczyna pan wymachiwać im tym przed oczami. Czy teraz ze chce mi pan powiedzieć, co tam znalazł?

Uśmiechnął się mimo woli.

- Przypomina mi pani jednego z nauczycieli z dzieciństwa. Pewnego razu przyniosłem mu ze stawu ogromną białą żabę, a on na to: „W rzeczy samej, niezwykle stworzenie, paniczu Redgrave, a teraz wracajmy do rachunków”.

Poprawiła na nosie okulary, nieodłączny element przebrania.

- Cóż, muszę jakoś zarabiać na życie - poinformowała oschle. - Nie jest to szczególnie wdzięczne zajęcie, ale żadna praca nie hańbi. Zdradzi mi pan w końcu, co tam leży?

- Kości - oznajmił zwięźle.

Pobladła i zachwiała się na nogach.

- Małe, prawdopodobnie kurczaka albo młodej kozy - dodał pospiesznie. Nie miał ochoty zbierać jej z ziemi i cucić. W innych okolicznościach może... Teraz miał co innego na głowie.

- Kozłątka - poprawiła odruchowo.

- Że co proszę?

- Mówię, że młoda koza to kozłątko albo kozłą, ewentualnie koziółek, jeśli mamy do czynienia z osobnikiem płci męskiej. Po wykastrowaniu nazywany jest skopem lub skopkiem.

Valentine dosłownie oniemiał, a zdarzało mu się to nader rzadko.

- Boże Przenajświętszy, skąd pani to wszystko wie? I po co?

- Jak to skąd? Proszę nie zapominać, że jestem...

- Tak, tak, guwernantką - dokończył za nią. - Jakże mógłbym zapomnieć? Najwyraźniej postanowiła mnie pani wyedukować wbrew mej woli. Przypuszczam, że nie tylko mnie edukuje pani w ten sposób. Zapewne nie potrafi się pani powstrzymać. Ale szczerze mówiąc, bardziej interesuje mnie, po co zaśmieca pani sobie umysł takimi głupstwami. Nie wyobrażam sobie, żeby ta wiedza była komukolwiek do cze-gokolwiek potrzebna.

Zsunęła z głowy szal, próbując powstrzymać się od uśmiechu.

- Kozom. Tak, kozom zdecydowanie się przydaje.

- Zwłaszcza kozłom.

Roześmiała się w głos.

Jej śmiech brzmiał słodko. Jak muzyka. I rozświetlał jej oczy i całą twarz. Miała uroczy uśmiech i równie piękne, odrobinę nierówne białe zęby.

Kiedy się zawstydziała i zakryła usta dłonią, wydała mu się bardzo młoda i przystępniejsza. Nie wyglądała już jak surowa nauczycielka.

Pomyślał, że skoro przeobraża się za sprawą zwykłego uśmiechu, pocałunek, zapewne pierwszy, zmieniłby ją nie do poznania. Nie mogłaby uchodzić za wielką, kla-

syczną piękność, ale była naprawdę urocza. I nie chodziło wcale o jej powierzchowność. Panna Marchant miała do zaoferowania znacznie więcej niż ładną buzię.

Wyobraził sobie jej zachwycające, miedzianorude włosy rozsypane na poduszce i natychmiast przywołał się do porządku. Nie pora na amory, powtarzał sobie bez przekonania.

I nagle stało się coś, co kompletnie zbiło go z tropu.

Daisy raptem zaczęła płakać. Stała przed nim jak posąg, a z jej wielkich błękitnych oczu płynęły łzy.

Jak zwykle w takich sytuacjach nie miał pojęcia, co począć.

- Panno Marchant... - odezwał się niepewnie, wyciągając ku niej ramię. Nie był pewien, czy powinien jej dotknąć. Trudno było przewidzieć, jak zareaguje. Mogła go odepchnąć albo, co gorsza, paść mu w ramiona i zabrudzić koszulę. Piffkin byłby niepokieszony.

- Przyprawiałam tu Williama i Lydię... Urządzaliśmy pikniki, tańczyliśmy... A ci szubrawcy przez cały ten czas... - Otarła dłonią policzek. - O niczym nie wiedziałam...

Skrzywił się i zacisnął na moment powieki. Nie miał siły patrzeć jej w oczy. Zobaczył w nich zbyt wiele bólu i udręki.

- Czy to tutaj...? To tutaj robili... te okropieństwa?

- O, nie, z całą pewnością nie - zaprzeczył pospiesznie. - Może pani być spokojna. Nic złego się tutaj nie stało. Sądzę, że używają tego miejsca do odprawiania swoich satanicznych rytuałów. Jest to wprawdzie odludzie, ale w każdej chwili mógłby ich ktoś nakryć.

Albo usłyszeć wrzaski torturowanych kobiet, dodał w myślach. Kto wie, być może jednej z nich udało się wyrwać i rzucić w przepaść... Na przykład poprzedniej pani Mailer...

Uzmysłowił sobie, że Daisy używała czasu przeszłego. Interesujące... To znaczy, że wie coś, co może go zainteresować.

- W takim razie gdzie to się odbywało? - zapytała, choć rozmowa o tym nie przychodziła jej łatwo.

- Zapewne mają jakieś specjalne pomieszczenie. W każdym razie ja na ich miejscu nie robiłbym tego na zewnątrz. Zbyt duże ryzyko. Miała pani ciężki dzień, nie chciałbym naciskać, ale nie pozostaje mi nic innego, jak mówić z panią otwarcie. Każda chwila i każda informacja może okazać się na wagę złota. Zadam pani zatem dwa pytania i nie będę owijał w bawełnę. Po pierwsze, czy może mi pani podać jakieś nazwiska? Po drugie, czy zamierza pani posłuchać głosu rozsądku i udać się do Redgrave Manor?

Przetarła oczy i włożyła z powrotem okulary.

- Wygląda na to, że za wszelką cenę pragnie się pan mnie pozbyć, panie Redgrave. Aż tak bardzo panu zawadzam?

Zdumiewające, niewiarygodne... i ze wszech miar irytujące. Nie spotkał jeszcze kobiety, która potrafiłaby w ciągu zaledwie kilku minut wzbudzić w nim całą gamę sprzecznych emocji. Zaskoczenie, rozbawienie, współczucie, złość... Bóg jeden wie, co jeszcze.

- Na litość boską, panno Marchant, nie w tym rzecz...

- Zechce pan z łaski swojej nie mieszać w to Boga? - przerwała mu. - Zdaje się, że do tej pory był nieobecny. A co do pańskiego pytania, przykro mi, ale nigdzie się nie wybieram. Przepraszam, jeśli pana rozczarowałam.

- Bynajmniej. Jak mniemam, pani decyzja ma ścisły związek z tym, że przybyła tu pani nie bez powodu, nieprawdaż? Domyśliłem się, więc może pani porzucić pozory. Przygryzła wargę.

- Szczerze mówiąc, nie mam ochoty... a właściwie nie potrafię o tym rozmawiać. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałabym przekazać panu swój dziennik. Do wie się pan wszystkiego podczas lektury. Znajdzie pan też listę kilku gości Mailera. Zaznaczyłam stronę, od której powinien pan zacząć. Proszę, żeby nie zaglądał pan do wcześniejszych wpisów. Da mi pan słowo?

- Oczywiście, ma pani moje słowo... Daisy.

- Dziękuję, panie Redgrave. Jako że mamy stawić czoło nad wyraz poważnej sprawie, wolałabym, żebyśmy zwracali się do siebie nieco bardziej formalnie. Nie powinniśmy mówić sobie po imieniu. To by sugerowało, że jest między nami pewna zażyłość, a może nawet przyjaźń. Oboje wiemy, że w zaistniałej sytuacji, to nie tylko niemożliwe, lecz także wysoce nieestosowne.

Val potrząsnął głową. Kusilo go, żeby ściągnąć jej z nosa okulary i pocałować ją tak, żeby zapomniała o bożym świecie. Powstrzymał się przed tym z największym trudem.

- Potrafi pani zaleźć mi za skórę, bez dwóch zdań. Babcia byłaby wniebowzięta, widząc, jak wystawia pani moje nerwy na ciężką próbę.

- Proszę mi wierzyć, nie miałam takiego zamiaru.

- Nie wątpię. Wyszło pani ot tak, zupełnie niechcący.

- Powinnam wracać. Spotkamy się za kwadrans na tyłach stajni. Być może pełnia przypada właśnie dzisiaj.

Redgrave wyjął z kieszeni mały srebrny krążek, a właściwie trzy złączone razem krążki, które poruszały się dookoła własnych osi.

- W rzeczy samej - odezwał się, zerknąwszy na jedną z tarcz. - Dziś w nocy rozpoczyna się pełnia.

Podeszła bliżej i spojrzała mu przez ramię.

- Co to takiego?

Panna Mądralińska nareszcie czegoś nie wie, pomyślał z satysfakcją.

- Niemiecki kalendarz. Odkryłem go w sklepiku przy Bond Street. Kiedy przesuwamy się tarcze, w tym małym otworze widać dni tygodnia, fazy księżyca, a nawet długość poszczególnych dni i nocy.

Daisy z zaciekawieniem obracała w palcach niespotykany przedmiot.

- *Calendarium Perpetuum*... Wieczny kalendarz. Jest bardzo stary. Pochodzi z 1696 roku. Widzi pan tę datę? Wystarczy przesunąć i... o proszę. Fascynujące. Niech go pan nie zgubi. - Wręczyła mu z powrotem urządzenie i natychmiast zmieniła temat. - Czekam na pana za piętnaście minut. Tylko proszę się nie guzdrać. - Z tymi słowy odwróciła się na pięcie i zniknęła za drzewami. Nawet na niego nie spojrzała.

„Niech go pan nie zgubi. Proszę się nie guzdrać”. Nagle zaczęła wydawać mu rozkazy. Coś podobnego! A mówiłem Piffkinowi, że będzie mi wchodzić w paradę.

Przed chwilą dała pokaz swoich możliwości.

Ja miałbym się guzdrać? Dobre sobie. Co za... tupet! A niech ją!

Pół godziny później wciąż na nią czekał.

- I kto tu się guzdra? - mamrotał pod nosem, drepcząc tam i z powrotem w umówionym miejscu. - Zaraz! Stop! - Zatrzymał się raptem i zastygł jak słup soli. - Dość tego. Miałbym wydeptywać tu nową ścieżkę jak jakiś niecierpliwy Romeo? Nieodczekanie. - Zaczynał się niepokoić. Dzięki wysokim krzewom był dobrze schowany, ale jego punkt obserwacyjny znajdował się w pobliżu wejścia dla służby. W każdej chwili ktoś mógł pojawić się w drzwiach i go zobaczyć.

Gdzie ona się podziewa, do diaska? Właśnie dlatego nikt przy zdrowych zmysłach nie wtajemnicza kobiet w swoje zamierzenia. Z kobietami można zapomnieć o jakichkolwiek planach. Intuicja i improwizacja, tylko to im w głowie. W dodatku człowiek musi nieustannie zamartwiać się o ich bezpieczeństwo, a to zawsze zwiastuje poważne tarapaty.

Usłyszał zdejmowanie skobla z drzwi i uskoczył za węgieł.

- O mój Boże, nie zaczekał na mnie! - rozległ się podenerwowany głos panny Marchant. - Poszedł sobie.

- A podobno mieliśmy nie mieszać w to Boga - wytknął zrzędliwie.

Kiedy wyszedł jej na spotkanie, znów zrobiła coś nieoczekiwanego.

- Valentine! - zawołała, chwytając go kurczowo za rękę. Nie sądził, że jest aż tak silna. Gdyby nie widok przerażenia na jej poblądłej twarzy, uznałby ten nagły wybuch czułości za oznakę sympatii. - Nie ma go! Zniknął! Szukałam wszędzie!

- Czego? Dziennika?

Spojrzała na niego jak na osobę niespełna rozumu.

- Oczywiście, że dziennika. Niby czego innego miałabym szukać, panie Redgrave?

- Valentine. Przed chwilą zwróciłaś się do mnie po imieniu. Chyba nic się od tamtej pory nie zmieniło?

Westchnęła z rezygnacją.

- Dobrze już, dobrze. Skoro pan nalega... Skoro nalegasz, Valentine. Wyjęłam go, żeby sprawdzić nazwiska, o których rozmawialiśmy. Kiedy przeglądałam dawne wpisy, coś mi raptem przyszło do głowy i... chyba upuściłam go na podłogę... a potem wybiegłam z domu.

- Cudownie, właśnie tego nam było trzeba - skwitował z kwaśną miną.

- Och, naprawdę, nie musisz się tak krzywić, żeby dać mi do zrozumienia, że to niefortunne zajście mocno komplikuje sprawę. Na szczęście nikt nie wchodzi do mojego pokoju. Nawet pokojówkom otwieram drzwi sama. Kiedy najmowałam się na posadę, poprosiłam lady Caroline o klucz. Zgodziła się. Zresztą zawsze proszę o klucz. Ze względu na mężczyzn chlebobawców albo ich starszych synów, sam rozumiesz.

- Nie bardzo. Przypuszczam, że byliby zbyt przerażeni, żeby przyszło im do głowy cię napastować. Czy na pewno zamknęłaś drzwi na klucz?

- Nie mógłbyś się powstrzymać od wytknięcia mi błędu, prawda? Naturalnie, że nie zamknęłam. Spieszyło mi się i byłam... zaaferowana. Zależało mi na tym, żeby cię dogonić. Boże drogi, jeśli to przeczytają... dowiedzą się, po co tu przyjechałam.

- Nie mam pojęcia, kim są owi „oni”, ale jeśli istotnie dowiedzą się, po co przyje-

chciałaś, to będą wiedzieli więcej ode mnie. – Chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę drzwi. – Idziemy, moja panno guwernantko. Wyjeżdżasz stąd i to natychmiast.

– Nie mogę wyjechać – zaprotestowała, wyswobodziwszy dłoń. – Nie teraz. Nie pojedę bez mojego dziennika. Są w nich przecież nazwiska, o które prosisz. I całe mnóstwo... moich wspomnień. Jeżeli nie znajdę go do jutra, nie będę miała wyboru. Będę musiała wyjechać.

– Jak niby zamierzasz go znaleźć? – zapytał sceptycznie.

– Popytam. Ktoś musi coś wiedzieć. Z jakiegoś powodu ludzie zawsze mówią mi prawdę. Nawet kiedy mają ochotę skłamać.

– Coś podobnego! – zaśmiał się Val. – Nigdy bym nie uwierzył.

W odpowiedzi posłała mu wymowne spojrzenie i weszła z powrotem do budynku.

Przemierzywszy korytarz, ruszyła wprost do pokoju dziecięcego. Naturalnie nie zamierzała wypytywać o dziennik Mailera ani jego żony. Postanowiła skoncentrować wysiłki na swoich podopiecznych i na służbie.

Jeżeli niczego u nich nie wskóra, w ostateczności zwróci się do Davinii. Tyle że wtedy na pewno będzie musiała opuścić Fernwood. I to bez chwili zwłoki. Ta okropna kobieta o wszystkim donosiła chlebodawcy. Na wszelki wypadek zawczasu spakuje dobytek.

Nie wtajemniczyła Valentine'a w swoje plany. Doceniała to, że próbuje ją chronić, ale nie mogła przecież wyjechać na drugi koniec kraju. Redgrave Manor na pewno leży daleko stąd. Zatrzyma się zatem w jakiejś gospodzie, na tyle blisko, by mogła nocą wracać, obserwować ukradkiem dom i śledzić poczynania jego gości. Dowie się, dokąd zabrali Rose, a potem...

– Powoli, Daisy, wszystko po kolei – upomniała się, przechodząc obok schodów.

– Ty tam! – usłyszała nad głową wrzask Mailera. – Do ciebie mówię, Marchant!

Żołądek skurczył jej się do rozmiarów pestki winogron. Odwróciła się i spojrzała mu w twarz. Stał na półpiętrze i patrzył na nią z góry.

– Właśnie szłam do dzieci, milordzie.

– A czy ja się pytam, dokąd idziesz? Chodź no tu.

O mój Boże, on wie, pomyślała. Muszę natychmiast uciekać.

– Tak, proszę pana.

Podeszła do niego ze spuszczoną głową. Miała nadzieję, że nie daje po sobie poznać, jak bardzo jest zdenerwowana. W każdej chwili była gotowa puścić się biegiem i czmychnąć, gdzie pieprz rośnie.

– Sir?

– Nie, niczego tu nie widzę. Przywidziało mi się. Redgrave jednak mówił serio. Czuł, że musi ją przeprosić, ot i wszystko. Idiotyzm, ale cóż, każdy ma prawo być głupcem. Już. Możesz odejść. Aha, jeszcze jedno. Trzymaj smarkaczy z daleka ode mnie. Przez następny tydzień nie chcę widzieć ani ich, ani mojej nieszczęsnej żony, zwłaszcza kiedy zjadą się goście. Powiedzmy, że będą chorzy, albo co najmniej niedysponowani. Jeżeli tego nie dopilnujesz, stracisz posadę. Rozumiemy się?

– Tak, proszę pana. – Dygnęła i odeszła w głąb korytarza.

Niewiele brakowało, a straciłaby zimną krew i wzięła nogi za pas.

O co mu właściwie chodziło? – zastanawiała się gorączkowo. „Niczego tu nie wi-

dze”? Co to niby ma znaczyć? Ktoś musiał widzieć ją w towarzystwie Redgrave’a. Wczoraj wieczorem, na korytarzu, albo dziś, w szklarni... Kiedy Mailer zapytał swego gościa, dlaczego zniżył się do rozmowy z „koszmarną guwernantką”, ten najwyraźniej powiedział mu, że chciał ją przeprosić. Cóż, z pewnością miał za co przeproszać. Nie pojmowała tylko, czemu Mailer się nią interesuje. I co takiego chciał w niej zobaczyć? Podobieństwo do Rose? Nie, niemożliwe...

Gdzie się podziewa Valentine? Może on mógłby ją w tej kwestii oświecić? Że też nigdy nie ma go w pobliżu, kiedy jest potrzebny. Za to kiedy już się pojawia, to zawsze w najmniej odpowiednich momentach.

Gdy zbliżyła się do pokoiów dzieci, usłyszała rozpaczliwe zawołanie Williama.

- Co tu się najlepszego wyprawia? - zapytała, otworzywszy drzwi.

Piastunka próbowała wyczyścić chłopcu ucho palcem owiniętym w fartuch.

- Panicz Willy ma w uszach pełno błota, panno Marchant - wyjaśniła Agnes. - Nie pomogła nawet kąpiel. A teraz nie chce usiedzieć w miejscu, żebym mogła doprowadzić go do porządku.

- Też nie usiedziałabym w miejscu, gdyby ktoś próbował grzebać mi palcem w uszach. Nie ma innego sposobu?

- Mogłybyśmy zanurzyć mu głowę w wiadrze wody, ale raczej by mu się to nie spodobało.

Malec zaczął krzyczeć jeszcze głośniej.

- Hm... Może przerwijmy na chwilę i poszukajmy nieco mniej... drastycznej metody. Co ty na to, Williamie?

Malec prawdopodobnie nie pojął sensu jej słów, za to wyraźnie spodobał mu się łagodny ton, jakim do niego przemawiała. Posłał jej szeroki uśmiech, po czym wyrwał się piastunce i kopnąwszy biedaczkę w pieszczel, uciekł do sypialni. Daisy wiedziała, że powinna go upomnieć i kazać mu przeprosić Agnes, ale zwyczajnie nie miała siły użerać się z trzylatkiem.

- Chyba zejść do kuchni i uraczę się filiżanką herbaty - odezwała się piastunka. - To jest, jeśli nie będę już potrzebna. Nasz nicpoń dał mi się dziś mocno we znaki. Muszę odrobinę od niego odpocząć. Jak ból głowy? Już pani lepiej?

- O tak, dużo lepiej. Dziękuję, że się nimi zająłaś, żebym mogła chwilę odetchnąć. Idź, poradzę sobie sama.

Kiedy Agnes wyszła, Daisy podeszła do Lydii, która siedziała przy stole i zawzięcie coś rysowała. Była dziwnie milcząca. Zupełnie nie zwracała uwagi na otoczenie. Nawet nie spojrzała na guwernantkę, gdy ta kilka minut temu weszła do pokoju. Wcześniej, kiedy panna Marchant uskarżała się na ból głowy, jej podopieczna bardzo się zmartwiła i przemawiając głosem zatroskanej matrony, kazała jej „natychmiast położyć się do łóżka”.

- Co tam rysujesz? Pokażesz mi?

Mała nie odpowiedziała, więc Daisy podeszła bliżej i stanęła obok.

- Idź sobie - rzekła dziewczynka, zasłaniając ramieniem rysunek.

- Wiem, rysujesz pana Redgrave’a. Pewnie ma na głowie koronę i całuje w rączkę piękną, małą księżniczkę. Zgadłam? No, nie bądź taka. Pozwól mi zobaczyć swoje dzieło.

Lydia podniosła głowę i spojrzała na nią z wyrzutem. Po jej policzkach płynęły łzy.

Panna Marchant zaniepokoiła się i zabrała jej rysunek. Nie przypuszczała, że zobaczy coś takiego.

- Kto to jest, Lydio?

- Ty! Jesteś okropna, a okropni ludzie są wstrętni i brzydcy!

- I, jak widzę, przywiązuje się ich do pnia i wystawia smokom na pożarcie. - Odłożyła obrazek na stół i usiadła. - Proszę, wytrzymaj nasek - powiedziała, podając Lydii chusteczkę.

Dziewczynka zrobiła, co jej kazano, ale nadal uparcie milczała.

- Może powiesz mi, czym tak bardzo zawiniłam? Wtedy będę mogła cię przeprosić. No, śmiało, co takiego zrobiłam?

- Sama dobrze wiesz, co zrobiłaś. Skłamałaś. A mówiłaś, że nigdy, ale to nigdy nie wolno nam kłamać!

O mój Boże, pomyślała Daisy. Przyłapała mnie na kłamstwie. Tylko tego brakowało!

- Naprawdę? Skłamałam? Nie przypominam sobie, ale jeśli tak, to bardzo, bardzo mi przykro. Więcej tego nie zrobię, przyrzekam.

Lydia wysmarkała głośno nos i łypnęła na nią z ukosa.

- Powiedziałaś, że cię boli głowa i dlatego nie możemy iść z powrotem do szklarni, żeby obejrzeć nasze babki z błota. W ogóle nie pozwoliłaś nam wyjść na dwór. Więc zabrałam dwie najładniejsze róże z bukietu i wymknęłam się na korytarz, kiedy Agnes była zajęta przy Willym. Chciałam ci je dać, żebyś poczuła się lepiej. I wiesz co, Daisy? Nie było cię w twoim pokoju.

- Ach tak...

- Ale za to widziałam cię przez okno. Usiadłam na parapecie, żeby poczuć się jak księżniczka uwięziona w wieży i wtedy zobaczyłam ciebie i... pana Redgrave'a.

Daisy westchnęła i rozmasowała skronie. Lydia nie mogła widzieć nas razem. Zapewne najpierw zobaczyła Valentine'a, kiedy wyjeżdżał konno ze stajni. Potem zauważyła mnie. Jako że szłam w tę samą stronę, uznała, całkiem zresztą słusznie, że wyszłam z domu, żeby się z nim spotkać.

- Nie widziałam się z panem Redgrave'em, Lydio - poszła w zaparte. - Zamiast się położyć, wyszłam na spacer. Pomyślałam, że świeże powietrze dobrze mi zrobi. Naprawdę myślałaś, że cię oszukałam i poszłam zobaczyć się z twoim księciem z bajki?

- Nie... znaczy, tak. A nie poszłaś?

- Nie, nie poszłam. Mogłam ci powiedzieć, że wybieram się na przechadzkę, ale nie sądziłam, że to konieczne.

- Przepraszam, byłam głupia, że tak pomyślałam!

Panna Marchant miała wyrzuty sumienia. Kto to słyszał, żeby tak perfidnie kłamać dziecku?

- Nie mów tak, kochanie, nie jesteś głupia - powiedziała, ściskając ją za rączkę. - Co zrobiłaś z kwiatkami?

Lydia posłała jej szeroki uśmiech i oznajmiła bez żenady:

- Porwałam je na kawałki i wrzuciłam ci do nocnika.

Daisy zaśmiała się w głos.

- Ładnie wyglądasz, kiedy się śmiejesz - uznała Mailerówna. - Wiem, wiem, nie

powinnam była niszczyć róż. I tego też nie powinnam była zabrać – dodała, sięgając do kieszeni. – Masz, weź to sobie. – Podała jej zaginiony pamiętnik. – I tak nie wiedziałam, co z nim zrobić. Był za gruby, żeby go podrzeć i wrzucić do urnału.

– Mam nadzieję, że nikomu go nie pokazywałaś?

– Tylko Willowi. – Lydia porwała rysunek i odłożyła jego strzępy na bok. – Namalowałam też księcia. Chcesz zobaczyć? Chyba zrobiłam mu za dużo włosów, ale są takie śliczne. On cały jest śliczny, prawda?

Panna Marchant przypomniała sobie przystojną twarz Valentine'a, jego niesforną przydługą grzywkę, niesamowicie długie rzęsy i oczy pełne zrozumienia i współczucia.

– Tak, Lydio, pan Redgrave jest bardzo... ładny.

– Ładniejszy niż ty – stwierdziła jej podopieczna i zabrała się do pracy nad kolejnym malunkiem. Najwyraźniej jeszcze nie wszystko jej wybaczyła.

Daisy znów się roześmiała. Nie robiła tego od tak dawna, że już zapomniała, jakie to wspaniałe uczucie. Rozpaczała po utracie siostry, ale mimo to jakimś cudem dziś po raz pierwszy poczuła, że wraca do życia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Piffkin podszedł do lustra, przy którym Val próbował okiełznać włosy, i podał mu złożoną na pół kartkę papieru.

- A cóż to, przyjacielu? Twoja rezygnacja? - zachichotał Redgrave.

Służący nie podzielał jego wesołości.

- Znalazłem to na podłodze - oznajmił rzeczowo. - Pod pańskim drzwiami.

Valentine uniósł brew.

- Pod moimi drzwiami, powiadasz? Coś podobnego... No i? Co tam jest napisane?

Kamerdyner wyprostował plecy i wyprężył się jak struna.

- Nie mam zwyczaju czytywać cudzej korespondencji, jaśnie panie - stwierdził sentencjonalnie. - Zwłaszcza... ech, do czarta, oczywiście, że tę akurat przeczytałem. Postanowiłem zrobić wyjątek, ze względu na... nietypowe okoliczności. A wiadomość brzmi: „Znalazł się. Wszystko w jak najlepszym porządku”. Cokolwiek to znaczy.

- To znaczy, że nie możemy wyekspediować panny Marchant w podróż. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Służący zrobił minę, jakby najadł się dziegciu.

- Wybaczy pan, ale to doprawdy zdumiewające. Ta dzierlatka dosłownie owinęła sobie pana wokół palca. Nigdy przedtem nie zdarzyło się panu ulegać we wszystkim kobiecie. To klęska, kompletna katastrofa...

Val odgarnął z czoła niesforny lok i odwrócił się od lustra.

- Nic się przed tobą nie ukryje. Widzę, że jesteś mną baaardzo rozczarowany. Cóż mogę powiedzieć? Tak mi wstyd, że prawdopodobnie nigdy więcej nie zdołam spojrzeć ci prosto w oczy.

Kamerdyner westchnął teatralnie i podał mu surdut.

- Doszły mnie słuchy, że Mailer będzie gościł kogoś na kolacji - oznajmił ni stąd, ni zowąd.

Redgrave zerknął na niego, poprawiając mankiety.

- I mówisz mi o tym dopiero teraz? A może zwlekałeś tak długo, bo sądziłeś, że mnie to nie zainteresuje?

- Cóż, przyzna pan, że miałem powody tak pomyśleć. Ostatnio ciągle pana coś rozprasza. A raczej ktoś...

- Nie myślałeś czasem o emeryturze, Piffkin? Ponoć masz siostrę w Shropshire? Jestem pewien, że ucieszyłaby się na twój widok.

- O tak, z pewnością. Millicent jest do mnie bardzo przywiązana. Ale musiałbym najpierw znaleźć panu nowego anioła stróża. Inaczej zamartwiłbym się na śmierć. Może panna Marchant miałaby ochotę przejąć moje obowiązki? Jak się panu zdaje? Trzeba jej oddać, że potrafi trzymać pana w ryzach jak mało kto.

- Bardzo zabawne, słowo daję - wycedził Val. Miał ochotę pokazać mu język tak jak kiedyś, w dzieciństwie, ale uznał, że byłoby to cokolwiek niedojrzałe.

Piffkin popatrzył na jego nieszczęśliwą minę i roześmiał się w głos.

Valentine przewrócił oczami, po czym wyszedł na korytarz.

Do bawialni dotarł równo z pierwszym dzwonkiem na posiłek. W środku zastał tylko Mailera, który tkwił w wystudiowanej pozie przy kominku. Jedną ręką opierał się o gzyms, w drugiej zaś trzymał kieliszek wina. Zapewne właśnie tak w jego mniemaniu wyglądał człowiek w pełni odprężony i zadowolony z życia. Redgrave stał jednak wystarczająco blisko, by dostrzec, że to tylko pozory. Zdradziły go czerwone plamy na policzkach oraz dłoń zaciśnięta w pięść.

Val nie lubił wtykać kija w mrowisko, lecz tym razem nie zdołał się powstrzymać. Nie byłby sobą gdyby nie dogryzł Charliemu.

- Witam, drogiego gospodarza! - zawołał radośnie od progu. - Moje uszanowanie. Ależ miałem udany dzień! Wybrałem się na przejażdżkę na grzbiecie przedniego konia i obejrzałem wzdłuż i wszerz twoje włości. Masz wspaniały majątek, przyjacielu. I wiesz, jak należy podejmować gości. Szczerze mówiąc, nie cierpię zbiorowych wycieczek. Wolę zwiedzać na własną rękę. Uwielbiam swobodę. Poczęstujesz mnie winem czy dalej będziesz tak stał jak posąg?

Kiedy zatrzymał się naprzeciw Mailera, zauważył, że jego źrenice są nienaturalnie zwężone. Widywał już podobne objawy. Charlie ani chybi odurzał się opium. Cóż, każdy ma jakieś hobby...

W czasach burzliwej młodości, z której, jak by powiedział Piffkin, jeszcze nie wyrósł, Val też dał się kiedyś namówić na wypalenie fajki z owym specyfikiem. Do dziś nie mógł zrozumieć, czemu ludzie tak się nim zachwycali. I to do tego stopnia, że popadali w nałóg. On czuł się po opium fatalnie, nie mógł zebrać myśli, zupełnie stracił kontrolę nad mową, w dodatku wydawało mu się, że chce, a nawet musi robić rzeczy, które w normalnych okolicznościach nawet nie przyszłyby mu do głowy.

Charles machnął ręką, wylewając przy tym połowę wina na podłogę.

- Berek jest suto zaopatrzony - rzekł bełkotliwie. - Częstuj się.

Redgrave przytrzymał go, gdy zachwiał się na nogach.

- Uważaj, Charlie. Widzę, że raczysz się już od jakiegoś czasu. Słyszałem, że zjechali się nowi goście.

- Nie zostaną na kolacji. Przyjechali i pojechali. Na przyjęcie. W zamkniętym gronie, pojmujesz. A moja żona została poinstruowana, że ma nie wychodzić ze swoich pokojów. Tak jak sobie życzyłeś.

- Nie życzyłem sobie. Ja tylko sugerowałem.

- Dobry wieczór, panom - odezwał się ktoś za ich plecami. - Czyżbym się spóźnił, he, he?

- Ci... nie zaprosili go - szepnął Mailer. - Dlatego został.

Właśnie, pomyślał Val. Nas dwóch też nie zaprosili. A to rodziło niepokojące pytania. Niewykluczone, że Mailerowi kazano pozostać w domu w charakterze przyzwitki, a raczej cerbera. Tymczasem reszta towarzystwa miała zadecydować o losach nowych gości, czyli jego oraz człowieka, który przed chwilą wszedł do bawialni. Kto wie, może właśnie teraz przyjaciele Charlesa przesądzą o tym, co z nimi począć? Przyjąć do swego wielce „szacownego” grona, zaszantażować, a może zwyczajnie wyeliminować i tym sposobem pozbyć się kłopotu?

Odwrócił się w stronę drzwi i spojrzał na chudego, wysokiego mężczyznę o niezgrabnej posturze. Był mniej więcej w jego wieku i nie miał za grosz wyczucia w kwestii mody. Choć bez wątpienia starał się zadać szyku, dobór jego odzienia wo-

łał o pomstę do nieba.

Val od razu go rozpoznał. Zetknął się z nim podczas swej ostatniej wizyty przy Downing Street. Jegomość nazywał się Frappton i był pomocnikiem jednego z podsekretarzy Percevala. To on próbował go wówczas zatrzymać. Stał co najmniej trzy szczeble niżej w hierarchii od swojego zwierzchnika. Nic dziwnego, że śledztwo prowadzone przez premiera nie posuwało się ani na jotę, skoro wszyscy byli takimi specjalistami od konspiracji jak Frappton. Gamoń wyglądał jak słoń w składzie porcelany, a na dobitkę każdą swoją wypowiedź kończył nerwowym chichotem.

Oby miał nieco oleju w głowie i nie chlapanął teraz czegoś niestosownego.

- Zechcesz nas sobie przedstawić, Charlie? - odezwał się Redgrave.

Mailer zamrugał, jak człowiek wybudzony z głębokiego snu i zerknął błędnym wzrokiem na Frapptona, który tkwił pośrodku pokoju z głupkowatym uśmiechem na twarzy, najwyraźniej nie mając pojęcia, co począć.

- Ach, tak, naturalnie. Gdzie moje maniery? Panie Redgrave, przedstawiam panu pana... pana... Jakże tam pan się nazywa? Wyleciało mi z głowy...

Boże, miej mnie w opiece, bo nie mam cierpliwości do durniów, westchnął w duchu Valentine.

- Frappton, milordzie, Cecil Frappton. Ale większość znajomych zwraca się do mnie po nazwisku, he, he. Nie przypomina mnie pan sobie, panie Redgr...

- Miło mi... - wtrącił pospiesznie Val i podszedł bliżej. Gdy podali sobie ręce, ścisnął Cecila tak mocno, że biedaczysko niemal pisnął z bólu. Potem świdrował go wymownym spojrzeniem tak długo, aż w końcu dostrzegł na jego tępej twarzy błysk zrozumienia. - Czy sobie pana przypominam? - powiedział przyjaźnie, wciąż miażdżąc jego dłoń. - Ależ tak, naturalnie. Zdaje się, że już się kiedyś spotkaliśmy. Prawdopodobnie na którymś z londyńskich balów w ubiegłym sezonie? Przywiózł pan ze sobą szanowną małżonkę?

Frappton wreszcie pojął, w czym rzecz. Albo uznał, że jednak warto zachować rękę w nienaruszonym stanie.

- To nie mogłem być ja - rzekł, próbując się nie krzywić, co u człowieka bez wyraźnie zarysowanego podbródka wyglądało dość komicznie. Wypisz wymaluj królik cierpiący na zaparcie, pomyślał złośliwie Valentine. - Musiałem się pomylić... - ciągnął Cecil. - Nie sądzę, byśmy się kiedykolwiek spotkali. Poza tym... nie mam żony, he, he...

- Grzeczny chłopiec - szepnął Redgrave, uwalniając wreszcie jego dłoń. A raczej łapę. Króliki mają przecież łapy, nieprawdaż? Będzie musiał spytać Daisy. - Wielka szkoda - dodał głośno na użytek Mailera. - Że nie jest pan żonaty... Ale... nie ma się czym martwić, jestem pewien, że znajdzie pan godną uwagi kandydatkę. Prawda, Charles?

- Co? - Mailer zastygł nad krzesłem w nieobyczajnej pozie. Zamierzał właśnie usiąść, kiedy ponownie rozległ się gong. Wyglądało to tak, jakby wypiął się na swoich gości. - Oho, zdaje się, że powinniśmy zasiąść do stołu. Moja małżonka jest niestety niedysponowana. Zaniemogło, biedactwo. Będziemy zatem tylko my dwaj... no i pan, panie Frapworth. Zapraszam... zapraszam...

Charlego na szczęście interesowała wyłącznie zawartość własnego kieliszka. Niemniej na wszelki wypadek Redgrave wziął na siebie rolę gospodarza. Głównie

z obawy, że Frappton znów powie o jedno słowo za dużo. Podtrzymał więc rozmowę i zabawiał pozostałą dwójkę sprośnymi dowcipami, które usłyszał od babki. Trixie miała ich w zanadrzu całkiem sporo i oczywiście opowiadała je tylko wtedy, kiedy jak jej się zdawało, dzieci nie było w pobliżu.

Mailer jak zwykle w takich razach natychmiast się ożywił. Jako że uwielbiał zberezeństwa, dorzucił kilka własnych wyjątkowo kosmatych żartów. Val prawie się zarumienił, Cecil natomiast rechotał jak nieopierzony młokos.

- Żadnych rozrywek na dziś, Charles? - zapytał Valentine, kiedy wreszcie po niewyobrażalnie długim posiłku, skończyli jeść i przeszli do bawialni na cygaro i szklaniczkę brandy.

Frappton zdecydowanie nie był amatorem palenia. Zaciągał się dość nieudolnie, a jego twarz po kilku minutach przybrała kolor szarej zieleni.

- Wspominałeś coś o jakimś przyjęciu? - nie dawał za wygraną Redgrave. - Koniec końców, przyjechaliśmy tu po to, żeby się zabawić, prawda, Frappton?

- O, nie, co to, to nie - odparł Cecil, odkładając do popielniczki cygaro. - W każdym razie nie ja. Ja jestem tu służbowo. Na życzenie mego przełożonego, czcigodnego Harolda Charfielda. Przybyłem do Fernwood wraz z nim. Niestety nie możemy cieszyć się dziś jego towarzystwem, jako że nieoczekiwanie zaniemógł w podróży i w związku z tym udał się wcześniej na spoczynek.

- Doprawdy? A niech mnie! Charles! Zdaje się, że twój dom powoli przeistacza się w siedlisko chorób! Może jednak powinienem wyjechać...

- Dałbyś... spokój... Redgrave - zaprotestował niewyraźnie Mailer. - Wiesz przecie, że mojej... poważnej żonie nie dolega nic szacownego... - język plątał mu się, jakby majaczył w gorączce. - Więcej brandy! - wrzasnął w stronę lokaja.

Służący podszedł do niego i napełnił mu szklanekę.

- Od razu lepiej - westchnął błogo. W międzyczasie zdążył zebrać myśli i jako tako zapanować nad mową. - O co pytałeś, przyjacielu? Mówiłeś coś o chorobach? Nie ma się czym martwić, to nic takiego. Caro cierpi na kobiecą przypadłość. Przez najbliższe dwa, trzy dni raczej jej nie zobaczymy. Zawsze to samo. Regularnie jak w zegarku. A co do Charfielda, to chyba raczej dolega mu coś innego.

- He, he, he - zachichotał Cecil, jak przystało na prawdziwego pacana.

Frappton był tylko nieszkodliwie głupi, za to Mailer miał wrażliwość karalucha. Valentine dopisał to do długiej listy jego grzechów. Pomyślał, że rozdeptanie go jak robaka będzie przyjemnością, a przy okazji przysługą dla całego rodzaju ludzkiego.

- Przekaż lady Caroline życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

- Nie będę miał okazji. W takim stanie na nic mi się nie zda. Odwiedzę ją nie wcześniej niż pod koniec tygodnia.

Kolejny punkt na liście, odnotował Redgrave.

- Jak sądzisz, Frappton - zapytał - czy twój pryncypał do jutra wydobrzeje? Jeśli nie, to słowo daję, Charles, będę musiał spakować manatki i wrócić do Londynu. W przeciwnym razie skonam z nudów. Uprzedzałem cię, że nie cierpię wsi. Twój majątek, jakkolwiek urokliwy, nie przeczę, jest tak mały, że da się go w całości objechać w godzinę. Cecil jest nudziarzem, wybacz, Frappton, i nie bierz tego do siebie; na towarzystwo interesujących przedstawicielek płci pięknej nie możemy liczyć, a ty, nasz drogi gospodarzu, jesteś pijany jak... świnia. Jeżeli tak twoim zdaniem wy-

gląda rozrywka, to mamy cokolwiek rozbieżne wyobrażenia na ten temat. Jak babkę Kocham, nie raz i nie dwa lepiej bawiłem się u dentysty.

Mailer otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Val powstrzymał go stanowczym gestem i podniósł się z fotela.

- Co byś powiedział na małą przechadzkę przed snem, Frappton? Zgodnie z tym, co mówi mój wieczny kalendarz, do zachodu słońca mamy około godziny.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Cecil poderwał się z miejsca i rzekł z entuzjazmem:

- Naturalnie, z wielką chęcią. Czy... czy mogę zostawić cygaro?

- Jak najbardziej. Ja na twoim miejscu bym tak zrobił. I tak jest pośledniej jakości. Charles, zechcesz nam wybaczyć?

- Oczywiście, idźcie. Ja też niebawem się kładę. I... nie obawiaj się, jutro wieczorem poznasz resztę towarzystwa. Masz na to moje słowo, Redgrave. Ty też, Frapply.

- Frappton, sir, he, he.

- A czy to nie wszystko jedno? Zresztą to nie ja cię zaprosiłem, lecz Harold.

- Chodźmy, Cecil - wtrącił Valentine, uśmiechając się na widok urażonej miny urzędnika. - Przyda ci się odrobina świeżego powietrza po tym paskudnym cygarze.

Przy okazji wypytam cię o pana Charfielda. O losie, najpierw niemożliwa panna Marchant, a teraz Cecil królicza mordka. Jeszcze trochę, a przyjdzie mi ratować całą wioskę, jak nie przymierzając Robin Hood.

Valentine spojrział w lustro i uśmiechnął się zadowolony z efektu swoich starań. Nie, nie, wcale nie był próżny. Sprawdzał tylko, czy jego kamuflaż jest dopracowany w każdym detalu. Nie mógł sobie pozwolić na niedociągnięcia. Od stóp do głów spowijała go czerń. Idealny sposób na to, aby w nocy zlać się z otoczeniem.

Zerknął na Piffkina i pomachał mu na pożegnanie.

- Pamiętaj, przyjacielu, masz cały czas leżeć plecami do drzwi - powtórzył na wszelki wypadek. - Pod żadnym pozorem nie wolno ci się odwracać. Nawet gdyby się waliło i paliło. I nie zapomnij zmówić pacierza.

Kamerdyner umościł się na posłaniu i naciągnął wyżej kołdrę. Tej nocy miał spać, a raczej czuwać, w ogromnym łożu chlebowawcy.

- Jeśli rzeczywiście przyjdą pana szukać, raczej nie dadzą się nabrać.

- Przeceniasz ich. Zostawiliśmy tylko jedną świecę, a ogień w kominku już dogasa. Po ciemku nie zauważą różnicy. Mailer to patentowany leń. Zajrzy tylko, żeby sprawdzić, czy śpię. Uruczysz go wtedy lekkim pochrapywaniem i załatwione. Tylko pilnuj, żeby nie spadła ci szlafmyca. Lepiej, żeby nie zobaczył twojej łysej czaszki. - Z tymi słowami Redgrave wymknął się na korytarz i wyszedł z domu przez balkon biblioteki. Był pewien, że Charles nie bywał w niej od lat. Kto wie, czy w ogóle kiedykolwiek zajrzał do jakiejś książki...

Obszedłszy budynek, przycisnął się w krzakach w pobliżu wyjścia dla służby.

Nie czekał długo. Tak jak przypuszczał, Daisy ukazała się w progu już po kilku minutach.

Niewiele myśląc, wyskoczył z kryjówki, chwycił ją wpół i obrócił twarzą ku sobie. Zrobił to tak szybko i nieoczekiwanie, że na moment straciła oddech.

Bardzo dobrze, pomyślał. Lepiej, żeby się teraz nie odzywała. Korzystając ze sposobności, wycisnął na jej ustach krótki, mało satysfakcjonujący pocałunek. Powetuje sobie przy najbliższej okazji, zakonotował w myślach, po czym chwycił ją za rękę i puścił się biegiem w stronę najbliższych drzew.

Zatrzymał się dopiero, gdy mogli się schronić za rozłożystym dębem.

- Śmiało, teraz możesz zmyć mi głowę - rzekł, spoglądając na nią z góry. - Widzę, że aż się do tego palisz. Tylko, błagam, nie podnoś głosu.

- Sama nie wiem, od czego zacząć - odparła, próbując uspokoić oddech. - Trochę się tego nazbierało. - Popatrzyła na niego z wyrzutem i poprawiła okulary.

Val ściągnął je i wsunął sobie do kieszeni. Dziś zdjąłem jej okulary, pomyślał, jutro pozbędę się tego okropnego koka. Muszę tylko uzbroić się w cierpliwość. Wielka szkoda, że jak dotąd nie opanowałem tej sztuki. Wytrwałość nigdy nie była moją mocną stroną.

- Nie chcemy, żeby szkła odbijały światło księżyca - oznajmił, chcąc uprzedzić ewentualne protesty.

- Skąd wiedziałeś, że wyjdę z do... zaczęła, ale urwała w pół zdania. - Naturalnie, że wiedziałeś. Domyśliłeś się, że nie będę potrafiła trzymać się od tego z daleka.

- Więc nie dostanę pochwały za błyskotliwą dedukcję? Jestem srodze zawiedziony. Pozwolę sobie przypomnieć, że obiecałaś przekazać mi swój dziennik.

Sięgnęła do kieszeni i podała mu zeszyt.

- Proszę. Zawsze dotrzymuję słowa. Mam nadzieję, że ty także dotrzymasz swojego i zaczniesz czytać od zaznaczonego miejsca.

- Ja też ci coś obiecałem? Niemożliwe. Nie przypominam sobie.

- To wcale nie jest zabawne.

- Moje żarty nie są zabawne? Dobrze, że wziąłem ze sobą sztylet. Zaraz się na niego nadzieję. Będziesz mnie miała na sumieniu...

- Valentine?

W jednej chwili spoważniał. Głównie dlatego że sytuacja była nieciekawa i bez wątplenia wymagała powagi. Wiedzieli o tym oboje. Za to on wciąż nie wiedział, dlaczego Daisy tak bardzo obstaje przy tym, żeby zostać w Fernwood. Nie pojmował, dlaczego z własnej woli naraża się na poważne niebezpieczeństwo. Jaki może mieć powód? Jest nieustraszona czy może raczej szalona?

- Tak, Daisy?

- Och, daruj sobie. Nie musisz obchodzić się ze mną jak z dzieckiem.

Przejrzała jego strategię? Niedobrze. Jak mógł do tego dopuścić?

- Bardzo cię proszę, Daisy, wróć do swojego pokoju. Nie wybieram się na spacer po parku. To, co muszę zrobić, może się dla mnie bardzo źle skończyć. Zwłaszcza jeśli będę musiał martwić się o twoje bezpieczeństwo.

- Naprawdę sądzisz, że zamierzają zebrać się dzisiaj przy głazach? Przecież wiedzą, że jesteś w Fernwood. Więc dlaczego akurat teraz?

Obawiał się, że o to spyta.

- Myślę, że będą głosować w mojej sprawie - odparł po namyśle. - Mojej i pewnego durnia, którego poznałem przy kolacji. - Kciuki w górę albo w dół. Jak podczas igrzysk.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Zdecydują, czy przyjąć cię do swojego grona? - zapytała z niedowierzaniem. - Ciebie? Więc po to tu jesteś? Chcesz zostać jednym z nich? O mój Boże, Valentine! I... oni ci uwierzyli?

Uśmiechnął się.

- Czemu cię to tak dziwi? Robię tylko to, co konieczne. Żeby ich zniszczyć, musimy wiedzieć, z kim dokładnie mamy do czynienia. Dlatego mam zamiar przeniknąć do ich struktur. Dlatego potrzebne mi ich nazwiska.

Przyłożyła sobie rękę do skroni, po czym posłała mu oskarżycielskie spojrzenie.

- Downing Street! Teraz rozumiem, co miałaś na myśli. Daję ci pięć sekund. Jeśli zaraz mi wszystkiego nie wyjaśnisz, to klnę się na Boga, zacznę wrzeszczeć i twoje plany spalą na panewce.

- Nie zrobisz tego. Nawet teraz, choć jesteś wzburzona, mówisz szeptem. Pamiętaj, że jeśli spełnisz swoją groźbę, nie dowiesz się tego, co tak bardzo chcesz wiedzieć. Ja zaś nie poznam tego, co przede mną ukrywasz.

- Proszę, proszę, wszechwiedzący pan Redgrave postanowił dać mi lekcję logiki. Akurat teraz!

Val poczuł ostre ukłucie w okolicach serca i mocno się stropił. Pomyślał, że dosięgła go strzała Amora, i zaczął się zastanawiać, dlaczego stało się to tak nieoczekiwanie, a w dodatku w tak nieodpowiednim momencie.

Spojrzał przed siebie, ale w dantejskich ciemnościach trudno było cokolwiek zobaczyć.

- Czy ta ścieżka wiedzie do głązów? - zapytał.

- Tak, często chodzę tędy z dziećmi...

Tym razem wziął ją na rękę. Nie chciał, żeby zostawiła ślady butów. Wystarczy, że on zostawił swoje. Kiedy dotarli do następnej kępy krzewów, postawił ją na ziemi i pociągnął w dół.

- Myślisz, że przejdą właśnie tędy? - spytała, kiedy oboje przykucnęli.

- Proszę, proszę, pani chodząca encyklopedia pyta o rzeczy oczywiste. Świat jest pełen niespodzianek. Siedź cicho i nie wychylaj głowy. Do północy została niespełna godzina.

- Skąd wiesz, że zjawią się o północy?

- Nie wiem. Ale skoro jeszcze ich nie ma, to albo przyjdą o północy, albo nie przyjdą wcale. Czy mogłabyś na jakiś czas powstrzymać się od rozmowy?

Fuknęła urażona i milczała przez następny kwadrans. No, prawie milczała. Mimo wszystko nie zdołała się powstrzymać od zadania kilku pytań, które Val pozostawił bez odpowiedzi.

Jakiś czas później w oddali zamigotało światło. Na czele pochodu zbliżającego się od strony domu szedł przewodnik z lampą, pozostali maszerowali za nim w równym szeregu, trzymając się peleryny osoby idącej z przodu. Ich głowy zdobiły ogromne maski kozłów, byków, lwów i tym podobnych.

Daisy wciągnęła głośno powietrze i spróbowała się podnieść.

Redgrave zareagował instynktownie. Przytrzymał ją i zakrył jej usta dłonią.

- Postradałaś zmysły? - zapytał, kiedy procesja przeszła obok nich. - Życie ci nie-miłe?

- Nie pójdziemy za nimi?

- Pójdziemy, ale nie od razu. Musimy chwileczkę odczekać. Wiem, że jest wśród nich Mailer. Wyczułem go na kilometr, bo śmierdzi jak gorzelnia. To on ich prowadził. Zapewne dlatego, że najlepiej zna teren. Idę o zakład, że rzekomo obłożnie chory Harold Charfield, zwierzchnik pewnego durnia, którego poznałem dziś przy kolacji, raptem cudownie ozdrowiał i także do nich dołączył. Jakiś czas temu przechwyciliśmy dziennik jednego z członków Towarzystwa. Okazuje się, że panowie nadają sobie wyszukane „członkowskie” przydomki, na przykład Miner, Bird, Webber, Urban i Cot, ale oni akurat zakończyli przedwcześnie żywot. Wśród żywych zostali Hammer, Burn, no i ci tutaj. Przypuszczam, że Charfield^[8] to właśnie Burn.

- Nie mam zielonego pojęcia, co to wszystko znaczy - przerwała Daisy. - Zresztą, jestem niemal pewna, że mówiłeś do samego siebie. Zauważyłam, że użyłeś liczby mnogiej, i zastanawiam się, kogo masz na myśli. Jeśli oboje wyjdziemy z tego cało, będę domagała się wyjaśnień. Jutro z samego rana. I uprzedzam, że zadam mnóstwo pytań.

- Jesteś jeszcze bardziej ciekawska i krnąbrna niż moja siostra. Wiedz, że w niczym mi to teraz nie pomaga. - Val wstał i podał jej rękę. - Rozumiem, że porzuciłaś zdrowy rozsądek i nie zostaniesz tutaj, nawet jeśli ładnie cię o to poproszę. Oczywiście, że nie. Cóż, postawiłaś na swoim, ale ostrzegam, jeśli spróbujesz się odezwać, natychmiast wylądujesz na ziemi. Z twarzą w błocie. Rozumiemy się?

- Nie ma powodu się pieklić - odparła tonem surowej guwernantki. - Nie rozumiem, czemu... umilkła, gdy westchnął i posłał jej wymowne spojrzenie.

Była przerażona, a kiedy się bała, z jakiegoś powodu lubiła dużo mówić. Valentine doskonale o tym wiedział. Wiedział też, że nie pomogą żadne prośby, groźby czy perswazje. Nie zamierzała się wycofać ani tym bardziej wrócić grzecznie do swojego pokoju, nawet gdyby przystawił jej pistolet do głowy. Jej dziennik dosłownie wypalał mu dziurę w kieszeni. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie przeczyta to, czego nie chciała albo zwyczajnie nie umiała powiedzieć mu osobiście. Przypuszczał, że byłoby to dla niej zbyt bolesnym przeżyciem, dlatego obiecał sobie, że zrobi, co w jego mocy, aby pomóc jej się z tym uporać.

Nie uważał się za rycerza w lśniącej zbroi, ale z całą pewnością potrafił działać z wielką determinacją, zwłaszcza kiedy bardzo mu na czymś zależało. Kate powiedziała, że ma słabość do dam w opresji i że zawsze reaguje na nie w ten sam sposób, to jest pragnie je za wszelką cenę ratować. Tym razem było jednak zupełnie inaczej... ponieważ chodziło o Daisy, a Daisy była absolutnie wyjątkowa; odrobinę oschła, irytująco wyemancypowana, zawzięta, niezależna... czasem brakowało mu przymiotników, żeby ją opisać. Sam nie wiedział dlaczego, ale najbardziej imponowało mu w niej to, że pozostała niewzruszona i zupełnie odporna na jego wdzięki. Urok osobisty czarującego Vala Redgrave'a w ogóle na nią nie działał.

Im więcej spędzał z nią czasu, tym bardziej zaczynała go onieśmielać. Czuł się przy niej dokładnie tak samo, jak w czasach, kiedy był nieporadnym czternastolatkiem i próbował zaimponować córce kucharki, stając przed nią na głowie.

Co ja najlepszego wyprawiam? - pytał samego siebie. Dlaczego pozwalam jej ze sobą iść? Próbował sobie tłumaczyć, że nawet gdyby chciał zawrócić ją siłą, i tak by za nim poszła. Jednak w głębi duszy wiedział, że zwyczajnie się oszukuje. Tak naprawdę, gotów był na każde szaleństwo, byle tylko choć raz spojrziała na niego z po-

dziwem.

- Pora iść - odezwał się, usiłując uciszyć sumienie. - Daliśmy im wystarczająco dużo czasu. Trzymaj się odrobinę z tyłu i rób dokładnie to samo, co ja. Kiedy się zatrzymam, ty też masz się zatrzymać. I na Boga, nie odzywaj się. Ani pary z gęby. To wyprawa zwiadowcza. Będziemy ich tylko obserwować.

- A co jeśli nas zauważą?

- Trzeba było się nad tym zastanowić, zanim wyszłaś z domu. Teraz za późno na rozterki. Nie mogę zostawić cię tu samej.

Bodaj pierwszy raz od początku znajomości nie znalazła odpowiedzi na jego słowa, jakby raptem odebrało jej mowę. Nareszcie! A myślałem, że to niemożliwe, powiedział z przekąsem w myślach, wziął ją za rękę i ruszyli razem w górę zbocza.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mniej więcej w połowie drogi usłyszeli monotonne nucenie, które każdego normalnego człowieka przyprawiłoby o gęsią skórę. To nie żadne bestie, pomyślała Daisy. Ani mityczne potwory o nadprzyrodzonych mocach. To zwykli śmiertelnicy, tyle że jest ich aż sześciu, a Valentine jest tylko jeden. Ja w niczym mu nie pomogę. Wręcz przeciwnie, będę go skutecznie rozpraszać.

Co jeśli kichnę? Albo nagle potknę się o jakąś gałąź i krzyknę, nim zdoła mnie powstrzymać? Powinnam była zostać w domu. Niepotrzebnie mnie ze sobą zabrał. Jak w ogóle mógł na coś takiego pozwolić? Naraża się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Z mojego powodu. Muszę jak najprędzej zawrócić. Nie chcę, żeby coś mu się stało. Poszłam za nim, bo sądziłam, że na coś się przydam. Chciałam go chronić. Chyba do reszty postradałam zmysły... Ja miałabym go chronić? Niby jak? Boże, czemu jestem taka głupia? Jeśli przytrafi mu się coś złego, albo co gorsza, spotka go taki sam los, jaki spotkał Rose, nigdy sobie tego nie daruję...

Zatrzymał się i pokazał jej gestem, że dalej zamierza iść sam, a ona ma czekać na niego schowana za pobliskim krzewem. Zrobił przy tym tak zabawnie groźną minę, że miała ochotę się roześmiać. Wyraźnie nie życzył sobie żadnych dyskusji, więc ograniczyła się do kiwnięcia głową. Popatrzył na nią podejrzliwie, jakby chciał się upewnić, czy nie będzie sprawiała kłopotów, a potem odwrócił się, żeby odejść.

Przemknęło jej przez myśl, że być może nigdy więcej się nie zobaczą. Niewiele myśląc, chwyciła go za rękę i zmusiła, żeby na nią spojrzał.

Dostrzegła w jego oczach frustrację i poirytowanie. Kazał jej milczeć, a nagle zapragnęła, żeby wiedział, co czuje. Uniosła więc jego dłoń i na moment przycisnęła do niej usta. Miała nadzieję, że zrozumiał, co mu chciała powiedzieć: Uważaj na siebie. Wróc cały i zdrowy.

Naraz przyciągnął ją do siebie i pocałował. Poczwała wokół siebie jego ramiona i zakręciło jej się w głowie. Oparła się o niego całym ciałem, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Kiedy w końcu oderwał od niej wargi, długo nie mogła złapać tchu.

- *Ave, Caesar, morituri te salutant*^[9] - szepnęła jej do ucha.

- Nie żartuj w ten sposób - odparła drżącym głosem. - Proszę cię, bądź ostrożny - dodała, kiedy odchodził w mrok.

Wytrzymała dokładnie minutę, odliczając po cichu sekundy, nim uzmysłowiła sobie, że nie zdoła się powstrzymać i pójdzie za nim. Nikt jej wcześniej nie całował. I być może nikt jej już więcej nie pocałuje. Bo jak nie on, to kto? Nie mogła pozwolić, żeby ten szalenciec dał się zabić. Tak, trzeba być szalonym, żeby porwać się na coś takiego.

Upewniwszy się, czy nie zgubiła nożyczek, które przed wyjściem schowała do kieszeni, zaczęła wspinać się z wolna na szczyt wzgórza. Serce biło jej coraz mocniej i coraz głośniej. Coraz wyraźniej słyszała też miarowe nucenie, a raczej monotonną recytację. Dotarła już na tyle blisko głazów, że bez trudu była w stanie wychwycić większość słów.

Cóż za idiotyczne banialuki, pomyślała z niesmakiem. Górnolotne bzdury, powta-

rzane do znudzenia wyłącznie po to, żeby ich autorzy mogli do woli dopieszczać swoje i tak rozbuchane ego. Zdaje się, że członkowie bractwa dowartościowują się w ten sposób, żeby dodać sobie odwagi i uwierzyć w rzekomo nadprzyrodzone piekielne siły, którymi obdarzył ich sam Belzebub. Szkoda tylko, że muszą przy okazji krzywdzić bezbronne kobiety i zwierzęta... Żałośni wyznawcy szatana... Niech ich piekło pochłonie. Gdyby nie wiedziała, jak bardzo są rozpasani i okrutni, pomyślałaby, że ma do czynienia z bandą nierozgarniętych wyrostków, która z nudów zabawia się w coś, czego nie jest w stanie ogarnąć malutkim rozumem.

Żałowała, że ich nie widzi, uznała jednak, że nie powinna podchodzić bliżej.

Nagle nucenie ustało. Przez ponad minutę rozbrzmiewało jej w uszach wyłącznie dudnienie własnego serca.

- Dość tego dobrego! - rozległ się męski głos. - Pocę się jak wieprz. Ściągam tę przekłętą maskę!

- Ani się waż, Post. Znasz zasady.

Jeden z nich to Mailer, pomyślała Daisy. A „Post” to jego tajny pseudonim. Co za nonsens. Panowie ani chybi sądzą, że ów genialny kamuflaż to najlepszy dowód na to, że opanowali sztukę konspiracji do perfekcji.

- To ja jestem tu gospodarzem! - ryknął Charles. - I ja ustalam reguły. To że ten beużyteczny głupiec, Miner, dał się zabić, nie znaczy, że możecie uzurpować sobie schedę po nim! Bodaj spłonął w piekle, stary nudziarz i zdrajca!

Ktoś roześmiał się i rzekł:

- Dobrze, że na wszelki wypadek przypaliliśmy go jeszcze na ziemi, żeby przypadkiem po drodze nie zbłądził. Szkoda tylko jego żonki. Była całkiem niezła. Robiła wszystko, co się jej kazało i to bez słowa sprzeciwu. Rzekłbym, że była więcej niż chętna. W życiu nie spotkałem kobiety, której tak bardzo podobałby się mój...

- Wystarczy tych czcnych przechwałek - przerwano mu bez ceremonii. - Zebraliśmy się, żeby omówić nowe kandydatury, a nie rozwodzić się nad rozmiarami twojej kuśki, którym zresztą daleko do imponujących.

Panna Marchant zacisnęła powieki. Żałowała, że nie może wyłączyć sobie także uszu. Najgorsze było to, że owe słowa wypowiedziano damskim głosem. Choć trudno było w to uwierzyć, ta zgraja plugawców miała w swoich szeregach kobietę!

- Wybacz, wiem, że nie powinienem był o tym wspominać. Mieliśmy milczeć na ten temat. Przepraszam.

Zapadła pełna napięcia cisza.

W końcu odezwał się ponownie Mailer vel Post.

- Mój gość robi się coraz bardziej kapryśny i na okrągło mówi o wyjeździe.

- Też miałbym ochotę wyjechać, gdybym był skazany wyłącznie na twoje towarzystwo - skwitował jakiś mężczyzna.

- Jesteś pewien, że niczego przed tobą nie udaje, Post? - zapytała kobieta. - Nie-wykluczone, że przyjechał tu powęszyć.

Post fuknął poirytowany.

- Skoro od początku miałaś co do niego podejrzenia, to po co kazałaś mi za nim łązić i zabiegać o jego względy?

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Dobrze, już dobrze. Nie wyczuwam u niego fałszu. Ciągłe narzeka na starszego

brata i na to, że to nie jemu przypadł tytuł hrabiego. Powtarza, że jest przecież takim samym Redgrave'em, jak tamten, tyle że miał nieszczęście urodzić się później. Dlaczego niby ma żyć z marnej pensyjki? W imię przestarzałych zasad, z którymi monarchia nie potrafi zerwać? Poza tym co najmniej kilkakrotnie wyrażał na głos swój podziw dla Napoleona i niechęć do Hanowerów. Wspominał nawet, że jest potomkiem Stuartów, o ile to coś warte w dzisiejszych czasach.

Znów odpowiedziała kobieta. Daisy była już pewna, że to właśnie ona sprawuje niepodzielne rządy nad grupą.

- To tylko słowa. Mówić, jak wiadomo, można wszystko. To nic nie kosztuje. Musimy coś na niego mieć. Coś konkretnego.

- Rozmawiałem z właścicielką wytwornego lupanaru, do którego wybraliśmy się we dwóch pewnego wieczoru. Okazało się, że za sprawą Redgrave'a musiała dać wolne trzem najlepszym dziewczętom. Zostawił je w takim stanie, że przez kilka dni nie mogły obsługiwać klientów. Madame przegnała go precz i zabroniła mu wracać, choć zapłacił pięćdziesiąt funtów rekompensaty za, jak się wyraził „szkodę”. No i jest jeszcze sprawa chłopca.

Panna Marchant zasłoniła usta dłonią. Jej oczy były okrągłe jak spodki. Valentine robił te okropne rzeczy? Nie, to nie może być prawda...

- Jakiego chłopca? - dociekał jakiś mężczyzna. - Chcemy wiedzieć więcej.

- Wracaliśmy wieczorem z klubu - ciągnął Mailer. - Przepędziłem jakiegoś obdar-tusa, który żebrał o jałmużnę. Chwilę potem w uliczce nieopodal rozległy się wrzaski. Redgrave natychmiast ruszył w ich stronę, żeby „sprawdzić, co się święci”, Bóg raczy wiedzieć po co.

- Boga nie ma - przerwał mu ktoś z zebranych. - Jest tylko Szatan i to on jest wszechwiedzący.

- Naturalnie, Burn, jest tylko nasz Pan, Szatan - wtrąciła znużonym głosem kobieta. - Jestem pewna, że Post wspomniał o Bogu wyłącznie z przyzwyczajenia. Czy moglibyśmy usłyszeć skróconą wersję tej fascynującej opowieści, Post? - zwróciła się do Charlesa. - Mamy inne kwestie do omówienia.

- Właśnie miałem kończyć. Kiedy nadszedł Redgrave, pan owego małego żebraka okładał go laską. Skończyło się na tym, że Valentine zapłacił mu za chłopca i zabrał go do swojego powozu, który na wszelki wypadek jechał tuż za nami. Sądziłem, że go uratował, i zaczęłam naśmiewać się z jego miękkiego serca. Wtedy uśmiechnął się i powiedział, że jestem w błędzie. Nie chodziło o ratunek. Kupił sobie chłopca, żeby zaspokoić swoje, jak to ujął „nietypowe apetyty”. Tak mu było spieszno do domu, że zostawił mnie na środku ulicy z gębą rozdziawioną ze zdumienia.

- Hm... - mruknęła przywódczyni. - Nie możemy pozwolić, żeby psuł nam zabawę, okaleczając nasze dziewczęta. Zapamiętaj to sobie, Post.

- To się zdarzyło tylko raz i... - bronił się Mailer.

- Wszyscy powinniśmy mieć to na względzie - przerwała mu. - Nasze zasoby nie są nieograniczone. A chłopców wykorzystywaliśmy już wcześniej. Skoro takie są jego gusta, nie powinno być z tym problemów. Tak czy owak, jeśli nikt nie głosuje przeciw, przyjmujemy Redgrave'a. Burn, do jutra masz mi znaleźć jakiegoś chłopca.

- Skąd u diabła... skąd niby mam wytrzasnąć chłopca?

- Nie interesuje mnie to. Czy muszę myśleć za was wszystkich? Sam gustujesz

w wyrostkach, z pewnością wiesz, gdzie i jak szukać. Lepiej powiedz coś o swoim kandydacie. O ile mnie pamięć nie myli, nazywa się Frappton, prawda? Redgrave przyda nam się ze względu na brata i jego rozległe grunty, co może wniesć Frappton?

- Wydaje mi się, że niechcący za bardzo odsłoniłem karty przy okazji ostatniego zaginionego transportu dla wojska. Mam nadzieję, że uda mi się zrzucić winę na Frapptona. Zamierzam nakłonić go, żeby następnym razem sam pokierował dostawą i sfałszował mój podpis w dokumentach. Potem, rzecz jasna, zostanie schwytany, a ja nie będę mógł się nadziwić jego zdradzieckim zapędem. Tym sposobem zostanie oczyszczony z wszelkich zarzutów.

- Sprytnie - pochwaliła kobieta. - Zaproponujesz mu noc rozrywek, do których, jak rozumiem, aż się pali, a nazajutrz zrobisz mu test lojalności. Po wszystkim trzeba będzie się go pozbyć. Nie chcemy, żeby zaczął mówić.

- Myślałem o skoku do Tamizy - odparł radośnie Burn. - Okryty hańbą zdrajca popełni samobójstwo. Nikt nie będzie wątpił, że zdecydował się na tak desperacki krok.

- Zgoda. Możesz przyprowadzić go jutro ze sobą. Wiesz, w czym gustuje? Burn roześmiał się grubiańsko.

- W czym gustuje? Weźmie wszystko. Rękę dam sobie odjąć, że jest prawiczkim. Po tym stwierdzeniu reszta mężczyzn zarechotała razem z nim. Umilkli dopiero, kiedy przywódczyni przywołała ich do porządku.

- Mam wam do przekazania niepomysłne wieści. Jak widzicie, tym razem wielu z nas nie mogło przybyć do Fernwood. Ci, których między nami nie ma, doglądają naszych interesów w stolicy. Potwierdziliśmy informację o tym, że Weaver zawiódł nasze zaufanie. Wie, jaka spotkałaby go za to kara, więc zapadł się pod ziemię. Nie żyje albo się ukrywa, jedno z dwojga.

- A nasze zapasy opium?

- Przepadły razem z nim. Misję odzyskiwania strat powierzyliśmy Hammerowi. Wiemy cokolwiek tylko dzięki jednemu z naszych francuskich łączników. Udało mu się uciec podczas ataku. Odnalazł nas, ale kiedy już powiedział, co miał do powiedzenia, musieliśmy rzecz jasna skrócić jego doczesne męki. Niewykluczone, że był śledzony, a bezpieczeństwo Towarzystwa to kwestia najwyższej wagi.

- Ma się rozumieć - zgodził się ochoczo Mailer. - Zdradził chociaż coś pożytecznego, zanim umarł?

- Twierdził, że statek napadli piraci. Przypuścili atak od strony lądu, a kiedy nasz szkuner próbował uciekać, uderzyli także od morza. On sam salwował się ucieczką. Wyskoczył za burtę i dopłynął do brzegu. Tylko dzięki temu cokolwiek wiemy.

- A co właściwie wiemy?

Przywódczyni przybrała jeszcze ostrzejszy ton.

- Bonaparte przedłużył miesiąc miodowy, ale powinien niebawem wrócić do Paryża. Masséna nadal dowodzi w Portugalii. Wiemy, że jego następny ruch to zakończenie oblężenia i zdobycie Roderigo, a następnie atak na wszystkie twierdze w drodze do Torres-Vedras. Tymczasem wicehrabia Wellington zbiera i przegrupowuje siły angielsko-portugalskie, żeby stawić czoło Massénie. Musimy zatem dalej sabotować jego postępy, przechwytywać zaopatrzenie i tym podobne. Nie możemy

sobie pozwolić na kolejne wpadki i niepowodzenia. W przeciwnym razie nasza wiarogodność w oczach nowego cesarza dozna poważnego uszczerbku.

- Powiedziałaś, że straciliśmy statek - zainteresował się któryś z zebranych. - Czy to znaczy, że wraz z nim zniknęło także całe złoto przeznaczone dla Bonaparte-go?

- Niestety tak. Zostaliśmy rozgromieni i ponieśliśmy niepowetowane straty. Nie mamy wiele czasu na zebranie kolejnych funduszy, zwłaszcza że nie możemy sprzedać opium, na które liczyliśmy. Nie możemy też ostrzec naszych sojuszników z Francji, żeby zawrócili rejs i nie dobijali do brzegu w umówionym miejscu. Tylko Weaver miał z nimi kontakt. Musimy więc jeszcze raz dostać się na tę plażę. Dlatego Redgrave jest dla nas tak ważny. Będzie to możliwe tylko dzięki niemu. Zaszantażujemy go owym chłopcem. Zagrozimy, że zawiśnie za sodomie, zresztą metoda jest nieistotna, liczy się skutek. Tak czy inaczej, zaufaliśmy mu tylko na podstawie twojej oceny, Post. Miej to na uwadze. Nie chciałabym być w twojej skórze, jeśli się okaże, że dałeś się zwieść.

Mailer prychnął z lekceważeniem.

- Zamierzam dożyć setki i odejść z tego świata w ramionach młodej kochanki.

- Ależ z ciebie dureń, Post - odezwał się ktoś, kto dotąd nie zabierał głosu. - Gdy będziesz zgrzybiałym tetrykiem, nie pozostanie ci nic innego, jak zabawiać się z samym sobą.

Boże w niebiosach, pomyślała Daisy. Ci ludzie nie zachowują się nawet jak mężczyźni. Sprawiają wrażenie rozwydrzonych chłopców, a ich główną rozrywką jest udowadnianie sobie nawzajem, kto jest lepszy albo bardziej zwyrodniały. Jediną myślącą osobą w tej żalostnej zgrai jest kobieta. Do tej pory odezwało się pięć osób. Zatem był pośród nich jeszcze ktoś, kto cały czas milczał. Kim był? I dlaczego nic nie mówił? Nie miał nic do powiedzenia? A może mówiła za niego przywódczyni?

Okryte złą sławą kobiety czy najsłynniejsze w dziejach przestępczynie zazwyczaj miały wsparcie w jakimś mężczyźnie. Kimś silniejszym fizycznie, kto mógłby być dla nich wsparciem. Będzie musiała zapytać o to Valentine'a. Zaraz po tym, jak zmyje jej głowę za to, że opuściła kryjówkę, żeby podsłuchiwać członków bractwa.

Oderwała się od swoich myśli, kiedy usłyszała, że zebranie dobiega końca. Sądząc po szuraniu butami i innych dziwnych dźwiękach, Towarzystwo przysunęło się do ołtarza i zaczęło odmawiać bluźnierczą modlitwę. Niedługo potem pochód wyruszył w drogę powrotną.

Daisy przypadła do ziemi, odliczyła do stu, po czym zaczęła powoli wycofywać się ku krzakom, za którymi zostawił ją Val. Miała nadzieję, że uda jej się odnaleźć miejsce, w którym miała na niego czekać.

Naturalnie nie zdążyła. Kiedy dotarła do celu, już tam był.

- Powinienem był przywiązać cię do drzewa - oznajmił zrzędlawie i wziął ją za rękę. - Rozumiem, że wszystko słyszałaś? - zapytał, ciągnąc ją z powrotem w górę zbocza.

Podniosła spódnicę, żeby się o nią nie potknąć, ale nie zaszczyciła go odpowiedzią.

- Nie zaprzeczyłaś, co znaczy, że mam rację.

- Nie chcę tam wracać.

- O nie, panno Marchant, nie wyłga się pani tak łatwo. Skoro powiedziało się A, trzeba powiedzieć i B.

- Szczerze mówiąc, nie mam ochoty cię teraz oglądać.

Zaśmiał się drwiąco.

- Cóż to? Nagle straciłem w twoich oczach? Ty też mi się naraziłaś, więc jesteśmy kwita. Usiądź - dodał, kiedy dotarli do głązów.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Mam usiąść na kamieniu? Mowy nie ma, nie...

- Siadaj, mówię!

Usiadła.

Val zajął miejsce obok niej, ale natychmiast poderwał się na nogi i zaczął masować sobie udo.

- Chryste, kobieto, co ty nosisz w kieszeni?

Zrobiło jej się głupio.

- Nożyczki. Pomyślałam... że mogą... się przydać... na wypadek, gdybym... musiała się bronić... Och, nie patrz tak na mnie. Przecież nic wielkiego się nie stało.

- Nic wielkiego się nie stało?! Skaleczyłem się! Boleśnie! Nigdy nie spotkałem tak irytującej kobiety jak ty. Doprowadzasz mnie do szaleństwa, zdajesz sobie z tego sprawę?

Splotła ręce na kolanach.

- Cóż, chyba tak. Ale wcale nie jestem z tego dumna, jeśli cię to pocieszy. - Odwróciła głowę i spojrzała w kierunku ołtarza. - Znów zamordowali jakieś zwierzę?

Westchnął głośno i podszedłszy bliżej, zaczął grzebać laską w trawie.

- Kure. A nie, przepraszam, to kogut. Obowiązkowa ofiara złożona siłom piekielnym, jak mniemam. Cała ta szopka z czczeniem szatana to tylko mydlenie oczu. Ustępuje im i godzi się na ten teatrzyk tylko po to, żeby robili dokładnie to, co im każe. Przebiegła bestia. Aż trudno uwierzyć, że rządzi nimi kobieta. Gdybym nie zobaczył tego na własne oczy...

- Więc ty też to zauważyłeś - wtrąciła natychmiast Daisy. - Post, to jest lord Mailer, uważa ów ceremoniał za męczący, za to Burnowi, czyli panu Charfieldowi, zabawa bardzo przypadła do gustu. Przypuszczam, że dzięki niej wszyscy czują się ważniejsi. To coś jak okrzyki wojenne przed bitwą.

- Okrzyki wojenne?

- Tak, wznoszone w celu dodania sobie animuszu albo odstraszenia przeciwnika. Czytałam o tym. Wśród rdzennych Amerykanów, Sasów, Mongołów czy wikingów to rzecz powszechna i zupełnie naturalna. Przestań kręcić głową. Przecież sam zapytałeś. Zauważyłam coś jeszcze. Jeden z mężczyzn w ogóle nie zabierał głosu. Jak myślisz, czy to dlatego że jest mniej ważnym członkiem, czy może wręcz przeciwnie? Mnie się wydaje, że ten człowiek to mąż albo kochanek przywódczyni. Nie da się rządzić innymi tylko siłą woli i determinacją. W którymś momencie trzeba pokazać, że ma się nad nimi władzę, a wzbudzić respekt można tylko poprzez demonstrację siły. Wiedzieli to wszyscy wielcy przywódcy.

Valentine potarł dłonią czoło.

- Słodki Jezu, obawiałem się, że zemdlejesz ze strachu, a ty urządzasz mi lekcję historii. - Zawrócił i usiadł obok niej. - Zatem wszystkiego domyśliłaś się sama, nie

muszę ci niczego tłumaczyć.

- Tak, ale dość mam na dzisiaj wrażeń. Powiem tylko, że powinieneś się za siebie wstydić.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Wstydić? Czego? Rany boskie, kobieto - olśniło go nagle. - Przecież nie zrobiłem żadnej z tych okropnych rzeczy, o których mówił Mailer.

- Może i nie. Wystarczy, że je wymyśliłeś. Tylko człowiek z chorym umysłem może wpaść na coś takiego.

- Toteż wcale na to nie wpadłem. Pożyczyłem owe pomysły od innych... chorych umysłów. Jakiś czas temu przechwyciliśmy dzienniki Towarzystwa. Były w nich szczegółowe zapiski „wyczynów” bractwa. Niezbyt przyjemna lektura, delikatnie mówiąc. Ale... powinienem zacząć chyba od samego początku.

- Byłabym zobowiązana. Nie mam ochoty wracać do domu. Nie chcę iść spać, bo jestem pewna, że będą mnie dręczyły koszmary. Chętnie dowiem się, co się kryje za słowem „my”. Wy to znaczy, kto?

Jakiś czas później wiedziała i rozumiała już wszystko, a przynajmniej tak jej się zdawało. Okazało się, że w sprawę zaangażowana jest cała rodzina Redgrave'ów, z babką Beatrice włącznie. Stawka była wysoka. Chodziło o uratowanie reputacji rodziny. Towarzystwo założył bowiem dziadek rodzeństwa. Potem reaktywował je ich ojciec. Teraz z kolei wyciągnął je z lamusa ktoś, kogo tożsamości nie potrafili ustalić.

Małżonka obecnego hrabiego Redgrave'a, Jessica, sama prawie padła ofiarą stowarzyszenia. Gideon dowiedział się o istnieniu Towarzystwa właśnie od Jessiki. Jej ojcem był Turner Collier, pseudonim Miner. Miner, niegdyś najbliższy współpracownik Barry'ego Redgrave'a, pełnił funkcję sekretarza bractwa. To on przechowywał wszystkie dokumenty, w tym przechwycone przez Redgrave'ów dzienniki. Został zamordowany przez swoich, którzy „na wszelki wypadek przypalili go jeszcze na ziemi, żeby przypadkiem nie zbłądził po drodze do piekła”. W rzeczywistości Towarzystwo chciało go na zawsze uciszyć, jako że wiedział stanowczo zbyt wiele. Niestety Collier zdążył przed śmiercią zniszczyć najważniejszy dokument, tak zwaną biblię, w której znajdowały się wszystkie inkryminujące informacje łącznie z nazwiskami i pseudonimami członków bractwa.

Redgrave'owie poczynili znaczne postępy, ale na razie nie byli jeszcze w stanie zniszczyć przestępczej organizacji, która nieustannie pozyskiwała nowych członków, zazwyczaj szantażem.

Collier, jako bliski przyjaciel ojca Redgrave'ów, znał tereny w pobliżu ich posiadłości jak własną kieszeń i swobodnie z owej wiedzy korzystał, rzecz jasna do czasu, aż został uciszony. Miner był w Towarzystwie jeszcze za czasów Barry'ego. Tożsamości nowych członków z wyjątkiem Mailera-Posta, Archiego Urbana-City'ego i Charfielda-Burna pozostawały nieznane. Bractwo skupiało wielu, lecz grupa trzymająca władzę liczyła zaledwie dwunastu, może trzynastu ludzi.

Jako że stowarzyszenie planowało zdradę stanu i przymierze z Bonapartem, premier Perceval zabronił Redgrave'om angażowania się w śledztwo. Ci rzecz jasna nie zamierzali postępować zgodnie z jego życzeniem. Valentine zaplanował rozbicie Towarzystwa od środka. Dlatego chciał dostać się do ich struktur poprzez znajo-

mość z Mailerem. Kiedy po raz pierwszy zobaczył bystrą guwernantkę, która w szpetnej sukni, koku i okropnych okularach wyglądała jak własna babka, wziął ją za szpiega naślanego przez lorda kanclerza.

- Ja szpiegiem? - Daisy wciąż nie mogła się temu nadziwić. - Nie pojmuję, jak mogłeś tak pomyśleć...

- Ćśś... - przerwał jej, przykładając sobie palec do ust. - Jeszcze nie skończyłem. Nie chcesz wiedzieć, co będzie teraz?

- Wiem, co będzie teraz i wcale nie chcę o tym myśleć. Jutro zostaniesz przyjęty do grona jako jeden z członków, a potem będą sprawdzali twoją lojalność. Z kolei biedny pan Frappton, jak przypuszczam, zazna uciech, o jakich mu się dotąd nie śniło, po czym będzie zmuszony zapłacić im za rozrywkę, dopuszczając się fałszerstwa i zdrady. O tym też jakoś nie chce mi się myśleć, zwłaszcza że postanowili go potem zamordować, tak jak zamordowali tego Francuza, który uciekł ze statku. Zdaje się, że gdyby jednak zostawili go przy życiu, wyszliby na tym znacznie lepiej. Bez niego nie mogą się skontaktować z resztą francuskich przyjaciół i muszą się z nimi spotkać na ziemi Redgrave'ów, żeby odebrać kolejny transport. Wtedy ich złapiecie, bo przecież poprzedniego szkunera wcale nie napadli piraci, prawda? Piraci, też mi coś.

- Właśnie! - Uśmiechnął się Val. - Kompletny nonsens, czyż nie?

Rozdziawiła buzię i popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Nie mówisz chyba poważnie?

- Cóż, powiedzmy, że Simon, przyszły mąż mojej siostry, ma rozległe znajomości. Dzięki temu w odpowiednim czasie udało mu się pozyskać pomoc pewnej utalentowanej bandy, która być może działa nie do końca legalnie, ale za to niezwykle skutecznie. Grunt, że można liczyć na ich lojalność. Mam nadzieję, że Simon zna ich obecne miejsce pobytu, bo z pewnością znów nam się przydadzą. A teraz, jeśli nie masz więcej pytań, proponuję, żebyśmy wrócili do łóżek. - Wstał i wyciągnął ku niej rękę.

- Myślisz, że zauważyli naszą nieobecność? - zapytała, ujmując jego dłoń.

Ruszyli pośpiesznie w stronę domu.

- Oby nie. Niewykluczone, że Mailer po powrocie postanowił sprawdzić mnie jeszcze raz. Jeśli Piffkin, nie daj Boże, zasnął i odwrócił się twarzą do drzwi, możemy mieć kłopot. Mogła też zsunąć mu się szlafmyca...

- Kazałeś kamerdynerowi spać w swoim łóżku? Genialne posunięcie. Nigdy bym na to nie wpadła. Zresztą nie musiałam. Do mojej sypialni nikt nie wejdzie.

- Wiem, wiem, zamykasz się na klucz. Poza tym raczej nie znalazłby się śmiełek, który by się na to odważył. Wiedziałem to jeszcze, zanim usiadłem na twoich nożkach.

Popatrzyła przed siebie zmrużonymi oczami, po czym zmieniła temat.

- Jak myślisz, kim jest ich przywódczyni?

- Trudno powiedzieć. Wiadomo jedynie, że nie posługuje się pseudonimem. Wszyscy noszą maski, nie zdziwiłbym się, gdyby ci durnie sami nie orientowali się, komu właściwie biją pokłony i czyich słuchają rozkazów.

- Moim zdaniem ona musi mieć przy sobie, jakiegoś silnego mężczyznę. Kobiętę łatwo unieszkodliwić, jako że jest o wiele słabsza fizycznie. - Wypowiedziawszy te

słowa, wyobraziła sobie nagle Rose i zamaskowanych brutalni, którzy ją poniewiera- ją. Zaczerpnęła głęboko tchu i poczuła, że traci zimną krew. Zachwiała się i potknę- ła o własne nogi.

Valentine natychmiast się odwrócił. Puścił jej rękę i chwycił ją mocno za ramiona.

- Co ci jest? Co się stało? Daisy, wszystko w porządku? Chyba nie skaleczyłaś się tymi przeklętymi nożyczkami?

- Nie. Nic mi nie jest - powiedziała w końcu, ale nie była w stanie na niego spoj- rzeć. Na szczęście było ciemno. Miała nadzieję, że nie widzi jej twarzy ani łez, któ- re nie wiedzieć czemu, spływały jej obficie po policzkach.

- Przecież widzę. Cała drżysz. Zawsze jesteś taka rozsądna i opanowana. Powi- nieniem był przewidzieć, że ta paskudna afera tak na ciebie wpłynie. Może jesteś dzielna i niezależna, ale do tej pory wiodłaś stosunkowo bezpieczne życie. Nie mia- łaś do czynienia z takimi kanaliami. Córka duchownego i banda zwyrodnialców czczących szatana... Czy mogłoby ci się przydarzyć coś gorszego?

Mogłoby, odparła w myślach. O wiele gorsza jest świadomość, że moja siostra pa- dła ich ofiarą. O mój Boże, Rose... Moja kochana Rose... Już nigdy cię nie zobaczę...

Przestała nad sobą panować i kompletnie się załamała. Valentine pociągnął ją na ziemię i posadził sobie na kolanach. Przytuliła się do niego z całych sił i zaszlochała mu w koszulę. Po chwili rozpuścił jej włosy, zaczął głaskać ją po głowie i kołysać w ramionach, jakby była małym dzieckiem.

- Przepraszam... - szepnęła urywanym głosem. - Przepraszam...

Wkrótce wyplakała wszystkie łzy, lecz wcale nie poczuła się lepiej. Miała w duszy pustkę i była wycieńczona, jakby ktoś wydarł jej z płuc całe powietrze.

Milczała, gdy Val wycierał jej twarz chusteczką, a potem kazał jej wydmuchać nos.

- Grzeczna dziewczynka - pochwalił, kiedy zrobiła to, o co poprosił.

Uśmiechnęła się mimo woli. Przemawiał do niej jak do trzylatki.

- Zaczaj z ciebie człowiek - powiedziała, muskając palcami jego policzek. - Dzię- kuję ci. - Przysunęła się i pocałowała go lekko w usta.

Przytrzymał ją za ramiona i podniósł ich oboje na nogi. Dopiero wtedy wziął ją w objęcia i odwzajemnił pocałunek.

Objęła go za szyję i wplatając mu palce we włosy, pomyślała, że czuje się przy nim bezpieczna, jakby znalazła swoje miejsce na ziemi.

- Chodź - odezwał się po jakimś czasie i znów wziął ją za rękę. - Musisz wracać do łóżka, zanim wstanie służba. Już późno, niedługo zaczną krzątać się po domu.

Gdy dotarli na tyły budynku i stanęli przy drzwiach, wyjął z kieszeni okulary i wło- żył je jej na nos.

- Chyba nawet zaczynam je lubić - oznajmił z uśmiechem i pocałował ją na poże- gnanie. - Znajdę cię jutro. Obiecuję.

Przytrzymała go za rękaw.

- Valentine? Kazali sprowadzić dla ciebie chłopca. Nie możesz pozwolić, żeby ja- kiemuś dziecku stała się krzywda.

- Nie martw się. Pojadę za Charfieldem i postaram się, żeby nikogo nie znalazł. Nie pytaj, jak tego dokonam. Nie chcesz wiedzieć.

- Nie obchodzi mnie, co mu zrobisz - szepnęła z przekonaniem. - Ani jemu, ani

pozostałym. – Miała ochotę się do niego przytulić i jeszcze raz go pocałować, ale wiedziała, że jej nie wolno. Ktoś mógł ich w każdej chwili zobaczyć. – Ty też wracasz na górę? – zapytała.

– Tak, chyba tak – odparł. – Albo wrócę na górę, albo wykąpię się w stawie. Muszę tylko sprawdzić, czy woda jest wystarczająco zimna.

Uśmiechnął się szeroko, gdy posłała mu zdezorientowane spojrzenie.

– Nie domyślasz się, o czym mówię, prawda? Jesteś czytana i wiesz o świecie mnóstwo ciekawych rzeczy, ale są sprawy, o których nie masz zielonego pojęcia... To doprawdy urocze. I rozbijające. Dobranoc, moja dzielna Daisy.

– Dobranoc – odrzekła, unosząc dłoń na pożegnanie. Popatrzyła za nim, gdy odchodził w mrok, a potem wślizgnęła się ukradkiem do domu. Po raz pierwszy od bardzo dawna nie wzbraniała się przed wieczorną modlitwą. Nauki ojca znów nabrały dla niej sensu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Pora włożyć odzienie, jaśnie panie.

- Nie teraz, Piffkin. Nie teraz... - Val siedział w fotelu w samym szlafroku. Jego włosy wciąż były mokre po kąpieli. Zatopiony w lekturze pamiętnika panny Marchant ani myślał ruszyć się z miejsca.

- Pragnę zauważyć, że czyta pan wpisy, do których obiecał pan nie zaglądać. Powiem więcej, przysięgał pan na honor, że do nich nie zajrzy, nieprawdaż?

- Ponoć. Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie niczego takiego...

- Zapomniał pan, bo tak panu wygodniej.

- Nie nudź, Piffkin. Lepiej posłuchaj.

Wiem, że Rose jest ode mnie starsza, ale to ja zawsze byłam tą rozsądną i praktyczną siostrą. Tuż przed śmiercią ojciec poprosił mnie, żebym się nią zaopiekowała. Staralam się dotrzymać słowa. Zawsze czułam się za nią odpowiedzialna. Po ślubie przez jakiś czas zajmował się nią mąż. Po jego śmierci Rose ponownie zaczęła szukać wsparcia u mnie. Cieszę się, że znów stałyśmy się sobie bliskie. Wierzę, że moja siostra znajdzie kiedyś nową miłość, zacznie się częściej uśmiechać i będzie bardzo szczęśliwa. Wiele kobiet pewnie zazdrości jej nieziemskiej urody i anielskiego usposobienia, ja nie potrafię niczego jej zazdrościć. Jesteśmy inne, ale mnie to nigdy nie przeszkadzało. Nie można przecież mieć komuś za złe, że urodził się ładny czy brzydki. Od dziecka kochałam Rose ponad życie i nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej. Martwi mnie, że pomimo trudnej sytuacji finansowej postanowiła nadal mieszkać w Londynie. Nie będziemy mogły się często widywać, jako że rezydencja moich chlebodawców, państwa Beckwithów, leży z dala od stolicy. Mam nadzieję, że wkrótce znajdę posadę bliżej miasta, tymczasem mogę jedynie w miarę skromnych możliwości wspomagać Rose drobnymi kwotami, które odkładam z pensji. Postarałam się też o to, by miała współlokatorkę i towarzyszkę, panią Hopkins, która także jest ubogą wdową.

Valentine zamknął dziennik i rzekł:

- Napisała to ponad pół roku temu.

- Biedne dziecko - skwitował w zamyśleniu służący. - Na jej barkach spoczywa ogromne brzemie. Rodzice nie powinni obarczać dzieci ciężarem własnej odpowiedzialności. To niesprawiedliwe, jak na mój gust.

- Racja - zgodził się Redgrave. - Mnie także kazano niegdyś pilnować, żeby Kate nie łąziła po drzewach, pamiętasz? - Łudził się, że żart pomoże mu odpędzić ponury nastrój. Niestety, na próżno. Odkąd dowiedział się, po co Daisy przyjechała do Fernwood, przygnębienie nie pozwalało mu jasno myśleć.

- Owszem, pamiętam - odparł z uśmiechem kamerdyner. - Pamiętam także, że zawiódł panicz na całej linii. Ale do rzeczy, co pan o tym wszystkim sądzi?

- Dobrze wiesz, co o tym sądzę. Panna Marchant jest najbardziej zrównoważoną, trzeźwo myślącą i rezolutną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Zważ, że mówię

to po jej wczorajszym ataku płaczu. Jestem pewien, że nosiła w sobie żal od bardzo dawna. Starła się nie okazywać słabości, ale w końcu nie wytrzymała. To zupełnie naturalne. Tak czy owak, to czego dokonała, to rzecz godna najwyższego podziwu. Zdołała odnaleźć Mailera i jego posiadłość, choć nie wiedziała o nim praktycznie nic.

- W rzeczy samej, niesłychana wręcz determinacja. Zwłaszcza u tak młodej damy. Z drugiej strony, ów upór i zawziętość mogą ją kiedyś doprowadzić do zguby. Zapewne ani razu nie pomyślała o własnym bezpieczeństwie.

- W istocie. Sam nie ująłbym tego lepiej. Przyznasz wszakże, że jej odwaga nie ma sobie równych. W dodatku przez cały ten czas wierzyła, że jej siostra żyje i czeka na ratunek. Cóż, przypuszczam, że wynikało to z jej niewinności i nieznamośności świata. Wyobrażała sobie, że Rose jest utrzymanką Mailera. Za to teraz jest przekonana, że pozostało jej już tylko odnaleźć ciało i wyprawić biedaczce godny pochówek. Przeze mnie, jak sądzę. To ja uświadomiłem jej, do czego są zdolni członkowie bractwa. To przeze mnie śnią jej się po nocach koszmary z siostrą w roli głównej. Domyśla się, w jaki sposób zginęła, i chce ukarać sprawców. Wiesz, co to oznacza, Piffkin?

- Że zapalał pan do niej jeszcze większą sympatią niż przedtem, jak mniemam. Jest pan całkowicie oczarowany. Zgadłem?

- Cóż... nie da się ukryć. Nie sądziłem, że taki z ciebie niepoprawny romantyk, ale... tak, masz słuszość. Zazwyczaj, kiedy kobieta wpadnie mi w oko, nie poprzestaję na pocałunku, ale wczoraj... Wczoraj myślałem tylko o tym, jak ją pocieszyć, jak ulżyć jej w cierpieniu. Jeśli i ty prowadzisz dziennik, przyjacielu, możesz w nim napisać, że twój podopieczny zaczyna dorastać. Niewiarygodne, co?

- Niewiarygodne? Wręcz niesłychane. W dodatku w wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat... Oszalamiające... I rzeczywiście, należałoby to odnotować w annałach.

Valentine posłał służącemu szeroki uśmiech.

- A wracając do sprawy, miałem raczej na myśli to, że ze względu na zaistniałe okoliczności nie mogę nalegać, aby wyjechała. Nawet nie będę próbował. Dobrze wiem, że niczego bym nie wskórał. Pragnie sprawiedliwości, może nawet zemsty, a ja wcale się temu nie dziwię. Na jej miejscu też bym został.

- Nie zapominajmy, że chce pochować siostrę - dodał Piffkin. - Dla większości ludzi to bardzo ważne, by móc odwiedzać zmarłych bliskich. Nie każdy podchodzi do tych kwestii tak jak hrabina wdowa.

W istocie, pomyślał Val. Odkąd pamiętał, babcia Trixie powiadała, że zmarłych należy zostawić w spokoju i pozwolić im na wieczny odpoczynek. W związku z tym Redgrave'owie nigdy nie bywali w rodzinnym mauzoleum, no chyba że akurat trzeba było pochować kolejnego krewnego. Nie nosili nawet kwiatów na groby. Żadnemu z wnucząt nie przyszło jednak do głowy, żeby kwestionować decyzję babki.

- Która to godzina? - zapytał, wróciwszy nagle do rzeczywistości. - Nawet nie jestem ubrany. Co gorsza, nie jadłem śniadania. Czemu jeszcze nie przyniosłeś mi tacy? Długo zamierzałeś mnie tu trzymać? Głodnego i spragnionego? Zagadujesz mnie co najmniej od godziny. To skandal, doprawdy...

- Najmocniej przepraszam, jaśnie panie - odrzekł kamerdyner, rzucając weń ster-tą ubrań.

Piętnaście minut później Redgrave dosiadł konia i spojrzął na zegarek. Miał sporo czasu.

Zdążyć, pomyślał, ściągając wodze.

Nie mylił się. Załatwił to, co miał do załatwienia, i wrócił do Fernwood po upływie niespełna godziny. Teraz opierał się o ścianę stajni w niedbałej pozie zadowolonego z siebie dandysa.

Wkrótce usłyszał kroki i zaczerpnął głęboko tchu.

- Moje uszanowanie, panowie - rzekł ze swadą, uchylając kapelusza. - Frappton, przyjacielu, nie przedstawiś mnie? Widzę, że odjęło ci mowę. Cóż, nic nie szkodzi, sam się przedstawię. Pan Charfield, jak mniemam? Valentine Redgrave, podobnie jak pan, gość lorda Mailera. Rad jestem pana poznać. Pańskiego podwładnego miałem przyjemność spotkać podczas wczorajszej kolacji. Ucieliśmy sobie miłą pogawędkę, prawda, Cecilu? Zmartwiło mnie, kiedy usłyszałem, że niedomaga pan na zdrowiu, ale dziś, dzięki Bogu, jest pan już w pełni sił.

Frappton wpatrywał się w niego z wytrzeszczonymi oczyma i rozdziawionymi ustami. Wyglądał jak wystraszona ryba, którą wyciągnięto z wody.

Więc wczoraj w nocy, kiedy wkradłeś się do mojej sypialni, mówiłeś poważnie? Boże drogi, to nie może być prawda... - Sądząc po wyrazie jego twarzy, mniej więcej takie myśli przebiegały mu teraz przez głowę.

- Miło cię... widzieć, Redgrave, he, he - wydukał z trudem i natychmiast umilkł. Biedaczysko, nie spodziewał się tego, co go czeka...

- Harold Charfield - rzekł jego towarzysz, wyciągając rękę do Valentine'a. - A wczoraj wieczorem wcale nie byłem chory - dodał, mrożąc wzrokiem asystenta. - Oddawałem się... nader przyjemnym rozrywkom, jeśli pojmuje pan, o co mi idzie. Chas nie zaoferował panu tego samego? Marny z niego gospodarz. Nie ma to jak wychędożyć zdrową młódkę, zwłaszcza po kilku godzinach w zamkniętym powozie. Jak u pana z gustami w tym względzie?

Cecil wyraźnie miał ochotę uciec... albo był bliski omdlenia. Jedno z dwojga.

- Och, Charles doskonale się w nich orientuje. Zresztą nie jestem szczególnie wybredny, choć naturalnie nie zniżam się do obcowania z posługaczkami. Ale to kwesta upodobań, a z tymi się nie dyskutuje. - Val zaplanował dla Burna bardzo nieudany dzień. Jeśli początkowo miał z tego powodu jakiekolwiek skrupuły, to właśnie całkowicie się ich wyzbył. - Przyszedł pan obejrzyć konie? Obawiam się, że zaanektowałem już najlepszego dla siebie. Rzecz jasna, tylko na czas pobytu w Fernwood.

Harold poczerwieniał ze złości, lecz szybko się opanował.

- Najlepszego? Miałbym zadowolić się poślednim zwierzem ze stajni Mailera? Co to, to nie. Przywiozłem własnego wierzchowca. Jestem tu tylko po to, żeby pomóc wybrać Frapptonowi. Pan też udaje się na przejażdżkę, Redgrave?

- O nie, ja właśnie wróciłem. Nie chcę was zatrzymywać. Ostatnio odkryłem w pobliżu bardzo ciekawe miejsce. Wygląda, wypisz wymaluj, jak Stonehenge. Jestem pewien, że przypadnie wam do gustu. Tylko uważajcie na zdradziecki klif. Krawędz całkowicie zasłaniają drzewa. Nietrudno o nieszczęśliwy wypadek.

- Tak, tak, byłem tam już przy okazji poprzedniej wizyty - rzekł pospiesznie Charfield. - Miłego dnia, Redgrave. Chodźże już, Frappton. Tylko nie jęcz, że nie przy-

wykłes jeździć konno. Nie chcę słyszeć podobnych nonsensów. Kto to słyszał, żeby dorosły chłop nie potrafił utrzymać się w siodle? Zobaczysz, ani się obejrzysz, a zrobimy z ciebie prawdziwego mężczyznę.

Cecil spojrział błagalnie na Vala, który wzruszył ramionami i mrugnął do niego okiem. Cóż było robić? Mógł jedynie dodać biedakowi otuchy.

Współczuję, pomyślał, spoglądając na chuderlawy zadek urzędnika. Wieczorem będzie zbyt obolały, żeby usiąść. Nawet gdyby miał uczestniczyć w nocnych ekscesach, niewiele miałby z tego przyjemności. Rzecz jasna, wcale go tam nie będzie. Im szybciej wyjedzie, tym lepiej.

Odczekawszy, aż Cecil i Harold znikną za drzwiami stajni, ruszył w przeciwnym kierunku i niebawem dotarł do drzew, pomiędzy którymi zostawił konia. Nie był to bynajmniej jeden z pozał się Boże wierzchowców Charlesa. Podczas pierwszej tego dnia przejażdżki Valentine spotkał się w gospodzie ze swoim sługą Twitchillem. Wydał mu kilka dyspozycji, po czym wrócił do majątku z wypożyczonym wałachem u boku. Następnie zaczął się na Frapptona i Charfielda.

Nie miał pewności, dokąd ci dwaj się udadzą, niemniej zakładał, że raczej nie wybiorą się w daleką drogę. Cecil nie był przecież wytrawnym jeźdźcem. Pojadą zatem najwyżej milę czy dwie od Fernwood, prawdopodobnie do najbliższej wioski położonej na zachód. Nie deliberując dłużej, ruszył w tę samą stronę.

Zmuszenie dzieci do siedzenia w domu okazało się nie lada wyzwaniem. Zwłaszcza w tak piękny i pogodny dzień. Kolejny powód, by nienawidzić Mailera, pomyślała panna Marchant.

Lydia w końcu przestała narzekać i zajęła się podawaniem lalkom herbaty w miniaturowym serwisie, który należał ongiś do jej „prawdziwej mamy”. Za to William przez godzinę stroił fochy, a potem nagle zniknął. Daisy spuściła go z oka dosłownie na sekundę. Jego siostra stłukła akurat jedną z filiżanek i uderzyła w histerię.

Przeszukawszy każdy kąt w pokojach dzieci, guwernantka załamała ręce. Malec najzwyczajniej w świecie uciekł. Mógł być dosłownie wszędzie.

- Widziałaś może panicza Williama? - zapytała, kiedy Agnes wróciła z kuchni z lunchem. - Co też ja plotę? Naturalnie, że nie. Gdybyś go widziała, przyprowadziłabyś go ze sobą. Przypilnujesz Lydii? Muszę znaleźć tego ancymona, zanim coś zbroi.

Wieczne utrapienie z tymi chłopcami, narzekała w duchu. Nawet jak już dorosną, wcale nie stają się lepsi. Valentine Redgrave jest na to żywym dowodem.

Wyszła na korytarz i rozejrzała się na boki. Jeśli zacznie go wołać, narobi hałasu i niepotrzebnie zwróci na siebie uwagę. Mailer nie będzie zadowolony. Pozostawało jej sprawdzić po kolei wszystkie pokoje. Skaranie boskie...

- Wiem! - Olśniło ją nagle. - Pewnie wrócił do szklarni, żeby obejrzeć swoje babki z błota. Ale jak to możliwe, że wymknął się z domu niezauważony? Przy drzwiach stoi co najmniej jeden odźwierny. Wejście dla służby? Też nie. Musiałby przejść przez kuchnię, a tam zawsze jest mnóstwo ludzi. - Zamknęła oczy i zebrała myśli. - Biblioteka. Tak, pozostawała jedynie biblioteka. To bodaj jedyny pokój w tym domu, który zawsze pozostaje pusty.

Wyprostowała ramiona i ruszyła przed siebie. W połowie drogi uzmysłowiła sobie,

że Willie pewnie dotarł już do szklarni, więc nie ma sensu szukać gow domu. Z tą myślą wyszła na zewnątrz przez kuchnię. Naturalnie pogawędziła chwilę z kucharkami. Nie chciała, żeby jej zachowanie rzucało się w oczy.

Dotarwszy do cieplarni, stwierdziła z niejakim zdumieniem, że drzwi są zamknięte na klucz. Co robić? Gdzie szukać? – zastanawiała się gorączkowo. Postanowiła wrócić do budynku i zajrzeć do biblioteki. Jeśli tam nic nie wskóra, przewróci do góry nogami cały dom.

Podenerwowana i rozkojarzona, niemal nie zauważyła, że raptem otworzyły się drzwi prowadzące na taras. Na wszelki wypadek uskoczyła w bok i schowała się za ogromną donicą z krzewami. Trudno było przewidzieć, kogo za moment zobaczy. Mógł to być sam Mailer, a ona nie miała ochoty się przed nim tłumaczyć.

– Świeże powietrze – usłyszała po chwili. – Nareszcie. Jakość twoich cygar pozostawia wiele do życzenia. Jeszcze raz powtarzam, nie pojmuję, jak możesz pozwalać mu szwendać się samopas po okolicy?

– Gruba przesada – rozległ się głos Mailera. – Wcale się nie szwenda. Objechał tylko majątek. Narzekał na nudę, więc sam mu to zaproponowałem. Poza tym jego kandydatura została przegłosowana i zaaprobowana.

– Ona ją zaaprobowwała. Nie my.

– Owszem, ale nie przypominam sobie, żebyś się sprzeciwił. Poza tym to właśnie ona ma decydujące zdanie, czyż nie?

– Nie. To my podejmujemy ostateczne decyzje. Tyle że nie wszyscy muszą o tym wiedzieć. Wścibstwo nie popłaca. Powinieneś to sobie zapamiętać. Nie wytłumaczyłeś się jeszcze z ucieczki z Londynu. Po śmierci City’ego czmychnąłeś, aż się za tobą kurzyło.

– Wyjaśniałem ci już. Sądziłem, że popełniliśmy jakiś błąd. Byłem pewien, że Archie został... wyeliminowany. Wystraszyłem się. Przyjechałem do Fernwood, żeby się zastanowić, co mi wypada czynić. Tak czy owak, zamierzałem prędzej czy później się z tobą skontaktować.

– Mówisz jak tchórz, w dodatku taki, którego gryzie sumienie. Niby z jakiego powodu mielibyśmy pozbyć się ciebie i Archibalda? Zechcesz mi to wyłuszczyć?

– Wszystko przez Simona Ravenbilla, markiza Singleton. Pamiętasz go? Jest bratem Birda. Uparł się, żeby nas ścigać. Uczepił się jak rzep psiego ogona i wszędzie za nami ganiał, zaraza jedna. Miał czelność powiedzieć naszym żonom, że nas śledzi, dasz wiarę? My dwaj nie zrobiliśmy nic złego. Bird sam odebrał sobie życie. Nie przyłożyliśmy do tego ręki, choć oczywiście mogliście nas o to posądzić. I tego właśnie się obawialiśmy. A potem nagle ktoś zamordował Archiego. Mówiłem ci.

– Tak, mówiłeś. Wspominałem już, że Singleton zaręczył się niedawno z Redgrave’ówną?

– O mój Boże! Niemożliwe!

– Znów wzywasz swojego przeklętego Boga? W niczym ci nie pomoże. A co do Singletona, to owszem, niebawem żeni się z panną Redgrave. Co więcej, jest w dobrej komitywie z całą rodziną. W tej chwili nawet u nich mieszka. Był na miejscu, kiedy nasz szkuner przechwycili rzekomi piraci. Teraz rozumiesz, po co kazaliśmy ci sprowadzić Redgrave’a, durny bufonie? I dlaczego ten fircyk tak łatwo dał ci się zwerbować?

- Chcesz powiedzieć, że próbuje nam zaszkodzić? Pozbędziemy się go?

- Nie. W każdym razie jeszcze nie teraz. Najpierw wykorzystamy go do własnych celów. Co najmniej kilka razy, mam nadzieję. Znudziła mi się ta rozmowa. Nie mam ochoty ci się dłużej tłumaczyć. Masz. Wiesz chyba, co z tym zrobić?

Daisy nie widziała, co nieznajomy wręczył Mailerowi. Zresztą nie to było teraz ważne. Nie mogła dać się przyłapać. Jeśli odkryją, że ich podsłuchiwała, nie będzie mogła pomóc Valentine'owi. A przecież musiała go ostrzec.

- Chciałem zrobić babki z piasku, ale nie mogłem znaleźć kamyczków na oczy...

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Odwróciła się na pięcie i spojrzała na Williama, który tkwił tuż za jej plecami. Wyglądał jak siedem nieszczęść. Był ubłocony i mokry od stóp do głów. Uklękła przed nim i chwyciła go za ramiona.

- Gdzieś ty był, urwisie? - zapytała stanowczym szeptem. - Poszedłeś sam do szklarni? Chodź ze mną. W tej chwili.

Malec tupnął nogą, rozchlapując błoto na jej sukienkę.

- Nigdzie nie pójdę! - wrzasnął na całe gardło. - Będę lepił babki!

- Ktoś tam jest? - odezwał się głos z tarasu. - Kto to?

- Pojęcia nie mam - odparł Mailer.

Usłyszawszy jego kroki, panna Marchant wpadła w popłoch, lecz tylko na chwilę. Nie mogła się schować ani uciec. Wyprostowała więc plecy, wzięła chłopca za rączkę i poprawiła na nosie okulary.

- Milordzie, mam z panem do pomówienia - rzekła, wychodząc zza donicy. - Pański syn jest niezdolny! Zachowuje się wprost skandalicznie! Nie przywykłam do takiego nieposłuszeństwa. Dlatego też jestem zmuszona wymówić posadę. Odejdę z końcem miesiąca. Życzę powodzenia w poszukiwaniach kolejnej guwernantki. Wątpię, czy znajdzie pan kogoś, kto będzie w stanie znosić jego szatańskie wybryki. Zrzeknę się nawet ostatniej pensji, ale w zamian żądam pochlebnego listu polecającego. Najlepiej, żeby wychwalał mnie pan pod niebiosa. Należy mi się po wszystkim, co wycierpiałam od tego antychrysta. Diabelskie nasienie...

W bibliotece rozległ się gromki śmiech.

- Antychryst? Diabelskie nasienie? No, no... Moje gratulacje, Mailer. Przynajmniej syn ci się udał. No, chyba że żoneczka przyprawiła ci rogi i chłopak wcale nie jest twój.

Charles spojrział na Williama, uśmiechnął się półgębkiem i pogłaskał go niezgrabnie po głowie. Potem wlepił wzrok w guwernantkę, która nie pozostała mu dłużna. Nie ustąpiła ani na jotę. Celowo wspomniała o szatanie, wiedziała, że chłopiec jej nie zrozumie. Zrobiła to oczywiście na użytek jego ojca i towarzyszącego mu nieznajomego.

- Załatwione - oznajmił w końcu Mailer. - Nie jest mi pani do niczego potrzebna. I nigdy nie była. Może pani odejść. Proszę doprowadzić małego do porządku i dać mu w nagrodę łakoci.

Nie odpowiedziała. Obawiała się, że jeśli się odezwie, głos uwięźnie jej w gardle. Dygnęła i wyprowadziła Williama na zewnątrz.

- Papa pogłaskał mnie po głowie - pochwalił się z dumą malec.

- Tak, zdobył się wreszcie na jakiś gest sympatii - mruknęła pod nosem. - Zapewne pierwszy raz w życiu... - Uśmiechnęła się i ścisnęła go mocniej za rączkę. - Je-

steś bardzo grzecznym chłopcem, Willy. A kiedyś wyrośniesz na zanego mężczyzną. Pamiętaj o tym.

- Dobrze, psze pani. Pójdziemy lepić babki?
- Co tylko zechcesz, Willy. A może zabierzemy ze sobą Lydię?
- Tak! Zabierzemy Lydię!

Valentine czekał w umówionym miejscu - w zagajniku tuż przy trakcie wiodącym do wsi - i zaczynał się niecierpliwić. Czyżby Twitchill zabłądził?

- Jaśnie panie? - usłyszał raptem za plecami i niemal wyskoczył ze skóry. Zajęty spoglądaniem przed siebie, nawet nie pomyślał o tym, że wypadałoby obserwować tyły. Zgroza, pomyślał. Odrobina nieuwagi i człowiek może skończyć na tamtym świecie...

Kiedy się odwrócił, ujrzał przed sobą młodą kobietę i towarzyszącego jej około dziesięcioletniego chłopca. Dziewczyna była mniej więcej w wieku Vala, ale trudne przejścia i życie w niedostatku sprawiały, że wyglądała na znacznie starszą.

- Moje uszanowanie - przywitał się uprzejmie, uchylając kapelusza. - Jest pani przyjaciółką Twitchilla?

Potrząsnęła głową i wyciągnęła dłoń, na której leżała złota moneta.

- Nic mi po przyjaciółach, ale nie pogardzę kolejnym pieniążkiem, jeśli łaska.
- Dostanie pani. Wszystko w swoim czasie. Najpierw zadanie, które powierzył pani mój sługa. Chętnie usłyszę, co kazał pani zrobić.

Westchnęła zniecierpliwiona.

- Przyjść z bratem tutaj, do zagajnika, przywitać się grzecznie z jaśnie panem, co będzie czekał, potem stanąć pośrodku drogi, na samiuśkim widoku, aż pokażą gęby ten duży, co dał mi monetę, i jego kamraci. Później poczekać, aż jaśnie pan da drugą monetę, wziąć Georgiego i w nogi, do samiuśkiego domu. Kazał mi powtórzyć z dziesięć razy, więc wszystko pamiętam jak zdrowaśkę. Tera jaśnie pan pokaże pieniążek.

- Naturalnie. - Redgrave zaświecił jej przed oczami monetą. - Może zechce pani ugryźć i sprawdzić, czy aby prawdziwa? - zażartował.

Przez moment wydawało mu się, że skorzysta z jego rady, ale najwyraźniej się rozmyśliła.

- Widzi mi się, że to jakiś szemrany interes.
- Poniekąd, więc jeśli jeszcze raz przyjdzie pani do głowy, żeby narażać w ten sposób małego Georgiego, osobiście porachuję pani kości.
- Spokojna głowa, jaśnie panie. Nic mu nie będzie. Taka głupia to ja nie jestem. Hej tam, Hiram! A pokaż no się!

Za plecami Vala zaszeleściły gałęzie i ani się obejrzał, a stanęło przed nim trzech drabów, z ramionami jak pieńki i pięściami niczym kawał golonki. Nie sprawiali wrażenia szczególnie rozgarniętych, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Tacy jak oni straszili ludzi samą posturą.

- Witajcie, Hiramie i... spółko - odezwał się Valentine. - Wyszliście sobie na przechadzkę?

- Ten duży mówił, że mogę przyprowadzić wszystkich braci, to i przyprowadziłam. - Dziewczyna uśmiechnęła się, ukazując szparę między zębami. - W kupie róż-

niej, dobrze mówię, braciszku?

- A jak! - zawtórowali chórem, szczerząc zęby. Mieli dokładnie takie same szpary jak siostra.

- Wracajcie za drzewa, a chyżo!

Redgrave uchylił przed nimi kapelusza i zaczekał, aż znikną.

- Ruszamy na nasze pozycje - odezwał się, spoglądając na zegarek. - Proszę pamiętać, kiedy rzucę pani monetę, biegniecie do domu, ile sił w nogach. Pani i wszyscy bracia. Rozumiemy się?

- Niech pan sobie nie myśli, że nie wiemy, o co idzie, jaśnie panie - rzekła, zatrzymawszy się pośrodku traktu. - Bertie, najmłodszy chłopak młynarza, wrócił któregoś dnia do domu sponiewierany, darł się wniebogłosy i miał pełną kieszeń pieniędzy. Nie wiadomo, co mu się przydarzyło, ale na pewno nic dobrego.

- Obiecuję, że po dzisiejszym dniu nikomu więcej włos z głowy nie spadnie. A teraz cicho sza. - Val przyłożył palec do ust i schował się z powrotem między drzewa.

Po upływie długich pięciu minut na drodze pojawili się wreszcie trzej jeźdźcy z Twitchillem na czele.

- Nie rozumiem, czemu musieliśmy przyjechać aż tutaj! - zrzędził Charfield. - Naprawdę nie mogliśmy dobić targu we wsi? To jakieś kompletne odludzie! Cały surdut mam w ostach! Odejmę ci za to z zapłaty. O, jest chłopiec. I to nie sam. Dorzuciłeś dziewczynę jako bonus? Hm... co powiesz, Frappton? Troszkę ją umyjemy i będzie niczego sobie... W sam raz dla ciebie.

- Słucham? - Nawet z tak daleka widać było, że urzędnik cały trzęsie się z nerwów. Biedaczysko, pomyślał Redgrave. - Doprawdy nie mam pojęcia...

- Oczywiście, że nie masz pojęcia, boś jeszcze nigdy nie spróbował. Ale spróbujesz, spokojna głowa... To ile chcesz za tę parkę, zacny człowieku?

- Dwadzieścia funtów i paczkę tytoniu - oznajmił Twitchill. - To i tak mało.

- Mało? Czyś ty się z głupim na rozumy pozamieniał, przyjacielu? Dwadzieścia funtów, dobre sobie! Toż to fortuna. - Harold zsiadł z konia i otrzepał ubranie. - Nie będę kupował kota w worku, zwłaszcza za takie pieniądze. Muszę przyjrzeć im się z bliska. Dokonać osobistej... inspekcji, że tak powiem...

- Teraz! - wrzasnęła Valentine, wychodząc z zagajnika.

W tej samej chwili w powietrze poszybowała złota moneta.

Dziewczyna chwyciła ją w locie i ścisnąwszy brata za rękę, rzuciła się do ucieczki. Pędzili, jakby goniło ich stado wygłodniałych wilków.

Tymczasem Twitchill zeskoczył z siodła i wycelował w Charfielda pistolet.

- Znow się spotykamy, Haroldzie - odezwał się Val. - Wiesz, co się zaraz wydarzy, czy mam ci wszystko tłumaczyć jak dziecku? A może wystarczy, że powiem: „zabawa skończona”, Burn?

- Co do ciężkiego diabła...? Odłóż tę broń, szumowino! Redgrave? Ty tutaj? - Charfield sam nie wiedział, na którego z nich ma patrzeć. - Nie celuj we mnie! Do ciebie mówię, durniu! To wy się znacie?

Valentine westchnął i spojrział na niego z politowaniem.

- To chyba oczywiste. Cecilu, bracie, pozieleniałeś na twarzy. Nic ci nie jest?

- Tak, to znaczy nie... O mój Boże...

Twitchill unieszkodliwił Harolda, uderzając go w głowę ręką pistoletu.

- Zrobiłeś to, o co prosiłem wczorajszego wieczoru? - Redgrave ominął leżącego Burna i podszedł do Frapptona.

- Kiedy przyszedł pan do mojego pokoju? Tak, spakowałem się i ukryłem bagaż w szafie. Ale nie mogę jechać do Londynu konno. Nie dam rady. Błagam, sir, tylko niech mi pan nie każe siedzieć dłużej w siodle.

- Fakt, nie da rady, sir - wtrącił Twitchill. - Żaden z niego jeździec. Tyłek podskakuje mu, jakby miał w nim zamontowaną sprężynę, a na każdym wertepie woła: „au, au, au”! Żal patrzeć. Odstawię go lepiej do wioski i wyekspediuję dylizanssem. Walizkę już zabrałem. Jest w naszym powozie.

Redgrave na próżno próbował powstrzymać uśmiech.

- Co ty na to, Cecilu? Odpowiada ci?

- Tak, sir. Ale... co będzie z... nim?

Charfield zaczynał powoli odzyskiwać przytomność. Złapał się za głowę, jęknął, po czym spróbował usiąść. Stangret Valentine'a udaremnił jego wysiłki, przyciskając go butem do ziemi.

- Jak już mówiłem, twój pryncypał postanowił przedłużyć swój pobyt na wsi, ciebie zaś zamierza odesłać do stolicy. W każdym razie tej wersji będziesz się trzymał, gdyby ktoś się dopytywał. Zresztą przypuszczam, że nie chcesz wiedzieć więcej. Harold, każ Cecilowi jechać do Londynu. Obawiam się, że biedak nie umie kłamać.

- Ani myślę! - warknął Charfield. - Prędzej mnie piekło pochłonie! Frappton! Natychmiast wezwij pomoc! No dalej, pacanie, czego stoisz jak słup soli? - Znów usiłował się podnieść, ale Twitchill, a raczej jego but, pozostał czujny.

Val cmoknął z niezadowoleniem.

- Ojoj, nie to miałaś powiedzieć. Twitchill, przyjacielu, czyn honoru. Zdaje się, że nasz znajomy potrzebuje większej zachęty.

Służący ochoczo zabrał się do roboty.

- Aaaaa! - wrzasnął Harold, z trudem łapiąc powietrze. - Frappton, ty... beużyteczna... ciemnoto, wracaj... do Londynu.

- Tak jest, Burn! Znakomicie - pochwalił Redgrave. - Widzisz? Jak chcesz, to potrafisz, chociaż mogłeś sobie darować ten epitet na końcu.

- Możesz z czystym sumieniem ruszać w drogę, Cecilu. Chyba że nadal masz wątpliwości... Albo wciąż mi nie wierzysz?

Frappton potrząsnął głową i popatrzył z obrzydzeniem na zwierzchnika.

- Zamierzałeś uczynić ze mnie zdrajcę, a potem zamordować. A to co chciałeś zrobić temu chłopcu... to... to obrzydliwe i haniebne. Wszystko, co powiedział mi o tobie pan Redgrave, to szczerą prawdą. Mam nadzieję, że skończysz na stryczku. Świat bez ciebie będzie o wiele lepszy i piękniejszy... ty... nikczemna imitacja człowieka!

- Brawo, Cecilu! *Bravissimo!* - Klasnął w ręce Valentine. - Wygarnąłeś mu. I nawet przy tym nie zachichotałeś. Oficjalnie stałeś się dojrzałym mężczyzną.

- Dziękuję, sir - odparł z dumą Frappton, prostując się w siodle. - Stałem się mężczyzną, coś podobnego, he, he... Yyy... ojej, znowu...

- Nie martw się, mój drogi. Wystarczy trochę poćwiczyć. Praktyka czyni mistrza. Twitchill, zechcesz podać mi sznur?

Gdy stangret rzucił mu worek, w którym znajdowały się dwa zwoje mocnego

sznurka oraz inne „niezbędne utensylia”, Val związał Charfieldowi stopy i nadgarstki.

Tymczasem służący pomógł Cecilowi przesiąść się na konia Harolda.

- Bardzo zgrabnie, sir - pochwalił idealne węzły pana. - Nie minie godzina, jak będę z powrotem. Zabiorę tego tu delikwenta do powozu i dostarczę osobiście tam, gdzie pan sobie życzył.

- Z pozdrowieniami ode mnie i zawieszka na szyi. Aha, i wcale nie musisz się spieszyć. Nigdzie się nie wybieramy. Prawda, Haroldzie? Zrób sobie postój na posiłek, zjedz jakieś porządne pieczone, napij się dobrego wina...

- Wedle życzenia, jasnie panie.

Twitchill i Frappton zabrali ze sobą konia, którego Redgrave pożyczył we wsi, i wyjechali na drogę.

Odprawiając ich wzrokiem, Valentine doszedł do wniosku, że w życiu liczą się nade wszystko drobne przyjemności.

- Nareszcie sami - rzekł z uśmiechem, odwróciwszy się do Charfielda. - Czy to nie wspaniale?

- Nie możesz tego zrobić! Odkryją, że zniknąłem. Niech cię diabli, Redgrave, rozwiąż mnie i pytaj. Powiem ci wszystko, co tylko chcesz wiedzieć!

- Mam cię rozwiązać? Tylko po to, żebyś wyciągnął z buta nóż i wbił go sobie w serce? Nie sądzę.

Burn pocił się jak mops.

- Miałbym odebrać sobie życie? Niby dlaczego?

Val wzruszył ramionami, po czym dokładnie go obszukał.

- Nie wiem, ty mi powiedz. Może dlatego że skoro i tak zawiśniesz, wolałbyś odejść z tego świata na własnych warunkach? Twój kolega Weaver, czy jak wolisz Webber, zrobił dokładnie to samo. Wyrwał pistolet jednemu z tych, którzy go pojмали, i odstrzelił sobie głowę.

- O Chryste...

- Chryste? A nie Belzebubie, Władco Much, czy jak go tam nazywacie? Jeszcze wczoraj byłeś zagorzałym wyznawcą Szatana.

- To banialuki. Zwykła przykrywka. Dobrze o tym wiesz! Domyślam się, na czym ci zależy. Potrzebna ci wiedza, informacje, a ja mogę ci je dać. Pod warunkiem że puścisz mnie wolno.

- Nie proponujesz mi pieniędzy? Niezmierzonego bogactwa? Wyuzdanych rozkoszy w ramionach dwunastu chętnych dziewczyc? Honorowego miejsca przy stole Bonapartego, kiedy już wjedzie triumfalnie do Anglii? Doprawdy, rozczarowujesz mnie. A miałem tak wielkie aspiracje!

- Chcesz pieniędzy? Znakomicie, dostaniesz pieniądze!

- Nie, dziękuję. Obejdzie się bez nich. A jeśli ci to umknęło, pragnę zauważyć, że sam doskonale radzę sobie ze zdobywaniem informacji. Ale próbuj dalej. Kto wie, może trafisz w sedno.

Charfield był zdrajcą, ale nie bezrozumnym.

- A więc jesteś idealistą. Jednym z gorliwych obrońców sprawiedliwości, których nie sposób przekupić. Czynisz swoją, jak ci się zdaje, powinność wobec króla i ojczyzny. A to znaczy, że mnie nie zabijesz. Jestem ci potrzebny żywy.

Redgrave sięgnął do torby, wyjął z niej pistolet, po czym spokojnie wymierzył go prosto w serce swojego więźnia.

- Na twoje nieszczęście mylisz się, Burn. Nie robię tego dla kraju, lecz dla rodziny. Tylko i wyłącznie. Widzisz, tak się składa, że nadepnałeś na odcisk niewłaściwym ludziom. Nie trzeba było harcować na naszych ziemiach. W drugiej, jakże istotnej dla ciebie kwestii, także nie masz racji. Nie jesteś mi do niczego potrzebny. Mam przecież Posta. A ty mi tylko zawadzasz.

- Ale... twój człowiek... mówił, że ma mnie dokądś zabrać.

- Twitchill? Owszem, sęk w tym, że zrobił to wyłącznie na użytek Cecila. Sam wiesz, że to młodzian o wielce delikatnej konstrukcji. Nie chcieliśmy, aby doznał szoku. Jeśli o mnie idzie, chciałbym jak najprędzej uwolnić od ciebie świat. Widzisz tę studnię? Jest doszczętnie wyschnięta. Miną długie miesiące, zanim ktoś natknie się na twoje kości. Pierwsze dobierze się do ciebie robactwo. Na nic lepszego nie zasługujesz.

Charfield wlepił wzrok w pistolet i... zmoczył spodnie.

- Ale... ja nie chcę umierać!

- Ba! Nikt nie chce. - Val wiedział, że ma go na widelcu. - Powiedzmy, że powściągnę emocje i postąpię, jak nakazuje rozsądek. Zdradź mi wszystko, co wiesz, zanim podniosą alarm w związku z naszym zniknięciem, a być może okażę wspaniałomyślność i oddam cię w ręce Percevala w nienaruszonym stanie, choć w ufajdanych portkach. Prawdopodobnie skazą cię na śmierć, ale bądź optymistą. Kto wie, może pozwolą ci dożyć dni w lochach Tower, jeśli wyśpiewasz wszystko jak na spowiedzi.

Pół godziny później Charfield skończył śpiewać i z zakneblowanymi ustami i czarnym workiem na głowie oczekiwał na przybycie Twitchilla. Valentine zaś galopował w kierunku Fernwood na koniu Frapptona.

Biedny Harold. Wierzył, że zostanie odwieziony do Londynu i stanie przed obliczem sprawiedliwości. Łudził się, że premier zechce się z nim układać i ocali mu skórę. Nie miał pojęcia, że u celu podróży ujrzy niezbyt przyjazne oblicze Simona Ravenbilla, markiza Singleton.

Durny, łatwowierny Burn. Pionek w cudzej grze... Z pewnością na coś się jeszcze przyda.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po dwóch godzinach lepienia babek panna Marchant i jej uszczęśliwieni podopieczni wrócili do domu.

Zostawiwszy dzieci pod opieką piastunki, guwernantka wymknęła się na korytarz i ruszyła wprost do skrzydła dla gości. Na szczęście była to mało uczęszczana część domu. Bez trudu domyśliła się, w którym pokoju rezyduje Valentine.

- Pan Piffkin? - odezwała się, gdy lokaj otworzył drzwi.

- Panna Marchant, jak sądzę? - odparł, po czym wciągnął ją bezceremonialnie do środka. - Miałem rację, dziewczucha jest uparta jak koza... - wymamrotał do samego siebie. - Z całym szacunkiem, co pani tutaj robi, do pioruna? - dodał na głos.

Daisy rozmasowała ramię, które jeszcze przed chwilą ścisnął, i oznajmiła ze stoickim spokojem:

- Valentine opowiedział mi o panu to i owo. Jest pan dla niego kimś więcej niż służącym. Polega na panu, jak polega się na przyjacielu i opiekunie. Zdaje się, że bardziej niż kiedykolwiek będzie potrzebował jednego i drugiego. Chcę mu przekazać ważne wieści. Wolno spytać, gdzie jest?

Kamerdyner wpatrywał się w nią w milczeniu przez dobrą minutę.

- Zrównoważona - orzekł na koniec - nieegzaltowana, bystra, praktyczna i bezpośrednia. Toleruje jego wady i wie, jak trzymać go w ryzach. Nie nazwałbym jej klasyczną piękną, ale ma przyjemną buzię i inteligentne oczy. Każdy mężczyzna chciałby się zestarzeć przy kimś takim jak ona. Tak, zdecydowanie tak. Nie sądziłem, że powiem to tak szybko, ale jest pani wprost idealna. W sam raz dla niego. Hm... A co się tyczy pani pytania, chętnie na nie odpowiem. Otóż panicz Valentine wyjechał z posiadłości jakieś dwie godziny temu. Jak się pani zapewne domyśla, mocno rozrabia. Ach, i po co się zaraz tak krzywić? Zapewniam, że harce i psoty to jego specjalność. Ma w tym kierunku szczególne uzdolnienia. Proszę się nie obawiać, niebawem wróci. Cały i zdrowy.

Daisy zaniemówiła, lecz nie na długo.

- Bardzo... interesująca przemowa, panie Piffkin. Ale mamy znacznie ważniejsze sprawy na głowie. Jest coś, o czym żaden z was nie wie. Wydali wyrok na Valentine'a. Podśledziłam rozmowę Mailera z jakimś nieznajomym. Nie mam pojęcia, kto to był, ale z pewnością ktoś ważny. Dał coś Mailerowi, a potem zastanawiali się na głos, w jaki sposób pozbyć się Vala. Okropność. Trzeba go jak najprędzej ostrzec. Potem musimy niezwłocznie opuścić ten dom. Wszyscy troje. Zabierzemy też lady Caroline i dzieci. Nie zostawię ich na pastwę losu, zdanych na łaskę i niełaskę ojca zwyrodnialca. Nigdy bym sobie tego nie darowała.

Tym razem to Piffkin zapomniał języka w gębie.

Pogłaskał się po łysinie i rzekł po namyśle:

- Niedobrze... Wiedziałem, że poszło zbyt gładko. Do czarta, a wyglądało na to, że wszystko układa się po naszej myśli... To zawsze zły omen. Mailer ślepo mu wierzył, ale zdaje się, że ktoś przejrzał nasze prawdziwe zamiary... Nie zdążyłem wykonać nawet połowy swego zadania... - Spojrzał z powagą na Daisy. - Jest pani ab-

solutnie pewna, że zamierzają go... zgładzić?

- Słyszałam to na własne uszy, więc raczej nie ma mowy o pomyłce. Rozmowa miała miejsce ponad dwie godziny temu. Szkoda czasu na czężą gadaninę. Podślu-
chiwałam ich z podwórza przez otwarte okno na taras. Był ze mną Willy, który nie-
stety zaczął marudzić. Krótko mówiąc, ci dwaj odkryli moją obecność. Wymyśliłam
coś naprędce, ale nie jestem pewna, czy uwierzyli w moje tłumaczenia. Jakie Valen-
tine zostawił panu instrukcje? Może będę mogła w czymś pomóc?

Piffkin zabrał się do pakowania walizek. Jednocześnie zaczął jej opowiadać
o ostatnich wydarzeniach i planach Redgrave'a.

Rozpoczął od tego, że zarówno Frappton, jak i jego pryncypał zostali wyekspe-
dowani z Fernwood. Co prawda w zupełnie różnych kierunkach, ale o tym wiedzieli
tylko wtajemniczeni.

Ponadto, nie dalej jak dziesięć minut temu, kamerdyner Charfielda odczytał pilną
wiadomość z rozkazami od chlebobdawcy. Miał udać się bezzwłocznie do Londynu
z całym jego bagażem.

- Jak to? - zapytała zdezorientowana. - Czy Towarzystwu nie wyda się dziwne, że
Burn wyjechał bez służącego?

- Oficjalna wersja głosi, że Burn, Frappton i panicz Val zostali zatrzymani podczas
przejażdżki przez wysłannika samego premiera, który to wysłannik aresztował
Frapptona, jako podejrzanego, zaś jego pryncypałowi nakazał natychmiastowy po-
wrót do stolicy w celu złożenia wyjaśnień. Odkryto rzekomo jakieś nieprawidłowo-
ści w pracy ich biura, fałszowanie dokumentów i tym podobne. Pan Redgrave miał
wrócić do Fernwood i zaalarmować gospodarza tudzież kamerdynera Charfielda.

Panna Marchant odetchnęła z ulgą. Plan Valentine'a zadziałał. Charfield jako bez-
cenny świadek i źródło informacji trafi zapewne do Redgrave Manor, a jego pod-
władny wróci bezpiecznie do domu.

- Chytrze - pochwaliła na głos. - Mailer i reszta wpadną w popłoch. Pomyślą, że
dla ratowania własnej skóry Burn gotów jest zapomnieć o lojalności. Widzę wszak-
że pewien drobny problem. Valentine jeszcze nie wrócił, a kamerdyner Charfielda
zdążył się spakować.

- Błahostka. W całym zamieszaniu, jakie tu rychło powstanie, nikt nie będzie wy-
pytywał o szczegóły. A nawet gdyby, pan Redgrave jest znakomitym łgarzem. Poza
tym jestem pewien, że jest już na dole i właśnie przekazuje gospodarzowi złe nowi-
ny. Pozwoli pani, że się oddalę. Zamierzam pomóc służącemu naszego więźnia przy
wynoszeniu rzeczy. Jeśli zdamy się na leniwych lokajów Mailera, nie wyekspeduje-
my go z Fernwood do świtu. Radziłbym poczekać na panicza Valentine'a. Rad bę-
dzie panią widzieć.

- Chce pan nosić jego bagaże? - zdziwiła się. - Po co? Ach, wiem! Nie powinien
zauważyć, że nie ma wśród nich walizki Frapptona...

- To też. Przede wszystkim jednak idzie o to, żebyśmy niepostrzeżenie przywłasz-
czył sobie jedną z walizek Charfielda.

Zastanowiła się chwilę i rzekła:

- Tę, w której trzyma maskę i resztę... kostiumu? Czyżby miały posłużyć jako do-
wody w procesie?

- Wątpię, czy dojdzie do procesu. Poddani jego królewskiej mości nie byliby za-

chwyceni, gdyby dowiedzieli się o istnieniu Towarzystwa. Kto wie, może nawet wybuchłaby panika? Tego rodzaju drażliwe kwestie rozwiązuje się z zachowaniem najwyższej dyskrecji. Przypuszczam, że klub miłośników Szatana zwyczajnie przestanie istnieć, a jego członkowie, zamiast stanąć przed obliczem sprawiedliwości, zapadną się pod ziemię i wszelki ślad po nich zaginie.

Daisy opadła ciężko na najbliższe krzesło.

- Chce pan przez to powiedzieć, że Charfield... nie żyje? Zdaje się, że powinnam była zapytać o to na samym wstępie.

Piffkin zatrzymał się z ręką na klamce.

- Ależ skąd. Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Burn zostanie przymusowym gościem Redgrave Manor. - Z tymi słowami kamerdyner uklonił się i wyszedł.

Panna Marchant tymczasem zaczęła snuć w myślach własne plany. Postanowiła spakować swój mizerny dobytek i po zmroku wyrzucić torbę przez okno. Potem postara się o rozmowę z lady Caroline i spróbuje przekonać ją do wyjazdu. Z dziećmi i z Agnes, naturalnie. Oby tylko udało jej się jakoś pozbyć wszędobylskiej Davinii i jej świdrujących ślepiów.

Oczywiście lady Caro nie mogła zabrać ze sobą bagażu. Byłoby to nazbyt ryzykowne. Na pewno miała dość pieniędzy, żeby potem kupić potrzebne rzeczy. Wszystko pójdzie jak z płatka, przekonywała samą siebie. Lord Mailer nie interesował się dziećmi. Bardzo rzadko bywał w ich pokojach. Jego małżonka zaś była niedysponowana, a zatem jej nieobecność na kolacji nie powinna wzbudzić żadnych podejrzeń.

Po chwili rozmyślań doszła do wniosku, że nie wypada jej siedzieć beczynn timer. Podeszła do szafy i otworzyła ją, żeby spakować resztę rzeczy Vala.

- Daisy? - usłyszała nagle za plecami.

Sterta wyprasowanych, śnieżnobiałych fularów wypadła jej z ręki i wylądowała na podłodze.

- Valentine! - Niewiele myśląc, odwróciła się na pięcie i przemierzywszy pokój, rzuciła mu się na szyję. Ona, zrównoważona i opanowana córka pastora, która nigdy nie ulega emocjom.

- Coś takiego... - mruknął, obejmując ją ramionami. - Ciesz się, mimo że, jak sądzę, za chwilę mnie udusisz...

Odsunęła się, ale tylko odrobinę.

- Och, zamknij się wreszcie, Valentine - powiedziała, próbując powstrzymać łzy.

- Zamknij się? Dalibóg, panno Marchant! Cóż to za maniery? Nie wolałabyś „zamknij się i pocałuj mnie wreszcie”?

Jego uśmiech był jak promyk słońca w ponury dzień. Rozwiane włosy opadały mu na czoło, a w złotobrazowych oczach błyszczały psotne ogniki. Pomyślała, że jest najprzystojniejszym mężczyzną na ziemi. Był zwyczajnie piękny.

I wciąż się do niej uśmiechał. Wciąż trzymał ją w objęciach i ani chybi zamierzał pocałować. A przecież nie była nikim wyjątkowym. Nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby jej ładną. W niczym nie przypominała swojej urodziwej siostry. Jej szczupła sylwetka nie mogła zachwycić mężczyzny ponętnymi kształtami, nie miała dużego biustu ani krągłych bioder. Ani żadnych widoków na przyszłość. Miała za to

cięty język i nosiła starą, wysłużoną sukienkę przypominającą worek.

A mimo to Valentine się do niej uśmiechał. I spoglądał na nią niemal czule, jakby cieszył się jej widokiem. A teraz pochylił głowę i musnął wargami jej usta. Przytknęła powieki, a on znów się uśmiechnął. I znów zaczął ją całować. Odnalazłszy spinki, rozpuścił jej włosy i wplótł w nie palce. Daisy przysunęła się bliżej i także dotknęła jego włosów.

- Wystarczy tych swawoli, paniczu Valentine! Panna Marchant przyszła tu po coś zupełnie innego. Nie zapominajmy też o konwenansach.

Odskoczyli od siebie jak oparzeni i popatrzyli na Piffkina z minami winowajców. Val sprawiał wrażenie po trosze zażenowanego, po trosze oburzonego. Daisy podbiegła do okna, żeby ukryć rumieniec i uspokoić oddech. Po chwili znów miała na głowie kok i była uosobieniem statecznej guwernantki.

- Wprawiasz się do roli przyzwoitki, Piffkin? - spytał cierpko Redgrave. - Będę musiał uprzedzić Consuelę, że zapragnąłeś ją zastąpić. Ciekaw jestem, czy zechce pożyczyć ci swoje kastaniety...

Panna Marchant podeszła z powrotem do Valentine'a.

- Kim jest Consuela? - zapytała całkowicie opanowanym tonem.

- To jedna ze służących mojej zmarłej matki - odparł Val. - Nadal na posadzie w Redgrave Manor. Zdaje się, że jeszcze ci tego nie mówiłem. Wiedz zatem, że urodziłem się w połowie Hiszpanem. Rzekomo właśnie dlatego my, Redgrave'owie, jesteśmy nieobliczalni i odrobinę szaleni.

Daisy zamrugnęła gwałtownie i westchnęła. Przed chwilą całowała mężczyznę, którego praktycznie nie zna. To zupełnie nie w jej stylu.

- Tak niewiele o sobie wiemy, a mimo to próbujemy powstrzymać szajkę niebezpiecznych przestępców. Siedzimy w tym po uszy. Razem. Czy to nie dziwne?

Posłał jej szeroki uśmiech.

- Może dla niektórych, ale z pewnością nie dla kogoś, kto nosi nazwisko Redgrave. Tak dobrze nam z oczu patrzy, że ludzie natychmiast obdarzają nas zaufaniem. Jeśli dodać do tego naszą bezprzykładną powagę i stateczność, doprawdy, któż nam się oprze?

- Nie... chyba raczej nie o to idzie... - odrzekła w zadumie.

Piffkin zakrył usta dłonią i zakasłał, żeby się nie roześmiać.

Valentine spojrzał na niego z ukosa.

- Mam nadzieję, że dostarczyliśmy ci dość rozrywki i jesteś usatysfakcjonowany. Przynajmniej na jakiś czas. Powiecie mi wreszcie, o co chodzi?

- Panna Marchant wszystko panu wyjaśni - oznajmił służący. - Wiem jedynie tyle, że znalazł się pan w poważnym niebezpieczeństwie. Obawiam się, że nie uchronił pana przed tym nawet pański niekwestionowany geniusz.

- Coś podobnego. A już miałem sobie pogratulować... - Val odwrócił się i spojrzał wyczekująco na Daisy. - Musimy jak najszybciej cię stąd wyekspediować - stwierdził, wysłuchawszy jej relacji z rozmowy Mailera z nieznajomym.

- Też tak uważam - odparła bez wahania. - Nie rób takiej zdziwionej miny. Przecież nie jestem głupia. Dobrze wiem, że musimy zniknąć. Wszyscy, a zwłaszcza ty. Wpadłeś w poważne tarapaty, o które sam się zresztą prosiłeś. Wiesz już, jak zorganizować wyjazd? Czekaając na twój powrót, obmyśliłam, co powinniśmy zrobić, ale

ponieważ prawie na pewno zechcesz się ze mną sprzeczać tudzież dorzucić do mojego planu własne mądrości, powinniśmy przedyskutować sprawę od razu. Nie ma chwili do stracenia. Muszę wracać do dzieci, zanim ktoś zauważy moją nieobecność. Zechciej się zatem streszczać.

Tym razem Piffkin nie wytrzymał i otwarcie zachichotał.

- Chciałbyś może coś dodać? - zapytał Val. - Śmiało, nie krępuj się.

Kamerdyner spojrzał na niego z miną niewiniątka i odstawił na krzesło torbę, z którą wszedł do pokoju.

- Ja? Ależ skąd, jaśnie panie. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Wręcz ide-al-nie. - Zerknął porozumiewawczo na Daisy, która gwałtownie spłoszyła i spuściła wzrok.

Val objął ją ramieniem i wprowadził do gotowalni.

Zamknąwszy za sobą drzwi, długo jej się przyglądał. Potem wyjął z za pazuchy dziennik, który powierzyła mu poprzedniego dnia.

- Przeczytałem i chciałbym ci go zwrócić - powiedział, choć słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

Popatrzyła tępo na pamiętnik, po czym wsunęła go sobie do kieszeni. To jedyna pamiątka, jaka została jej po siostrze.

- Bardzo mi przykro, Daisy. Współczuję ci - odezwał się, choć wiedział, że to mar-na pociecha.

Kiwnęła głową, niezdolna wydobyć z siebie głosu. Wziął ją w ramiona i mocno przytulił.

- Wiesz, że Rose prawdopodobnie nie żyje, prawda? Nie znajdziemy jej.

- Tak, wiem. - Chyba wiedziała o tym od samego początku. - Zamordował ją. Była samotna, potrzebowała opieki i kogoś do kochania. Kogoś, kto by ją hołubił i otaczał opieką, a on... zwyczajnie ją oszukał. Okłamał, zwabił do Fernwood obietnicami małżeństwa, a potem wykorzystał i zabił. - Podniosła wzrok i spojrzała na niego przez łzy. - Mam ochotę krzyczeć. Wiem, że to głupie, ale nic na to nie poradzę. Chciałabym uciec w jakieś ustronne miejsce, schować się gdzieś, gdzie nikt by mnie nie usłyszał, i wykrzyczeć cały swój ból. Powiedz mi, dlaczego jej to zrobili? Dlaczego na świecie nie ma sprawiedliwości?

- Bardzo mi przykro, ale nie znam odpowiedzi na to pytanie.

- Mój ojciec mawiał, że jako chrześcijanie winniśmy potępiać grzech, ale kochać grzesznika. I wybaczać mu jego winy. W teorii jest to znacznie łatwiejsze niż w prawdziwym życiu. Przypuszczam, że ani my dwie, ani papa nie mieliśmy pojęcia, czym jest prawdziwe zło. Teraz już wiem, że nie potrafiłabym wybaczyć tym zwyrodnialcom. Czy to źle o mnie świadczy?

Pocałował ją w czoło.

- Nie, to świadczy o tym, że jak większość z nas, nie jesteś pozbawiona zwykłych ludzkich odruchów. Członkowie Towarzystwa są zepsuci do szpiku kości. Wyglądają niepozornie, jak wszyscy, ale dawno temu wyrzekli się swego człowieczeństwa. To zwykłe bestie w ludzkiej skórze. Prowadzimy wojnę z potworami.

- Obawiam się, że... to oni zwyciężą w tej wojnie...

- Nie, nie wolno ci tak myśleć - zaprotestował z przekonaniem. - Spędziłem dziś sporo czasu z Charfieldem. To zwykły tchórz i słabeusz. Zając w masce wilka. Wy-

dał przyjaciół, żeby ratować własną skórę i nie wahał się ani chwili. Przeciwnie, zrobił to z wielką ochotą. Narzeczony mojej siostry sądzi, że człowiek, którego schwytaliśmy w Redgrave Manor, odebrał sobie życie, żeby nie dopuścić się zdrady. Moim zdaniem on także był tchórzem. Wolał umrzeć szybko i na swoich warunkach, niż zawisnąć. Zachłanność i ambicja doprowadzi ich wszystkich do zguby. Zniszczą się nawzajem, bo nie wiedzą, co to lojalność. Dlatego to my wyjdziemy z tej potyczki zwycięsko.

Uśmiechnęła się słabo.

- I dlatego że dobro zawsze przewycięża zło?

Odwzajemnił uśmiech.

- To też, ale przede wszystkim dlatego, że jesteśmy mądrzejsi i przebieglejsi niż oni.

Uniosła brew.

- I bardziej zdeterminowani?

- A jakże! Opatrzność nam sprzyja, więc bądź dobrej myśli.

- Oby miał pan rację, paniczu Valentine - westchnęła i zajrzała mu w oczy. - Dziękuję ci. Dodałeś mi otuchy. Obiecuję, że nie będę więcej zalewać się łzami. Nie chcę, żebyś pomyślał, że wzruszam się albo omdleam z byle powodu jak egzaltowana panna z dobrego domu.

Pogłaskał ją po policzku i nawinął sobie na palec zbłąkany lok, który wymknął jej się z koka.

- Miałaś powód, żeby się rozplakać. I nie jesteś egzaltowana.

- Racja. - Uśmiechnęła się szeroko. - Pan Piffkin twierdzi, że jestem doskonała w każdym calu, wprost idealna.

Zmarszczył brwi.

- Widzę, że przypadliście sobie nawzajem do gustu. Wyznam, że przyprawia mnie to o dreszcz niepokoju.

- Doprawdy? Nie mam pojęcia dlaczego. - Wyswobodziła się z jego objęć i usiadła na krześle. - Zdradź mi, co zamierzasz - odezwała się rzeczowym, całkowicie opanowanym tonem. - Moim zdaniem powinniśmy zabrać lady Caroline, Agnes oraz dzieci i zwyczajnie uciekać, ile sił w nogach, ale cóż, przypuszczam, że mój pomysł raczej ci się nie spodoba. Cokolwiek postanowiłeś, błagam, nie mów, że planujesz jakiś heroiczny wyczyn. Mówiąc „heroiczny”, mam na myśli karkołomny i śmiertelnie niebezpieczny.

- Masz rację - powiedział cicho. - Musicie jak najszybciej wyjechać. Ja nie mogę do was dołączyć. Jeśli nie pokażę się na kolacji, zwietrzą pismo nosem i natychmiast ruszą za nami w pogoń. Dopilnujesz pakowania i zabierzesz wszystkich do gospody. To niedaleko, niecałą milę stąd. Poradzicie sobie na piechotę. Piffkin doskonale zna drogę. Mój powóz już tam czeka. Pojedziecie prosto do Redgrave Manor. Ja tymczasem upewnię się, że jesteście wystarczająco daleko, a potem znajdę jakiś pretekst, żeby wymknąć się z domu, wezmę jednego z koni Mailera i także ruszę do domu. Na wszelki wypadek inną drogą. Za dwa dni spotkamy się w majątku mojej rodziny. Proste, nieprawdaż?

- Tak, wyjątkowo proste. Mam tylko jedno pytanie: Jakim sposobem chcesz „wymknąć się niepostrzeżenie z domu”?

- Wtajemniczę cię, jak tylko sam znajdę odpowiedź. Tej części scenariusza jeszcze nie dopracowałem. - Wyciągnął dłoń i pomógł jej wstać. - Musisz wracać do dzieci. Niedługo zauważą twoją nieobecność.

- Wróć. Za moment. Najpierw przedyskutujemy jeszcze raz twój genialny plan. Trzeba nanieść nań pewną drobną poprawkę. Nie sądziłeś chyba, że tak łatwo się mnie pozbędziesz? A potem, kiedy już skończymy rozmowę, mógłbyś mnie jeszcze raz pocałować...?

- Dobry wieczór, Charles - przywitał się Redgrave, kiedy jakiś czas później wszedł do bawialni. Zjawił się tam na długo przed pierwszym dzwonkiem na kolację. Chciał choć przez chwilę porozmawiać z gospodarzem na osobności. - Czyżbyśmy znów mieli zasiać do posiłku sami? Teraz kiedy Charfielda wezwano pilnie do Londynu? Swoją drogą, muszę powiedzieć, że całe zajście miało dość spektakularny przebieg. Pół tuzina żołnierzy w szykownych mundurach znienacka zajęchało nam drogę. Wyglądało to tak, jakby wyrosli spod ziemi. Frappton miał minę prawdziwego winowajcy, kiedy zakuwali go w kajdany. Jak nic, skończy na stryczku... chociaż, możliwe, że za zdradę stanu nadal karzą ścięciem... Jak sądzisz?

- Nie mam pojęcia - mruknął Charlie, nalewając sobie wina. Ręka trzęsała mu się tak bardzo, że trafiał do kieliszka z najwyższym trudem. - Było ich sześciu, powiadasz? I mieli ze sobą powóz? To chyba lekka przesada...

- W istocie, imponująca eskorta. Ale, szkoda czasu na gadanie o nieobecnych. Nie zaprzeczyłeś, kiedy zapytałem, czy będziemy jedli sami. Nie mów, że znów będziemy zanudzać się nawzajem na śmierć.

Mailer wyraźnie się ożywił. Najwidoczniej przypomniał sobie o roli gospodarza.

- Och, nie obawiaj się. Wprawdzie podczas kolacji będziemy zdani wyłącznie na siebie, za to później przeniesiemy się gdzie indziej, gdzieś, gdzie czeka na nas reszta towarzystwa i mnóstwo rozrywek. Dokładnie takich, jakie ci obiecywałem.

Valentine rozsiadł się swobodnie na krześle i potarł dłonią podbródek.

- Hm... obiecujące. Nie rozumiem tylko, dlaczego musimy się przenosić. Sądziłem, że jesteś gospodarzem, ale coś mi się widzi, że to nie ty podejmujesz decyzje.

No dalej, Post, odsłoń rąbka tajemnicy. Pochwal się tym, co dla mnie przygotowałeś. Zwódcz mnie dalej obietnicami. Obyś tylko mówił długo. Będziemy tu sobie gawędzili, tymczasem moi ludzie wywiozą twoją żonę i dzieci w siną dal. Gdzieś gdzie będą bezpieczni. Jak najdalej od ciebie...

Charlie nie wzbraniał się od rozmowy. Jak każdy złoczyńca, uwielbiał chełpić się swoimi wyczynami, zwłaszcza przed potencjalną ofiarą.

Postawiwszy przed Redgrave'em kieliszek wina, usiadł naprzeciw niego na kanapie i zaczął:

- Wspomniałem w wielu naszych rozmowach, że ja i moi przyjaciele pragniemy na zawsze odmienić oblicze Anglii. Dowiesz się, jak chcemy tego dokonać, podczas dzisiejszego spotkania z resztą bractwa. W nowej, lepszej Anglii pieniądze, ziemia i władza znajdą się wreszcie we właściwych rękach. Nie będą przekazywane z pokolenia na pokolenie w ręce nieudaczników, którzy mieli to szczęście, że przyszli na świat jako pierwородni. Kolejność urodzenia jako klucz do dziedziczenia to przeżytek. Krótko mówiąc, pomożemy cesarzowi w osiągnięciu jego celu, on zaś wesprze

nas i nasze starania.

Val strzepnął z nogawki nieistniejący paproch.

- Nazywają to *quid pro quo*, Charles. Coś za coś. Ktoś mi to niedawno objaśnił. Przyznaję, że to, co mówisz, brzmi interesująco. Podobnie jak ty, jestem ambitny. Nie podoba mi się to, że rodzina traktuje mnie jak bezmyślnego młokosa, a nie dorosłego mężczyznę. Nigdy mnie nie doceniali. Jak widzisz, wiele nas łączy. Dobrze mnie rozumiesz, bo ciebie także Bóg pokarał starszym bratem. Zbyt długo tłamszono nas i nie pozwalano nam rozwinąć skrzydeł.

- Już wkrótce to się zmieni. To ty będziesz panem Redgrave Manor, a mój świętoszkowaty braciszek będzie przychodził do mnie na kolanach i skomlał o pieniądze.

- Cieszy mnie to, ale jestem bardzo ciekaw rozrywek, które od tak dawna mi obiecujesz. Nie chcę być niewdzięczny, ale przez ciebie od trzech dni żyję jak mnich. Nie służy mi to. Staję się drażliwy i nieznośny. Przypuszczam, że korzystacie z usług dziewcząt jakiegoś zaprzyjaźnionego lupanaru. Mam nadzieję, że są czyste. Z dwojga złego wolę celibat niż wstydliwą chorobę.

Mailer roześmiał się rubasznie i natychmiast podjął temat.

- Bez obaw, są czyste, chętne i uległe - zapewnił na wstępie, po czym zaczął opowiadać ze szczegółami o wyuzdanych „przyjemnościach”, jakim oddają się członkowie klubu podczas nocnych rautów. Przy okazji nie omieszkał wspomnieć o satańskich obrzędach.

Już po minucie wsłuchiwanie się w tę sprośną przemowę Valentine miał ochotę wstać i udusić go gołymi rękoma.

- Nazwijmy rzeczy po imieniu - podsumował z pogardą. - Z tego, co mówisz, oddajecie się zwykłym, prostackim orgiom. W dodatku jesteście wyznawcami Szatana! Toż to kompletny idiotyzm! Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał, Charles. Zaraz jeszcze mi powiesz, że przywdziewacie rogate maski, składacie ofiary ze zwierząt, a potem pijecie ich krew? Jak żyję, nie słyszałem podobnych bzdur. Sądziłem, że mam do czynienia z poważnymi ludźmi... Cóż, widać się pomyliłem. - Podniósł się z krzesła i zrobił krok w stronę drzwi. Potrzebował odrobiny dystansu. Nie chciał też sięgnąć odruchowo po wino. Niewykluczone, że czegoś do niego dosypali.

- Wybacz, ale raczej nie przyjmę twojego zaproszenia. Nie zniżę się do wzięcia udziału w czymś takim. Gdybyś powiedział mi to wszystko wcześniej, nigdy bym tu nie przyjechał. Obaj oszczędzilibyśmy sobie zachodu. - Spojrzał na Mailera, który sprawiał wrażenie przerażonego. A zatem nie zamierzają rozprawić się ze mną teraz, lecz dopiero w nocy, podczas tak zwanego przyjęcia. Bardzo dobrze, ale to znaczy, że nie mogę jeszcze wyjść. Muszę zostać choć kilka minut dłużej. Twitchill i Piffkin potrzebują więcej czasu. - Miałem rację z tymi maskami? - zapytał pojednawczym tonem. - Naprawdę je nosicie?

- Tak! Mamy maski! - Charlie poderwał się na nogi jak wystrzelony z procy. - I peleryny! Zaczekaj, pokażę ci. - Podeszedł do skrzyni stojącej pod jednym z okien i wyjął z niej wstrętną zieloną maskę w kształcie głowy węża i długi zielony płaszcz tej samej jaskrawej barwy. - Spójrz tylko, tu są otwory na oczy, nos i usta. Nie będziesz jej musiał zdejmować, nawet kiedy będziesz zabawiał się z naszymi panienkami. Nikt cię nie rozpozna. Osobiście ją dla ciebie zrobiłem. Prawda, że zmyślna?

Redgrave skrzywił się z obrzydzeniem.

- Groteskowa.

Charles spojrział na niego z konsternacją, lecz szybko się pozbierał.

- Źle mnie zrozumiałeś. Nie trzeba mieć jej na sobie cały czas. Wkładamy je tylko na czas procesji i składania ofiary.

- Co proszę? - Valentine niemal się wzdrygnął, kiedy wyobraźnia podsunęła mu kilka zatrważających obrazów. Obiecał sobie, że już nigdy, ale to nigdy nie pójdzie na bal maskowy.

- Idzie o ceremoniał - wyjaśnił gospodarz. - Po odprawieniu wszystkich niezbędnych rytuałów możemy ściągnąć maski. Co ty na to?

- Znasz moje zdanie, Charles. Już je wyraziłem. Nic z tego nie będzie. Dziękuję za dobre chęci, ale nie zamierzam robić z siebie przedstawienia.

- Nie chcesz maski? W takim razie mam coś innego. Popatrz. - Mailer wyjął z kieszeni kawałek czarnego jedwabiu i rozpostarł mu go przed oczami. Rzecz wyglądała jak obszerny kaptur, który zapewne miał za zadanie zasłonić niemal całą twarz.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, Charles wrzucił maskę i pelerynę za kanapę.

- O co chodzi, White?

- Jaśnie pan życzył sobie dodatkową karafkę z winem - odparł majordomus. - Pokażę tylko nowemu lokajowi, gdzie ją postawić.

Redgrave nawet się nie odwrócił. Cała operacja trwała nie więcej niż pół minuty, a kroki służących wkrótce umilkły na korytarzu. Uznał, że pora się ewakuować. Przychodząc tu, wiedział, że ryzykuje, ale zostawił sobie drogę odwrotu. Okno w jego sypialni pozostało otwarte. Na szczęście tuż obok biegła solidna rynna, po której można było swobodnie zsunąć się w dół. W pobliskich zaroślach czekali uzbrojeni po zęby dwaj członkowie jego eskorty oraz Daisy. Nie przekonał jej, żeby pojechała przodem wraz z Piffkinem i Twitchillem. Była uparta jak koza.

- Nie muszę niczego przymierzać - rzekł ugodowo na użytek Mailera. - Przekonałeś mnie. - Podniósł do ust kieliszek, lecz natychmiast odstawił go z powrotem i zaczął drapać się po okrytym kamizelką torsie. - Niech to diabli! Że też musiało mi się to przytrafić akurat teraz. - Rozpiął pospiesznie koszulę i zbliżył się do swego gospodarza.

Charles wlepił wystraszony wzrok w jego obnażony tors i przełknął głośno ślinę. - Chryste Panie, co to jest?

Dzieło Piffkina odegrało swoją rolę - pomyślał Val.

- Na Boga, nie gap się tak, Charlie. To nie plaga egipska. To zwykła wysypka. Swędzi jak diabli. Muszę natychmiast zażyć kąpieli. To jedyne lekarstwo w takich razach. Pozwolisz, że kolację zjem u siebie? Jestem pewien, że do czasu wyjścia na spotkanie z twoimi przyjaciółmi będę jak nowy.

- Bądź gotów na wpół do dziewiątej - odparł niepewnie Mailer, podnosząc z podłogi zieloną głowę węża. - Ale czekaj, nie przymierzyłeś jeszcze maski - zaskomlał jak dziecko, któremu odmówiono łakoci.

Valentine zapiął koszulę, żeby nie rozmazać malowidła Piffkina, i znów zaczął się drapać.

- Charles, na miłość boską, nie bądź osłem. Widzisz przecież, że cierpię...

Nim skończył zdanie, poczuł na plecach ostrze noża i zrugął się w myślach za nie-

ostrożność.

- Niestety, przyjacielu, Charles jest osłem od urodzenia - odezwał się napastnik. - I nic się w tej materii nie zmieni. My na szczęście jednak wiemy, że to głupiec jakich mało. Zamierzałeś pozwolić mu odejść, durniu, mam rację? - zwrócił się do Mailera.

- Miał tylko pójść się wykąpać... - jęknął Charlie. - Ma jakieś okropne krosty...

White nie wszedł do bawialni z lokajem, lecz z kimś innym, dotarło wreszcie do Valentine'a. W dodatku ten drugi wcale nie wyszedł. Schował się pewnie za moim fotelem. Bardzo zmyślnie. Dlaczego, do diaska, się nie odwróciłem? Teraz już za późno. Mleko się rozlało. Muszę się go jak najprędzej pozbyć. Dopóki jeszcze dzieli nas oparcie fotela.

- Co ty wyprawiasz, Hammer? - zatrwożył się gospodarz. - Nie rób głupstw, schowaj ten sztylet. Mieliliśmy dostarczyć go na zebranie żywego.

- Post, ty skończony idioto! Zamknij wreszcie jadaczkę! Nic, tylko mielesz ozorem!

Val niemal się uśmiechnął. Nie musiał już obawiać się o swoje życie. Przynajmniej na razie.

Cały czas trzymał w dłoni pełny kieliszek. Zamachnął się w tył i wylał całą jego zawartość w stronę głosu, który rozbrzmiewał tuż za jego uchem. Potem przykucnął i utracił stopkę kieliszka o stolik. Potłuczone szkło to znakomita broń, nie gorsza niż ostrze sztyletu, pomyślał, stając twarzą w twarz z napastnikiem.

Hammer, jak go nazywał Mailer, nie zdążył zareagować. Wciąż wyciągał ku niemu dłoń, w której ścisnął nóż. Redgrave nie wahał się ani chwili. Z całych sił wbił mu w nadgarstek roztrzaskany kieliszek.

Szczeniowym zrzędzeniem losu, przeciął tętnicę.

Przyjaciel Charlesa upuścił sztylet i padł z wrzaskiem na ziemię. Wzywał pomocy, ale Post zupełnie go zignorował.

Najgorsze mam już za sobą, doszedł do wniosku Val, schylając się po nóż. Nie docenił jednak Mailera. Sądził, że podobnie jak Charfield, Charlie zwyczajnie stchórze, ale gorzko się pomylił. Wiedziony desperacją Post najwyraźniej znalazł w sobie dość odwagi, by wskoczyć mu na plecy. Valentine akurat się pochyłał, więc natychmiast stracił równowagę i runął na podłogę przytłoczony niebagatelny ciężarem swego gospodarza. Nie starczyło mu czasu, żeby chwycić sztylet, co gorsza, Mailer, nie wiedząc czemu, próbował przyłożyć mu do twarzy nieszczęsną maskę. Ani chybi go opętało. Dureń, próbuje udusić mnie kawałkiem jedwabiu? Potrząsnął głową, by wypluć z ust przekłętą tkaninę. Na próżno szarpał się, usiłując zrzucić z siebie Charliego.

O mój Boże, olśniło go nagle. To nie wino było doprawione, lecz ta piekielna głowa węża. Zamoczyli ją w czymś, co miało go uspić, zapewne laudanum. Muszę jak najprędzej wstać i stąd wyjść, póki jeszcze jestem w stanie zebrać siły. Daisy na mnie czeka. I jak ją znam, będzie czekać całą wieczność. Nie wyjedzie beze mnie. Nie wykluczone, że porwie się na jakieś kompletne szaleństwo albo spróbuje mnie ratować. Chryste, dopomóż... Daisy, błagam, nie rób nic głupiego...

Zaczynało mu brakować powietrza. Teraz albo nigdy...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kilka godzin temu podczas pakowania Daisy spojrzała w przenośne lusterko – jedyną pamiątkę, jaka została jej po matce – i bardzo się zdziwiła. Z trudem rozpoznawała samą siebie. Do tej pory zawsze uważała się za brzydszą siostrę. Chorobliwie bladą, zbyt wysoką, stanowczo za chudą i wyjątkowo niezdarną, zwłaszcza w porównaniu z drobną, lecz ponętnie zaokrągloną Rose. W dodatku wszyscy powtarzali jej, że jest ponad wiek poważna i „niebezpiecznie” odczytana.

Teraz wyglądała jakoś... inaczej, łagodniej. Jej ostre rysy nabrały miękkości, a oczy blasku. Nie pojmowała, skąd ta nagła zmiana, mogła jedynie przypuszczać, że owo przeobrażenie ma bezpośredni związek z Valentine’em, który patrzył na nią inaczej niż wszyscy. Jakby mu się podobała, jakby sądził, że jest całkiem znośna, może nawet... ładna?

Gdyby miała odrobinę więcej czasu, żeby się nad tym zastanowić, pewnie uznałaby, że ją polubił. Być może tak bardzo, jak ona lubiła jego. Nad tym akurat nie musiała się zastanawiać. Zależało jej na nim. I to bardzo. Mimo niesprzyjających okoliczności, potrafił poruszyć jej serce i umysł. Sama jego obecność sprawiała, że czuła się pogodniejsza i... lżejsza, jakby ktoś zdjął jej z barków cały ciężar istnienia. Zaczynała rozumieć, dlaczego Rose była niegdyś taka szczęśliwa u boku męża.

Zawinęła lusterko w zapasową halkę, włożyła je do torby razem z resztą skromnego dobytku i wyrzuciła bagaż przez okno. Wcześniej zrobiła to samo z walizką piastunki.

Następnie zeszła na dół i zabrała ze sobą Agnes, Lydię oraz Willy’ego. Dzieci cieszyły się na nocną przygodę. Sądziły, że pójdą nad strumień łowić żaby. Obiecały, że będą cichutko jak trusie, żeby nie zauważyła ich reszta służby. O tej porze powinny być przecież w łóżkach.

Piffkin wraz z członkami eskorty Redgrave’ów czekali na nich w umówionym miejscu pomiędzy drzewami. Daisy musiała jeszcze wrócić do domu po lady Caroline. Mailerowie i piastunka mieli potem wyruszyć do gospody na spotkanie z Twitchillem – naturalnie w eskorcie kamerdynera. Ona sama postanowiła czekać na Vala. Chciała się upewnić, że on także bezpiecznie wyjedzie. Wymogła na nim, żeby się na to zgodził, choć nie było łatwo. W końcu przystał na ów szalony pomysł, lecz tylko pod warunkiem, że będą jej pilnować dwaj jego ludzie.

Jak do tej pory, wszystko szło zgodnie z planem.

Panna Marchant przemierzyła korytarz i zapukała dyskretnie do drzwi lady Caro. Niezle się natrudziła, żeby przekonać ją do wyjazdu. Pani Mailer tak bardzo bała się męża, że wolała znosić życie w ciągłej udreće, niż narazić się na jego gniew.

– Jest pani gotowa? – zapytała, wślizgnąwszy się do środka. – Miała pani spakować kilka drobiazgów...

Caroline tkwiła pośrodku sypialni, załamując ręce.

– Rozmyśliłam się. Nie mogę wyjechać. Boję się, że nas złapią. Charles zabiłby mnie, gdyby nas znalazł.

Daisy miała szczerą ochotę nią potrząsnąć i wbić jej do głowy odrobinę rozumu.

- Nie złapią nas.

- Złapią. I będzie po mnie. Jedną żonę już zabił. Co go powstrzyma przed tym, żeby zamordować i mnie? Zabrał ją na klif, tam przy głazach, i zwyczajnie zepchnął. Twierdzi, że jej krzyk to najbardziej ekscytująca rzecz, jaką kiedykolwiek słyszał.

- Powiedział to pani? Ot tak, po prostu?

- Sprzeciwiłam mu się. Nie chciałam... nie mogłam... już dłużej tego robić. To właśnie wtedy o wszystkim mi opowiedział. Zagroził, że jeśli nie będę nadal... dogadzać jego obrzydliwym znajomym... zaciągnie mnie na urwisko i... skróci moje męki... Zaprowadził mnie tam i pokazał, co mi zrobi. Kazał mi przysiąc, że będę mu zawsze posłuszna. Muszę go słuchać. Tak jest łatwiej. Nie rozumiesz? Muszę dbać przede wszystkim o siebie...

- A ja o siebie. Żałuję, że nie mam czasu na dyskusje. Być może udałoby mi się panią przekonać. - Daisy odwróciła się, żeby wyjść. Nim zdążyła zrobić krok, poczuła na ramionach przytłaczający ciężar i padła na ziemię przygnieciona ogromną torbą.

- Nie opieraj się. Nic ci nie będzie... Jeśli będziesz współpracować... nie będzie tak źle. Przyzwyczaisz się...

Poczuła, że ktoś, prawdopodobnie Davinia, bo któż by inny, przygniała ją do podłogi. Nie wiedziała, jakim sposobem, lecz znalazła w sobie dość siły, żeby odeprzeć atak. Teraz to ona przyciskała do ziemi żylastą służącą. Usiadłszy na niej okrakiem, zaczęła okładać ją pięściami. Wydawało jej się, że posiadała moc co najmniej setki mężczyzn. Mailer zamordował jej siostrę i Bóg jeden wie, jak wiele innych niewinnych kobiet, a Caroline i Davinia, niczym dwie bezwolne kukły, przyglądały się temu ze spokojem, próbując ratować własną skórę. Miała w sobie tyle gniewu i złości, że gotowa była zatłuc starą gołymi rękoma. Prawdopodobnie udałoby jej się, gdyby nie lady Mailer, która nieoczekiwanie chwyciła ją z całych sił za kok, wykręciła jej boleśnie kark i przytknęła do ust jakąś cuchnącą szmatę.

- Nie ruszaj się! Powiedziałam mu, że jesteś dziewicą. Obiecał, że da mi spokój, jeśli im cię przyprowadzę. To ja zasługuję na to, żeby się od niego uwolnić, nie ty. Jesteś tylko zwykłą służącą. Taką samą jak inne przed tobą. Już szykują dla ciebie ołtarz ofiarny. Nie wrywaj mi się. To na nic!

Boże, jęknęła w duchu Daisy. Ta okropna kobieta zamierza oddać mnie w ręce tych zwyrodnialców. W niczym nie jest lepsza od nich samych. Sponiewierają mnie, a potem zabiją tak samo jak Rose i to zanim zdążyłam poznać, co to prawdziwe szczęście. Poczuła na policzkach łzy. Nim odpłynęła w nicość, pomyślała jeszcze, że już nigdy nie zobaczy Valentine'a.

Val mylił się co do Mailera. Sądził, że ma do czynienia z przebiegłym idiotą. Okazało się, że Charles jest wyłącznie idiotą. W dodatku bezdennie głupim.

Kiedy nie mogąc złapać tchu, niemal zegnał się z życiem, poczuł, że Post raptem znieruchomiał i przygniótł go swoim bezwładnym cielskim niczym stukilowy worek mąki. Tak zaciekle próbował założyć mu nasączoną laudanum maskę, że sam nawdychał się specyfiku i stracił przytomność. Najwyraźniej trzymał ją zbyt blisko własnego nosa.

Valentine zrzucił go sobie z grzbietu i przesunął się z wolna w stronę tarasu. Tymczasem Hammer wciąż trzymał się za rozharatany nadgarstek, nieudolnie ta-

mując krwotok. Niedługo pewnie zemdleje z powodu nadmiernej utraty krwi, to pomyślawszy, Redgrave uznał go za chwilowo nieszkodliwego i wyszedł przez balkon na zewnątrz. Narkotyk podziałał także na niego, więc poruszał się z niemałym trudem, a jego umysł pracował na zwolnionych obrotach.

Jak najdłużej wstrzymując oddech, ruszył ścieżką wiodącą do stajni. Miał do pokonania nie więcej niż sto jardów, a wydawało mu się, że będzie musiał przemierzyć co najmniej sto mil. Bardziej niż marsz przypominało to brodzenie po pas w gęstym bagnie. Choć trzymał się na nogach jedynie siłą woli, niestrudzenie brnął dalej.

Daisy. Muszę do niej dotrzeć i jak najszybciej ją stąd zabrać.

Dowlóknęszy się do budynku, padł na kolana przed największym poidłem i zanurzył w nim głowę aż po ramiona. Miał nadzieję, że zmyje z twarzy resztki środka, którym próbował go odurzyć Charles.

Gdy po kilkunastu sekundach otrząsał się z wody, spostrzegł obok siebie młodego parobka. Chłopak przyglądał mu się szeroko otwartymi oczami, jakby miał przed sobą pomyłkę.

- Coś panu dolega, sir?

- Wszystko... w jak najlepszym... porządku. Tyle że się... odrobinę... spiłem. Pomóż mi... się podnieść? O właśnie, od razu... lepiej. Piekielnie mocna... ta brandy. - Wygrzebał z kieszeni monetę. - Tylko pamiętaj, chłopcze... w ogóle... mnie tu nie widziałeś. - Chwiejąc się na nogach, spróbował przyłożyć sobie palec do ust. Trafił w okolice nosa. - Cicho sza... - dodał na wszelki wypadek, po czym ruszył w kierunku drzew.

- Jak pan sobie życzy, sir - odparł stajenny. - Ale... sir?

- Taaa...?

- Dom jest w tamtą stronę.

Redgrave wyprostował się jak struna, niczym pijak, który próbuje udowodnić światu, że jest całkowicie trzeźwy.

- Naturalnie... Doskonale... W tamtą stronę... Przecież widzę. - Machnął ręką i poszedł dalej wprost przed siebie. Każdy krok kosztował go sporo wysiłku, ale jego umysł powoli zaczynał pracować. Lek widać przestał działać. W każdym razie mógł już zebrać myśli w logiczną całość.

Prawa, lewa, prawa, lewa, powtarzał sobie w kółko. Byle do przodu. Już niedaleko. Daisy na mnie czeka. Nie wolno mi jej zawieść. Nigdy bym sobie tego nie darował. Idę do ciebie, Daisy...

- Panie Redgrave! - rozległ się raptem gorączkowy szept. - Panie Redgrave! To ja, Luther. Tu jesteśmy. Już myśleliśmy, że coś poszło nie tak. Przyprowadził pan ze sobą damy? Pan Piffkin powiada, że miały przyjść we dwie.

Daisy spojrzała w lustro i natychmiast zwiesiła głowę. Coś było nie tak. Nie rozpoznawała samej siebie. Co one jej zrobiły?

Pamiętała, że jeszcze przed chwilą bardzo źle się czuła. Nękał ją okropny ból głowy. Przez moment obawiała się, że rozsadzi jej czaszkę. Potem ktoś trzymał ją za ramiona, kiedy wymiotowała do nocnika.

Przypomniała sobie, że cały czas były z nią Caroline i Davinia. To one kazały jej wypić jakiś gęsty, słodki płyn, po czym rozebrały ją i włożyły do wanny. Woda była

cieplutka i pachniała kwiatowym mydłem.

Kiedy osuszona i owinięta ręcznikiem leżała na sienniku, spróbowała się podnieść, ale nie pozwoliły jej się ruszyć i znów wmusiły w nią tę samą lepką ciecz. Odplynęła w nieświadomość niemal w tej samej chwili. Wciąż miała ciężkie powieki i tak bardzo chciało jej się spać...

- Otwórz oczy! - Wrzasnęła jej nad uchem jakaś kobieta. - Słyszysz?! - Nieznajoma wymierzyła jej siarczysty policzek. - Otwórz oczy!

Zrobiła, co jej kazano, i ujrzała w lustrze zupełnie obcą osobę. Wyglądała jak porcelanowa lalka z burzą ognistorudych loków, czarnymi źrenicami oraz jaskrawo wymalowanymi ustami i policzkami.

Okryto ją lejącą białą tkaniną, spiętą pod piersiami broszką w kształcie róży.

Róża? Róża... - przemknęło jej mgliście przez myśl. Róża coś oznacza. Ale co? Rose! Uprzytomniła sobie nagle.

- Ile jej tego dałyście, durne krowy? - zapytał ten sam rozeźlony głos. - Już dawno powinna odzyskać przytomność! Postawcie ją na nogi. Za godzinę ma być gotowa. Czekam na dole.

Ten głos podziałał na Daisy jak kubeł zimnej wody. Mailer, Rose i Valentine... Przypomniała sobie wszystko w jednej chwili. Nareszcie była w stanie myśleć. Val... Muszę się stąd wyrwać i jak najprędzej go odnaleźć. Czekaj na mnie...

- Jak dobrze, że sobie poszła - odezwała się Mailerowa, kiedy trzasnęły drzwi. - I co my teraz zrobimy, Davinio? Jest na nas okropnie zła.

- Nie na nas, tylko na paninego męża - odrzekła z przekonaniem pokojówka. - Bęćwał jeden pozwolił uciec temu nowemu, co to przywiózł go ze stolicy. Coś mi się widzi, że popełnił o jedno głupstwo za dużo. Powinniśmy się wszyscy modlić, żeby jak najprędzej odnaleźli zbiega.

- Ale co to właściwie oznacza? Twierdzisz, że chcą się pozbyć Charlesa? Jeśli tak, to co będzie ze mną? A mogłam stąd uciec... Gdybym wiedziała, że go zabiją, nie powiedziałabym mu o planach ucieczki... O mój Boże, co ja teraz pocznę?!

Daisy udawała nieprzytomną i chłoneła każde słowo.

- Będzie dobrze - uspokajała służąca. - Nawet jeśli wyślą go na tamten świat, nadal będzie im potrzebne Fernwood. I głązy nad urwiskiem. Nie zrezygnują z nich tak łatwo. Nic nam nie grozi. Wystarczy, że będzie pani robiła, co każą.

- Tak, tak, naturalnie. Zrobię, co tylko zechcą.

- Zajmijmy się guwernantką. Trzeba ją podnieść i zamknąć w gotowalni. Oby tylko ocknęła się do czasu uroczystości. Jeśli ceremonia się odbędzie, złapią go. Hammer jest pewien, że po nią wróci. Potem trzeba będzie przygotować inne dziewczęta. Niektórym przyda się nasz specjalny eliksir, w przeciwnym razie się nie spiszą i znów będzie z nas niezadowolony.

Stara ma na myśli Valentine'a i mnie, uzmysłowiła sobie Daisy. Boże dopomóż, chcą go tutaj zwabić... A ja jestem przynętą... Niedoczekanie. Nie dopuszczę do tego, żeby coś mu się stało!

Pozwoliła się zawlec do pokoju obok i opadła na fotel jak szmaciana lalka.

- Załatwione - stwierdziła pokojówka. - Chodźmy, mamy jeszcze sporo do zrobienia.

- Nie powinnaś mi rozkazywać, Davinio - oznajmiła oschle Caroline. - Kiedy za-

braknie Charlesa, to ja będę panią Fernwood. Jeśli chcesz zostać na służbie, zacznij okazywać mi należyty szacunek.

Daisy nie wytrzymała i z ciekawości uchyliła powiekę. W samą porę, by obejrzeć nader interesujący spektakl. Służąca odwróciła się na pięcie i bez namysłu wytargowała panią za uszy.

- Proszę bardzo, masz swój szacunek. Na więcej nie zasłużyłaś, głupia krowo.

Lady Caro zaskowyczała, jakby ją obdzierano ze skóry. Na Davinii nie zrobiło to jednak najmniejszego wrażenia. Prychnęła niecierpliwie i wypchnąwszy Mailerową przez próg, przekręciła w zamku klucz.

Panna Marchant odczekała jakiś czas, żeby się upewnić, że wyszły na korytarz, po czym spróbowała wstać. Odczuwała jeszcze drobne zawroty głowy, ale była już w stanie utrzymać się na nogach. Gdy jej oczy przywykły do mroku, rozejrzała się. W pokoju były tylko fotel, toaletka i wanna. Na podłodze walały się porozrzucane sterty mokrych ręczników, a okna zasłaniały grube kotary.

Myślała wyłącznie o ucieczce i o tym, by ratować Valentine'a. Nic innego się nie liczyło. Potrzebowała tylko jakiegoś solidnego okrycia. Tkanina, którą ją owinięto, była przezroczysta jak welon. Nawet w mizernym blasku księżycy widziała, że jest całkiem naga. Owszem, zamierzała wziąć nogi za pas, ale to jeszcze nie znaczy, że miała ochotę zrobić z siebie przedstawienie.

Wyjrzała przez okno, po czym spojrzała w górę na drewniany, lekko ukośny sufit. Jestem na poddaszu, skonstatowała ze zdziwieniem, ale nie w Fernwood. Rezydencja Mailerów była znacznie wyższa, a wszystkie jej sufity pokrywał gipsowy tynk.

Nie miała pojęcia, co to za budynek. Zastanawiała się, czy znajduje się daleko od miejsca, w którym czeka na nią Valentine. O ile jeszcze czeka. Znając go, pewnie już dawno ruszył jej na ratunek.

Boże, nie pozwól mu wpaść w ręce tych szubrawców! - pomodliła się w duchu przerażona. Obawiała się o jego życie. Tak bardzo, że przez chwilę nie mogła złapać tchu. Uspokój się, pomyśl i zacznij działać. Tylko tak możesz pomóc sobie i jemu. Przecież musi być jakiś sposób, żeby się stąd wydostać...

Jeszcze raz rozejrzała się dookoła.

- Kotary! - Olśniło ją nagle, gdy jej wzrok spoczął na oknie. - Że też od razu o nich nie pomyślałam! - Uśmiechnęła się i wdrapała po krześle na parapet. Nie będzie siedzieć bezczynnie i czekać na ratunek niczym uwięziona w wieży książniczka. Od siedemnastego roku życia jest zdana wyłącznie na siebie. Musi radzić sobie w pojedynkę. Tym razem nie będzie inaczej. Zejście ze strychu to przecież żadna trudność... Chyba...

- Czym one mnie napoiły? - wymamrotała pod nosem. Nie sądziła, że ma w sobie tak wielkie pokłady odwagi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Piffkin uniósł ociekający wodą surdut Valentine'a i dokładnie go obwąchał.

- Istotnie, laudanum - stwierdził z przekonaniem. - Ale wyczuwam coś jeszcze, poza odorem łajna i wymiocin, oczywiście. - Skrzywiwszy się z niesmakiem, posłał marynarkę w krzaki. - Nie będzie już z niej żadnego pożytku. Zrzuńował pan kolejną, doskonale skrojoną część garderoby...

Val odgarnął włosy z czoła i usiadł na ziemi, która wreszcie przestała usuwać mu się spod nóg.

- Wypchaj się, Piffkin. Co ty tu w ogóle robisz? Miałeś przecież być w gospodzie.

- Zgadza się, jaśnie panie. Nastąpiła wszakże drobna zmiana planów. Postanowiłem posłać do wsi Roberta, sam zaś zostałem na posterunku z Lutherem. Dzieci są bezpieczne pod opieką piastunki. Polują na płazy... A ściśle mówiąc, łowią... żaby w stawie.

- Żaby? W stawie? - Redgrave podniósł się z powrotem na nogi. - Nie pytam, które z was wpadło na ów genialny pomysł. Gdzie się podziały nasze damy? Nie, nic nie mów. Niech zgadnę. Zniknęły. Przepadły bez wieści. A to znaczy, że mają poważne kłopoty. - Sięgnął do kieszeni kamizelki, lecz przypomniał sobie, że jest pusta. - Która godzina?

Kiedy Luther zapytał wcześniej o Daisy i Caroline, strach zmroził go do szpiku kości. Przez chwilę czuł się jak sparaliżowany. Do tego stopnia, że nie był w stanie się ruszyć ani tym bardziej wykrztusić z siebie słowa. Potem myślał już tylko o tym, co zrobić i jak je ratować.

- Dochodzi dziewiąta - odparł kamerdyner, spoglądając na niego z marsem na czole.

Val doskonale znał to spojrzenie. I właśnie dlatego je zignorował.

- Dziewiąta, powiadasz...? Mieli zacząć o dziewiątej, ale zdaje się, wprowadziłem w ich plany niejaki chaos. Przypuszczam, że w związku z tym mają pewne opóźnienie. Luther, pora na nas.

- Idę z wami - zakomunikował służący. - Ktoś przecież musi nad panem czuwać.

Gdyby mógł, pewnie uwiązałby mnie na smyczy. Z dzwoneczkiem na szyi, na wszelki wypadek, pomyślał Val.

- Widzę, że pokładasz ogromną wiarę w moje możliwości. Daruj, ale porazimy sobie bez ciebie. Zresztą nie odejdziemy daleko. Wybieramy się tylko do chaty u podnóża klifu. Będzie szybciej, jeśli weźmiemy konie, a mamy tylko trzy, prawda Luther?

- Tak jest, panie Redgrave. Jeden dla pana, jeden dla jaśnie pani i jeden dla mnie.

- Nadal nie pojmuję, dlaczego miałbym nie jechać - upierał się Piffkin. - Trzy konie to w sam raz...

- Nie pojmujesz? Pozwól zatem, że objaśnię ci to obrazowo. Po pierwsze, znam cię całe życie i wiem, że marny z ciebie jeździec. Po drugie, Luther ma własnego wałacha, Daisy pojedzie ze mną, tobie zaś pozostaje jedynie klacz lady Mailer. I jej damskie siodło. Reflektujesz?

Luther nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

- Mam go podsadzić i ułożyć mu spódnicę, panie Redgrave? - zapytał, rechocząc jak opętany.

Valentine roześmiał się mimo woli, choć wcale nie był w nastroju do żartów. Kamerdyner zmroził ich obu spojrzeniem i uniósł z godnością podbródek.

- Drwicie sobie do woli, ja i tak wiem swoje. Powinienem pójść z wami i basta. Nigdy nie wiadomo, jak się sprawy potoczą. Być może będę wam potrzebny, a skoro to niedaleko, możemy iść pieszo, a potem wrócić po konie. Poza tym, paniczu Valentine, przyda się panu trochę czasu, żeby odrobinę ochłonąć. Wolałbym, żeby nie popełnił pan żadnego głupstwa. Znowu.

- Racja. Bez twoich cennych uwag ani chybi porwałbym się na jakieś szaleństwo. Na przykład dobrowolnie oddałbym się w ich ręce w zamian za uwolnienie panny Marchant.

Służący wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że każdy na pana miejscu byłby skłonny postąpić równie nierozważnie. Któż potrafi zachować zimną krew, gdy w grę wchodzi życie ukochanej kobiety?

- Kto powiedział, że Daisy to moja ukochana? - zaprotestował Redgrave. - Ubrdałeś coś sobie. To ja wpakowałem ją w cały ten ambaras i dlatego czuję się za nią odpowiedzialny. Ot, i wszystko.

- Skoro pan tak twierdzi... Rozumiem, że uściski i czułości, których byłem świadkiem kilka godzin temu, to zwykły przypadek? A może pozwolił pan sobie na nie wyłącznie z poczucia obowiązku? Ach, nie! Już wiem! Pragnął pan dodać jej otuchy, wynagrodzić trudy...?

- Milczże, Piffkin, bo jak babkę kocham... Zresztą mniejsza o to.

- Tak, jasnie panie? Chciałby pan coś dodać?

- Nie, nie chciałbym. Dość się już nagadaliśmy. Uznajmy, że postawiłeś na swoim. Nie mam czasu się z tobą sprzeczać. Luther, pistolety gotowe? W takim razie idziemy. Jak u ciebie ze strzelaniem, Piffkin? Równie dobrze jak z jazdą wierzchem?

Kamerdyner pogłaskał się po łysinie.

- W tych okolicznościach przynajmniej jeden z nas powinien zdobyć się na szczerść. Niech to będę ja. Otóż nie, paniczu Valentine. Strzelanie z pewnością nie jest moją mocną stroną. Co nie znaczy, że nie jestem uzbrojony. - Sięgnął za pazuchę i wyjął jakiś dziwaczny przedmiot.

- Co to jest, u licha?

- Moja najlepsza karbownica. W razie potrzeby może posłużyć za broń. Jest nie gorsza niż łom.

- Wierzę ci na słowo. Nic dziwnego, że ty i Daisy tak szybko przypadliście sobie do gustu. W drogę. I módlcie się, żebym po drodze zdążył obmyślić jakiś plan. W przeciwnym razie będzie z nami krucho...

Redgrave pocieszał się myślą, że przynajmniej przez jakiś czas bractwo chce go mieć żywego. A skoro tak, to żeby zwabić go z powrotem do Fernwood, muszą użyć kogoś w charakterze przynęty. Najwyraźniej miała im za nią posłużyć Daisy. Ale skąd wiedzieli, że bez niej by nie wyjechał?

- Po mojej ucieczce - zaczął, zwracając się do Piffkina - postanowili nagle uwięzić

pannę Marchant. Zachodzę w głowę dlaczego. Byliśmy bardzo dyskretni. Nikt nigdy nie widział nas razem. Mimo to są przekonani, że jej tu nie zostawię. Jak to możliwe?

- Nie mam pojęcia, ale liczę na to, że mnie pan oświeci.

- Przypuszczam... a właściwie jestem niemal pewien, że zdradziła ją lady Caroline. Celowo albo przypadkowo. To jedyne sensowne wytłumaczenie. Tylko ona była wtajemniczona w nasze plany. Ale skoro tak, to czemu pozwoliła wyjechać dzieciom?

- Lady Mailer nie dba o pasierbów. Wiem to od ich piastunki.

Coś było na rzeczy. Val nie wiedział jeszcze co, ale czuł, że lady Caro miała bezpośredni związek ze zniknięciem Daisy.

- Twierdziła, że chce uciekać z nami, mam rację?

- Z początku się opierała. Obawiała się, że nas złapią. Potem nalegała, żeby dać jej trochę czasu na spakowanie rzeczy. Panna Marchant przyprowadziła do nas Agnes oraz dzieci i wróciła po nią do domu. Od tamtej pory nie dała znaku życia.

- Właśnie. Wniosek nasuwa się sam. Musimy traktować Mailerową jak wroga, przynajmniej dopóki Daisy nie zaprzeczy naszym domysłom.

Kiedy dotarli do szczytu urwiska, Val spojrział w dół. Chata była dobrze schowana pomiędzy drzewami. Nie zauważył jej, kiedy był tu poprzednim razem. Na szczęście Charfield okazał się niewyczerpanym źródłem informacji. Nie tylko opowiedział mu o tajnej kryjówce stowarzyszenia, lecz także poinstruował go, jak do niej dotrzeć.

- Po lewej stronie jest ścieżka, panowie. Na miejscu zastaniemy pewnie nie więcej niż sześcioro członów bractwa. Powiedziałem, „sześcioro”, bo jest wśród nich kobieta. Rozpoznacie ją po masce. Luther, rób swoje, a potem zapomnij, żeś tu był i cokolwiek widział.

- Tak jest, sir. Zrobię, co w mojej mocy.

- Jeżeli ktoś wyciągnie broń, strzelaj pierwszy i to tak, żeby zabić. Nie wahaj się ani chwili, nawet jeśli będzie chodziło o ową kobietę.

- Ale, sir...?

- Tak, dobrze słyszałeś. To ich przywódczyni. Jesteśmy na miejscu. Widzicie?

Piffkin na próżno wyteżał wzrok.

- Nic tu nie ma, jasnie panie. W każdym razie nic, co przypominałoby chatę.

- Charfield powiedział mi, że jest częściowo wbudowana w szczelinę w ścianie kamieniołomu. W tym cały sekret. Obejdę ją dookoła i poszukam wejścia. Wy na razie zostańcie tutaj. Kiedy skończę rekonesans, wrócę do was i zastanowimy się, co dalej, zgoda?

Służący kiwnął głową. Tym razem obyło się bez protestów.

- Zgoda.

Valentine wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Tak naprawdę wcale nie pytałem cię o pozwolenie. Luther, daj mi swój surdut. W tej białej koszuli za bardzo rzucam się w oczy.

- Ale... to prezent od mamy, sir. Sama go dla mnie uszyła.

- Tym lepiej. Będę miał o jeden powód więcej, by nie zaplamić go krwią.

Wszystko pójdzie jak po maśle, pomyślał. Daisy jest już blisko. Czuję to.

Wyszedłszy zza drzew, przesunął dłoń wzdłuż kamiennej ściany, aż w końcu natrafił na drewniane belki. Wyjrzał za róg. Budynek był niski, zaledwie dwupiętrowy i dość długi. Z całą pewnością nie przypominał opływającego w luksusy pałacu. Pośrodku znajdowały się pojedyncze drzwi, a nad nimi dwa niewielkie okna, przez które wypływało światło ze środka. Na piętrze okna były większe, zaciemnione i zasłonięte kotarami. Jedno z nich miał jakieś dwa metry nad głową.

We trzech damy radę, doszedł do wniosku. Jesteśmy uzbrojeni po zęby. Karbownica Piffkina...

Raptem usłyszał jakiś hałas i zamarł. Nie miał pojęcia, skąd dochodzi ów dziwny dźwięk. W mgnieniu oka wyciągnął pistolety i rozejrzał się na boki.

- Kimkolwiek jesteś, nie waż się patrzeć w górę! Valentine? To ty? Jak mnie tu znalazłeś? Nie, czekaj. Nic nie mów. Złap to i nie patrz w górę!

Val rzecz jasna natychmiast spojrział. Nim zdążył cokolwiek dostrzec, na jego twarzy wylądowało coś ciężkiego i wilgotnego.

- Co, u licha...? - mruknął, uwalniając się od wielkiego ręcznika.

Daisy wisiała nad nim na zaimprovizowanej linie, robiąc co w jej mocy, aby nie kręcić się w kółko. Najpierw zobaczył jej obwiązane strzępami płótna stopy i odsłonięte łydki, a potem...

- Gdzie twoje ubranie?

- Jako dżentelmen powinieneś udawać, że niczego nie zauważyłeś. - Choć mówiła szeptem usłyszał w jej głosie przyganę.

- Puść się już - polecił, wyciągając ku niej ramiona. - Jesteś wystarczająco nisko. Złapię cię.

- Dobrze, puszcę się, ale pod warunkiem że nie będziesz patrzył. Zamierzałam wymknąć się niepostrzeżenie i zacząć cię szukać. Pokrzyżowałeś mi szyki. O mój Boże, co za wstyd. Zamknij oczy.

- Na miłość boską, Daisy. Nie mamy czasu na ceregiele. Schodź, nie będę patrzył. Zerknę sobie jeszcze tylko raz... Dosłownie na momencik...

Chwycił ją za łydkę, żeby przestała kręcić się w kółko i zacisnął powieki.

Po chwili trzymał ją w ramionach, ale trwało to zaledwie ułamek sekundy. Uciekła mu, gdy tylko poczuła grunt pod nogami.

- Nie otwieraj oczu - rozkazała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Znakomicie. Będę tkwił tak do białego rana, ale przynajmniej oszczędzę sobie widoku łajdaka, który skorzysta z okazji, zajdzie mnie od tyłu i przystawi mi pistolet do szyi. Zresztą nie po raz pierwszy tego dnia.

- Och! Wybacz, nie pomyślałam o tym. Ale... nie ma tu nikogo oprócz nas. W porządku. Już możesz patrzeć.

Jaka szkoda, pomyślał niepoczyszony, stwierdziwszy, że owinęła się ręcznikiem, który kilka minut wcześniej spadł mu na głowę. Zasłoniła przy tym najlepsze partie swojego powabnego ciała. Burza rudych loków sięgała jej za ramiona, a policzki miała wymalowane, tak żeby przypominać... Dosyć! - zrugął się w myślach.

- Bardzo ci w nim do twarzy - powiedział, obejmując dłoń, którą ścisnęła poły ręcznika. Miał ochotę ją pocałować, ale wiedział, że dałaby mu reprimendę. Powiedziałyby, że to nie miejsce i nie czas na takie rzeczy. I miałyby rację. Powinni jak najprędzej się stąd oddalić i opuścić Fernwood.

- Nie zrobili ci krzywdy?

- Nie, ale klnę się na Boga, że sama chętnie wyrządziłabym komuś krzywdę.

Przypomnij mi o tym, jeśli kiedykolwiek natkniemy się ponownie na lady Caroline, Davinię albo tę okropną kobietę z bractwa. Gdzie my właściwie jesteśmy?

- Ćśś... Nie podnoś głosu, słońce. Mogą nas usłyszeć. Jesteśmy u podnóża klifu. Jak się zapewne domyślasz, właśnie miałem cię uratować.

- Och, wybacz, że ci przeszkodziłam - rzekła, głaszcząc go czule po policzku. - Jestem pewna, że znakomicie wywiązałaś się z tego zadania.

Mógłby przysiąc, że się zarumienił.

- Hm... dziękuję. Musimy iść. Nic nas tu już nie trzyma. Misja zakończona. Dowiedzieliśmy się o Towarzystwie całkiem sporo, przechwyciliśmy też Charfielda... Jeśli nie liczyć drobnych potknięć, doskonale się spisaliśmy, nie sądzisz? Tak czy owak, pora się ewakuować. Moja armia składa się ze starca uzbrojonego w karbownicę oraz młodziana o imieniu Luther, który ma jeszcze mleko pod nosem i boi się o swój cenny surdut - podarek od mamy, własnoręcznie przez nią uszyty. Nie chciałabyś się nim okryć?

- Za moment. To znaczy, za moment możemy iść. Najpierw chcę zajrzeć do środka i zobaczyć, co się tam dzieje. A może ty już zaglądałeś?

- Miałem taki zamiar, ale coś mi nagle... spadło na głowę.

Przewróciła oczami.

- Ile razy mam przeproszać, że weszłam ci w paradę? Będziesz mi to wypominał do końca... Och, nie stój tak, chodźmy już.

- Pragnę zauważyć, że wcale się nie skarżyłem. - Pozwolił, by pociągnęła go w stronę jednego z okien na parterze. - Odkąd to jesteś taka dzielna?

- Dzielna? Raczej przerażona. I wściekła.

- Nierozważna i porywcza?

- Cóż, nie da się ukryć.

- Bądź pewna, że poinformuję o tym Piffkina. Uzna, że musi pilnować nas obojga, i może wreszcie przestanie piąć z zachwyty nad twoimi licznymi cnotami.

Przystanęła i odgarnawszy włosy, spojrzała na niego przez ramię.

- Idź przodem. Córka duchownego nie powinna wystawiać oczu na takie widoki.

- Guwernantka też nie. - Ścisnął ją za rękę, po czym przesunął się i zerknął do wnętrza chaty. - Słodki Jezu - syknął przez zęby.

Izba wyglądała nie lepiej niż jaskinia. Na drewnianej podłodze rozrzucono w nieładzie kilka dywanów i sterty kolorowych poduszek. Było także co najmniej pół tuzina kanap i tyle samo krzesel. Na jednej ze ścian zauważył kajdany i prowizoryczny... pręgierz. Jednym słowem, okropieństwo.

Przy stole po lewej stronie siedzieli zamaskowani członkowie Towarzystwa. Podawali sobie po kolei coś na kształt nargili. Zapewne odurzali się opium. Mailer jako jedyny nie miał na sobie kostiumu. Sprawiał wrażenie mocno przerażonego, a kiedy sięgnął po fajkę, jeden z zebranych wyrwał mu ją z ręki. Hammer, pomyślał Val, spostrzegłszy na jego nadgarstku bandaż.

O dziwo, nie było z nimi przywódczyni.

Były za to inne kobiety. A dokładnie sześć kobiet. Siedziały po drugiej stronie pomieszczenia. Wszystkie odziane, a raczej obnażone w podobny sposób jak przed

chwilą Daisy. Jedna drzemała skulona w kącie. Dwie trzymały się za ręce i wyglądały na wystraszone. Pozostała trójka grała w karty.

- Niezbyt wesoła gromadka - szepnął, gdy wrócił na swoje miejsce. - Na razie niewiele się dzieje. Zdaje się, że moja ucieczka pokrzyżowała im szyki. Bądź ostrożna.

Daisy skinęła głową i podeszła do okna. Najpierw zerknęła na członków stowarzyszenia, potem przeniosła wzrok na kobiety. Wpatrywała się w nie tak długo, że Val zaniepokoił się i spróbował odciągnąć ją na bok.

- Musimy iść - ponaglił szeptem.

Nie zareagowała.

Chciał wziąć ją za rękę, ale ścisnęła kurczowo parapet i tkwiła w miejscu jak zahipnotyzowana.

- To ona... Tak... jestem prawie pewna... To Rose... Moja siostra...

- Ćśś... Daisy, kochanie, usłyszają cię... - Znając ją, wiedział, że może zrobić coś nieobliczalnego. - Chodź. Stoimy tu stanowczo za długo. Wrócimy po nią. Coś wymyślimy, ale teraz... Co, do diaska?

Siedzący przy stole mężczyźni nagle wstali i stanęli nad struchlałym ze strachu Mailerem. Potem wszyscy po kolei opuścili kciuki i poderwali go z krzesła.

Charles darł się wniebogłosy i usiłował za wszelką cenę ustać w miejscu. Towarzysze pozostali jednak nieugięci. Chwycili go za poły surduta i pociągnęli w stronę drzwi.

Hammer krzyknął coś do dziewcząt, które także wstały i ruszyły do wyjścia, zając po drodze kilka lamp.

- Już po nim - stwierdził Valentine. - Idziemy, prędko. Nie ma chwili do stracenia. - Chwyciwszy Daisy w pól, przewiesił ją sobie przez ramię niczym worek mąki i pobiegł przed siebie, jakby goniło go stado wilków.

- Piffkin! Luther! Jazda w krzaki!

Kamerdyner ściągnął w biegu surdut i podał go pannie Marchant.

Kiedy odbiegli wystarczająco daleko i skryli się w zaroślach, Valentine postawił Daisy na nogi i przyglądał jej się z uśmiechem, kiedy zapinała guziki. Marynarka Piffkina sięgała jej do kolan.

- Bardzo twarzowa - stwierdził, cmokając ją w nos. - We wszystkim ci ładnie. Wszyscy na ziemię i ani mru-mru!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- To ona. Jestem niemal pewna, że to była ona. - Daisy pociągnęła Valentine'a za rękaw.

- Proszę cię, bądź cicho - próbował przemówić jej do rozsądku. - Nie pomożemy jej, jeśli nas złapią.

Poczuła na policzkach łzy i otarła jej mankietem. O mój Boże, pomyślała bez związku, zrujnowałam surdut pana Piffkina... W dodatku leżę w krzakach, prawie goła w towarzystwie trzech mężczyzn. Całe szczęście, że nie zależy mi przesadnie na reputacji... Zresztą, palicho konwenanse. Najważniejsze, że Rose żyje. Wcale nie umarła!

- Tak, wiem, kochanie. - Val objął ją ramieniem i przyciągnął bliżej siebie. - Postaraj się zachować spokój. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Czyżby myślała na głos? A może po prostu zauważył, że drży, i dlatego postanowił ją przytulić?

- Słyszysz? Idą.

Nadstawiła uszu.

Niebawem rozległo się znajome, monotonne nucenie: „Wysłuchaj nas, Szatanie. Wzywają cię twoi wierni słudzy... Raduj się wraz z nami. Przyjmij w ofierze nieudacznika niegodnego twoich łask. Namaść nas, Szatanie...”.

Wzdrygnęła się i zasłoniła uszy, lecz nic nie zdołało zagłuszyć przeraźliwych krzyków i szlochów Mailera.

- Zdaje się, że zamierzają ukarać Charlesa za jego liczne niepowodzenia - szepnął jej do ucha Val.

- Chcą go zamordować i złożyć w ofierze? - spytała z niedowierzaniem. - Ale chyba... nie możemy im na to pozwolić, prawda?

- Jeśli o mnie idzie, nie widzę przeszkód. Wiedział, ile ryzykuje i co go może spotkać. Sam jest sobie winien. Jak mawia moja babka: „jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz”. Kobiety idą na czele procesji. Wygląda na to, że są czymś odurzone. Chciałbym, żebyś im się dokładnie przyjrzała. Musimy mieć całkowitą pewność, że to Rose. I pamiętaj, nie wolno ci hałasować, więc pod żadnym pozorem nie krzycz.

Półnagie dziewczęta przeszły z wolna obok nich. Każda niosła w ręku lampę. W słabym świetle ich wymalowane twarze wyglądały dość makabrycznie, jak twarze pozbawionych życia porcelanowych lalek.

- A niech mnie... - odezwał się Luther. Najwyraźniej nie był przygotowany na taki widok.

Niewiele myśląc, Piffkin zakrył mu dłońią oczy.

Daisy z trudem łapała oddech. Miała wrażenie, że serce za moment wyskoczy jej z piersi.

- Jest - powiedziała cicho. - Idzie w ostatniej parze. Ta blondynka z kręconymi włosami. Widzisz ją? Boże drogi, to naprawdę ona... Cały czas tu była, tak blisko... A ja... ja myślałam, że ona...

- Spokojnie, słońce - dodawał jej otuchy Valentine. - Nie bój się, nie zrobią jej

krzywdy. Dziś są zajęci kimś innym. I mają pełne ręce roboty. Sama słyszysz.

W istocie Mailer nie pogodził się jeszcze ze swoim losem. Kiedy pozostali członkowie bractwa nieśli go nagiego w stronę ołtarza, jego wrzaski odbijały się echem po całej okolicy.

- Przestańcie! Błagam was! Nie róbcie mi tego. Wystarczy, że jeden z was się sprzeciwi! Potrzebny mi jeden głos! Tylko jeden głos! Proszę! Hammer, zrób coś. Przekonaj ich, żeby mnie zaniechali! Wynagrodzę ci to. Znasz mnie. Wiesz, że zawsze dotrzymuję słowa. Dam ci wszystko, co tylko zechcesz! Fernwood będzie twoje. Na miłość boską, miejcie litość!

- Nie! Axbridge, niech cię diabli! To ja wprowadziłem cię do Towarzystwa! Jesteś tu tylko dzięki mnie, łajdaku! Tak mi się odwdzięczasz? Za wszystko, co dla ciebie zrobiłem? Czego chcecie? Mówcie! Chcecie dzieci? Weźcie je sobie! Nie dbam o nie. Błagam! Jeden głos!

Nucenie z każdą chwilą stawało się coraz cichsze, aż w końcu całkiem ucichło, gdy cała grupa dotarła na szczyt klifu.

- Paniczu Valentine - zaczął Piffkin - jeżeli spróbuje pan ocalić tę przebrzydłą kanię, to nie rękę za siebie. Jak mi Bóg miły, własnoręcznie pana powstrzymam, choćbym miał posunąć się do użycia siły.

Redgrave z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Na szczęście nie będziesz musiał. Poza tym to nie jego będziemy ratować. Zauważyłeś tę blondynkę z długimi lokami?

- Owszem - odparł zwięźle służący.

Daisy położyła mu rękę na ramieniu.

- To moja... - zawahała się.

- Przyjaciółka - dokończył za nią Val. - Bardzo bliska przyjaciółka. To właśnie po nią panna Marchant przyjechała do Fernwood. Prawda, Daisy?

- Tak, właśnie... - przytaknęła natychmiast. Przypuszczała, że kamerdyner zna prawdę. Valentine pewnie podzielił się z nim zawartością jej dziennika. Jednak dla dobra Rose lepiej było, żeby pozostali ludzie Redgrave'ów nie znali jej prawdziwej tożsamości. - Tak się cieszę, że ją odnaleźliśmy.

- Naturalnie, pojmuję - skwitował Piffkin. - To zrozumiałe. Nie wypada nam zostawić jej tu na pastwę owych szaleńców. Zdaje się, że wybawianie dam z opresji to pańska specjalność, prawda, paniczu Valentine?

Wszyscy troje spojrzeli na Redgrave'a, lecz on był zajęty nasłuchiowaniem.

- Cicho. Słyszycie? Tętent kopyt. - Kiwnął głową w stronę ścieżki.

Wkrótce ukazały się na niej dwa konie. Jednego dosiadał jeździec. Drugi kłusował obok, trzymany za wodze. Oba miały przywiązane do siodeł sakwy podróżne.

- Aha, jest i kobieta. Zastanawiałem się, gdzie się podziewa. Szkoda, że nosi przebranie i maskę. Prawdopodobnie nie dowiemy się, kim jest. Będziemy musieli ją puścić, dokądkolwiek się wybierze. Ciekaw jestem, kogo zamierza ze sobą zabrać. Luther, za mną.

Kiedy Redgrave i jego eskorta zniknęli im z oczu, panna Marchant zwróciła się do kamerdynera:

- Ruszamy na pańską komendę, panie Piffkin. Nie kazał nam na siebie czekać ani zostać na miejscu, więc...

Służący uśmiechnął się szeroko i skinął głową.

- W takim razie na trzy. Skromność nakazuje mi pójść przodem.

Popatrzyła na swoje niekompletne odzienie i westchnęła.

- Dziękuję, że pan o tym pomyślał.

- Myślałem raczej o sobie... Nie powinienem się teraz rozpraszać, sama pani rozumie.

- Och! - Zarumieniła się jak wiśnia i spuściła wzrok.

- Raz, dwa, trzy!

Na szczęście trzymali się wydeptanej ścieżki. Daisy zaczynała odczuwać trudy marszu po wybojach. Miała we włosach pełno ostów i krwawiły jej stopy. Wprawdzie obwiązała je strzępami ręcznika, lecz niewiele to pomogło.

- Będziemy tylko obserwować rozwój wypadków, zgoda, panie Piffkin? Jestem pewna, że pan Redgrave także wolałby się nie rozpraszać.

- Naturalnie. Zgadzam się w zupełności.

Daisy ani przez chwilę nie wątpiła w Valentine'a ani w to, że uda mu się uratować jej siostrę. Postanowiła mu o tym powiedzieć. Zanim on zbeszta ją za to, że znów była krnąbrna i go nie posłuchała.

Gdy ich uszu dobiegły podniesione głosy, przystanęli i schowali się w zaroślach.

- Zabierasz Scarleta i wyjeżdżasz? Dlaczego?

- Śmiesz kwestionować moje decyzje? - Przywódczyni wyraźnie nie była zadowolona z tego, co zobaczyła i usłyszała. - Nie dociera do was, co się dzieje? Dziewczyna uciekła. Wszyscy pakujemy manatki i wyjeżdżamy.

- Post nigdzie nie jedzie. To przez niego mamy kłopoty. On jest temu winien i poniesie zasłużoną karę! Tak nakazuje kodeks. Mamy prawo odjąć mu męskość.

- Tak ci spieszno przejąć po nim schedę, Hammer?

- Hammer ma rację! Post naraził nas na śmiertelne niebezpieczeństwo. Osądziliśmy go, więc możemy wykonać wyrok. Chyba że ktoś zechce go ułaskawić...

Charles zrezygnował z wrzasków i zaczął szlochać.

- Tak! Jeszcze możesz mnie uratować - zwrócił się do kobiety. - Zawsze byłem wobec ciebie lojalny. Błagam cię, nie rób mi tego!

- Racja, możesz przesądzić o jego losie - potwierdził ktoś, kto do tej pory milczał.

Daisy wstrzymała oddech. Rozpoznała go. To jego głos słyszała w bibliotece, gdy w rozmowie z Mailerem wydał wyrok na Valentine'a. I to on nosił przydomek Scarlet.

- Wiedzą o nim - przemówiła przywódczyni. - Znają jego tożsamość, więc stał się dla nas bezużyteczny. Głosuję za wykonaniem wyroku.

Scarlet roześmiał się, jakby powiedziała coś wielce zabawnego.

- Sama chcesz go wykonać, mam rację? Świat się nie zawali, jeśli wyjedziemy kilka minut później. Śmiało, użyj mojego sztyletu.

- Znasz mnie na wylot - odparła przymilnym tonem kobieta.

- A co z dziewczętami? - dopytywał się Hammer. - Nie zdążyliśmy się nawet zabawić...

- Wszystko muszę wam tłumaczyć? To miejsce przestało dla nas istnieć. One także już nam się nie przydadzą. Pozbądźcie się ich. Znajdziemy inne. Hammer, odsuń się od ołtarza.

Daisy zareagowała instynktownie. Odepchnęła Piffkina i puściła się biegiem przed siebie. Gnała na oślep, raz po raz wstając i upadając. Usłyszała przeraźliwy wrzask i na moment zamarła. Zakryła usta, żeby nie krzyknąć, a potem znowu zaczęła pędzić, ile sił w nogach.

- Daisy! Stój! - Ktoś nagle złapał ją w pól i przycisnął do ziemi. - Już dobrze. Mamy ją. Nic jej nie jest. Zobacz, jest tu z nami. Byli zbyt zajęci Mailerem. Zupełnie nie zwracali uwagi na dziewczęta. Wyprowadziliśmy po kolei wszystkie. Muszę wracać do Luthera. Biedaczysko pewnie nie wie, co zrobić z piątką kobiet. Niewykluczone, że usłyszycie strzały, ale nie bójcie się. Chcemy ich tylko popędzić do wyjazdu. Zostańcie tutaj. Niedługo wrócę.

Daisy kiwnęła głową, po czym porwała siostrę w objęcia. Ścisnęła ją z całych sił, jakby już nigdy nie zamierzała jej puścić. Wciąż nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Modliła się o cud i Bóg jej wysłuchał.

- Rose, to ja, Daisy. Wszystko będzie dobrze. Już nic ci nie grozi. Jesteś bezpieczna. - Rozpięła surdut i przykryła nim jej odsłonięte ramiona.

- Panno Marchant, proszę. Lepiej, jeśli obie będziecie miały się czym okryć.

Zamrugnęła gwałtownie, żeby odpędzić łzy, i spojrzała z wdzięcznością na Piffkina, który trzymał w wyciągniętej dłoni koszulę. Miał na sobie już tylko biały podkoszulek. Sądząc po jego minie, czuł się dość niezręcznie. Poza tym on także podejrzenie często mrugał.

- Na pewno jej pan nie potrzebuje?

- Na pewno.

- Panie Piffkin? Czy mi się zdaje, czy pan... płacze?

- Ja? Ależ skąd, panno Daisy. Ja miałbym płakać? Przeciwnie, jestem wyjątkowo zadowolony z życia. Zwłaszcza że mój podopieczny prawdopodobnie właśnie strzela do ludzi.

Milcząca dotąd Rose w końcu odważyła się odezwać.

- Ta kobieta... ona... ona... odcięła mu... A potem inni też zaczęli go dźgać... On chyba naprawdę nie żyje... Sprawdźcie, czy go zabili? Muszę mieć pewność...

Daisy głaskała ją po włosach i kołysała w ramionach jak wystraszone dziecko.

- Możesz być pewna. Mailer nie żyje. I już nigdy cię nie skrzywdzi. Zabiorę cię stąd i zajmę się tobą. Będziemy tylko we dwie, tak jak kiedyś. Zobaczysz, niedługo zapomnisz, że to się kiedykolwiek wydarzyło. Obiecuję ci... Rose, poznajesz mnie? To ja, Daisy... Powiedz coś... Odezwij się...

Odpowiedziała jej cisza.

Piffkin wyjął skądś chusteczkę i głośno wydmuchał nos.

- To ten lek, panno Marchant. Panicza Valentine'a też nim odurzyli. Proszę uzbroić się w cierpliwość. Niebawem jej przejdzie i znów będzie sobą. Tymczasem proponuję, żebyśmy poczekali na naszych towarzyszy u podnóża klifu. Nie mam ochoty wspinać się nań jeszcze raz. Potem przekradnę się do domu i spróbuję znaleźć dla pań nieco... hm... stosowniejsze odzienie.

Lorda Mailera oraz jego małżonkę pochowano we wspólnym grobie na cmentarzu w Fernwood. Ich służąca, Davinia, spoczęła w bezimiennej mogile nieopodal państwa.

Według oficjalnych doniesień Charles zginął z ręki wzgardzonej żony, która nęka-
na wyrzutami sumienia, zgładziwszy męża, odebrała życie samej sobie.

Zdaniem głoszącego ową wersję wydarzeń Redgrave'a, prawda byłaby znacznie
gorsza od fikcji, zwłaszcza dla Bogu ducha winnej rodziny, a w szczególności nielet-
niego potomstwa Mailera, to jest Williama i Lydii.

Valentine natknął się na ciała kobiet, kiedy wraz z Piffkinem wrócili do rezydencji,
aby znaleźć należyty przydzwiek dla panny Marchant i jej siostry.

Lady Caroline miała fachowo podcięte gardło, pokojówka zaś leżała obok niej
z twarzą przyciśniętą do podłogi i z nożem w plecach.

Nazajutrz po „tragedii” Val spotkał się z bratem Charlesa, który mieszkał z rodzi-
ną około dziesięciu mil od Fernwood i został niezwłocznie powiadomiony o nieszczę-
śliwych wypadkach.

Na miejscu Redgrave przekonał się na własne oczy, że bracia byli do siebie po-
dobni wyłącznie pod względem fizjonomii. Poza tym drobnym szczegółem różniło
ich bodaj wszystko. Kiedy poznał uroczą żonę hrabiego, odetchnął z ulgą. Zyskał
pewność, że Lydia i William zaznają u wujostwa szczęśliwego dzieciństwa. I wresz-
cie poczują się naprawdę kochani.

- Jeszcze raz dziękuję, panie Redgrave - rzekł hrabia. - Bardzo nam pan pomógł.
Przeczuwałem, że Charles źle skończy. Próbowałem go przestrzec, ale sam pan ro-
zumie... niektórzy nie pozwalają sobie pomóc. Jego pierwsza żona ponoć także po-
pełniła samobójstwo. W każdym razie takie krążyły pogłoski. Żałuję, że gościł pan
w Fernwood akurat wtedy, kiedy doszło do tego strasznego nieszczęścia. Jestem
panu ogromnie zobowiązany za wsparcie, a przede wszystkim za dyskrecję.

- Cieszę się, że mogłem zrobić choć tyle. Bardzo polubiłem państwa bratanka
i bratanicę. To urocze maluchy. Wracam do Londynu, kiedy tylko uporam się z zała-
dunkiem bagaży.

- A zatem szczęśliwej podróży. - Panowie uścisnęli sobie ręce, po czym hrabia
wsiadł do powozu, w którym czekała na niego małżonka oraz dzieci Charlesa.

- Żegnaj, mój księżę! - zawołała Lydia, wychylając się przez okno.

- Byłbym zapomniał. - Valentine wziął od Piffkina bukiet polnych kwiatów i wrę-
czył go dziewczynce z dwornym ukłonem. - Do widzenia, księżniczko - rzekł, ma-
chając jej ręką na pożegnanie.

Willie nawet na niego nie spojrział. Był zbyt zajęty obserwowaniem upolowanych
poprzedniego wieczoru żab.

- Biedulka - westchnął kamerdyner. - Przez pana jest stracona dla świata. Prze-
mierzy wzduż i wszecz cały kraj, żeby znaleźć drugiego takiego jak pan. I nie znaj-
dzie, bo dzięki Bogu, jest pan jedyny w swoim rodzaju.

- Cóż począć. - Val posłał mu bezczelny uśmiech. - Prawda jest taka, że trudno mi
dorównać. Gdybyż równie łatwo było podbić serce Daisy... Coś mi się zdaje, że jest
bardziej odporna na moje wdzięki niż Lydia. Czy Luther wyruszył już w drogę?

- Niebawem, jaśnie panie, niebawem. Wyjedzie, kiedy tylko upewni się, że sku-
tecznie zaproszył ogień. Czy to aby na pewno dobry pomysł? Mielibyśmy się z pysz-
na, gdyby się okazało, że niechcący wznieciliśmy pożar na całą okolicę.

- Bez przesady. Panujemy nad sytuacją. Chata jest otoczona skałami, a te nie są
łatwopalne.

- Racja.

- Poza tym to piekielne miejsce powinno stanąć w płomieniach, nie uważasz?

- Cóż, nie zaprzeczę.

Twitchill w towarzystwie Roberta i dwóch innych członków eskorty wjechali właśnie na dziedziniec i zatrzymali przed nimi powóz.

- Oho, jest i Luther - zauważył Redgrave. - Ciekaw jestem, jak się miewa. Miał ostatnio mnóstwo wrażeń. Nie przytłoczyły go czasem?

- Hm... powiedzmy, że po tym, kiedy wyprawił do Londynu ocalałe dziewczęta, jest zupełnie innym człowiekiem. Dodam, że były mu „niezmiernie” zobowiązane, jeśli wie panicz, o co mi idzie. Krótko mówiąc, nasz młodzian jest tak odmieniony, że pewnie nie pozna go własna matka.

- Odmieniony na lepsze, jak mniemam?

- Nie mnie o tym sądzić, ale zdradził mi dziś, że nareszcie wie, o co chodziło posługaczce z gospody, która próbowała wyciągnąć go na spacer i raz po raz mrugała do niego okiem.

Valentine roześmiał się, po czym podszedł do powozu i rozłożył schodki.

Zajrzawszy do środka, uśmiechnął się zachęcająco. Rose była bardzo nieufna. Lgnęła do Daisy i trzymała się kurczowo jej spódnicy za każdym razem, kiedy widziała w pobliżu mężczyznę. Tylko przy nim i przy Piffkinie czuła się w miarę swobodnie. Val był jej wybawcą, więc pewnie była mu wdzięczna, co do Piffkina, cóż... kamerdyner był wobec niej bardzo troskliwy, nazywał ją „panną Rose” i traktował jak damę. Poza tym na okrągło obsypywał podarkami. Przynosił jej ze wsi czekoladki, pralinki, wstążki do kapelusza i tym podobne drobiazgi.

Redgrave nie mógł się powstrzymać i drwił ze służącego przy każdej sposobności. Przyszło mu nawet do głowy, że gdyby Piffkin nie był od Rose o czterdzieści lat starszy, musiałby zapytać go, jakie ma wobec niej zamiary. Kiedy jednak powiedział to na głos, kamerdyner pierwszy raz w życiu zażądał od niego przeprosin.

- Moje uszanowanie paniom - odezwał się, uchylając kapelusza. - Obie wyglądacie przeuroczo. Przypuszczam, że rade jesteście opuścić wreszcie gospodę...

- Jak się mają dzieci? - dopytywała Daisy. - Nie marudziły przy wyjeździe?

Rose uśmiechnęła się nieśmiało i natychmiast spuściła głowę. Wyglądała na wyścieńczoną, ale bez wątpienia była niezwykle urodziwą młodą kobietą.

- Ucieszyły się, że będą mieszkać z wujostwem i kuzynami. - Spoglądając to na jedną to na drugą, Val zastanawiał się, czy przystaną na jego propozycję. Chciał, żeby Rose pojechała z Piffkinem i jedną z pokojówek z Fernwood w charakterze przyzwoitki. Dzięki temu mógłby spędzić całą drogę sam na sam z Daisy.

- Co się tyczy podróży - zaczęła, jakby czytała mu w myślach. - Nie sądzę, aby był to dobry pomysł...

Siostra powstrzymała ją, kładąc jej dłoń na ramieniu.

- Nie ma powodu do obaw. Piffkin i ja doskonale poradzimy sobie sami. No i będzie z nami Cloris, więc nie musimy martwić się o konwenanse. Zresztą to tylko dwa dni. Piffkin mówi, że dość się już napłakałam. Zdaje się, że wszyscy wylaliśmy całe morze łez. Powiedział też, że kiedy znajdę się w Redgrave Manor, będę wśród przyjaciół i natychmiast poczuję się lepiej. Wkrótce zapomnę o tym, co mi się przytrafiło, zacznę myśleć o przyszłości i snuć plany. Czy nie tak, Piffkin? Mam nadzieję,

że dokładnie powtórzyłam twoje słowa.

- Co do joty, panienko Rose, ale jeśli mamy zdążyć na dzisiejszy nocleg, powinniśmy czym prędzej ruszać w drogę.

Daisy zmarszczyła brwi, a Valentine wstrzymał oddech. Nigdy dotąd nie słyszał, by ktoś w tak krótkim czasie tyle razy przywoływał nazwisko Piffkina. Rose mówiła o nim albo do niego praktycznie bez przerwy. Pomyślał, że kamerdyner zasłużył na pokaźną podwyżkę. Prawdę mówiąc, miał szczerą ochotę ucałować jego łysą czaszkę.

- Skoro nie masz nic przeciwko temu... - odezwała się wreszcie Daisy. - Zobaczymy się wieczorem. - Objęła siostrę i ucałowała ją w policzek. - Wiesz, że bardzo cię kocham, prawda?

- Tak, ja też cię kocham, Daisy - odrzekła Rose i spojrzała wprost na Valentine'a. - Jeszcze raz dziękuję, panie Redgrave. Za to, że się pan nią zajął i ocalił mi życie. No i za wszystko, o czym powiedział mi Piffkin.

Panna Marchant popatrzyła na nich ze zdumieniem.

- Wszystko, o czym powiedział ci Piffkin? Czyli co?

- Nie teraz, moja droga - interweniował pospiesznie Val. - Będziecie miały mnóstwo czasu na rozmowę później. Teraz musimy jechać. Nadal nie jesteśmy tu bezpieczni, a w każdym razie nie powinniśmy przebywać w Fernwood dłużej niż to absolutnie konieczne.

Chwilę później Daisy stała obok Valentine'a, machając siostrze na pożegnanie.

- Co takiego powiedział jej pan Piffkin? - powtórzyła, gdy powóz zniknął w oddali.

- Aha! Dym! Widzisz? - Zignorował pytanie i spojrzał w stronę urwiska. - Pora na nas.

- Dobrze, ale... Puść... Nie ciągnij mnie tak mocno. Chcesz wyrwać mi ramię? Boże, co to jest? I dlaczego kazałeś przywiązać do tego moją torbę?

- Nie tylko twoją. Mój bagaż też tam jest.

- Gdybym wiedziała, że każesz mi jechać tym... monstrum, uczepiłabym się wcześniej drzwiczek powozu.

Redgrave odebrał wodze od stajennego i podprowadził Daisy do dwukółki Maile-ra. Miała rację, pojazd wyglądał skandalicznie. Był jaskrawoczerwony i miał jasno-żółte koła.

- Robię to na prośbę hrabiego. Domyślił się, że przyjechałem tu bez własnego środka transportu, i zaproponował, bym skorzystał z tego, jak to nazwałaś „monstrum”. Przy okazji, poprosił, bym po przyjeździe w jego imieniu wystawił wóz na sprzedaż. Jestem pewien, że znajdzie się jakiś młody dureń, któremu krzykliwy karykiel przypadnie do gustu. Zrozumiem, jeśli będziesz chciała przez całą drogę chować twarz w połach mojego surduta. Sam pewnie też spalę się ze wstydu, jeżeli w Londynie natkniemy się na któregoś z moich znajomych.

- W Londynie? Sądziłam, że udajemy się do posiadłości twojego brata... Przecież wieczorem mamy się spotkać z Rose. Jedziemy osobno tylko dlatego, że w powozie nie starczyłoby miejsca dla nas wszystkich. Pan Piffkin potrzebuje całej kanapy z powodu... swoich... to jest, chciałam powiedzieć, swego podeszłego wieku...

- Nie zapominaj, że przystałaś na to rozwiązanie, także dlatego że było ci mnie żal. Nie chciałaś, bym jechał wierzchem w pojedynkę.

- Wcale o tym nie zapomniałam, ale teraz żałuję, że dałam się podejść. Przestań szczyrzyć zęby jak wsiowy głupek, Valentine. Nie możemy jechać do Londynu. Rose będzie na mnie czekać.

- Być może tego nie zauważyłaś, ale Piffkin i twoja siostra nawiązali szczególną więź. Przypuszczam, że ufa mu tak samo jak tobie. O wszystkim jej powiedział. Wie, że będziemy mieli niewielkie opóźnienie i spotkamy się dopiero w Redgrave Manor.

- Niewielkie opóźnienie? Wolne żarty. Jeśli wsiądziemy do tej pożałuj Boże bryczki, niewykluczone, że w ogóle nigdzie nie dojedziemy. Nie zdziwiłabym się, gdyby roztrzaskała się w drobny mak pośrodku drogi.

- Bez obaw, jest wprawdzie szpetna, ale za to całkiem sprawna. - Wyciągnął dłoń i pomógł jej zająć miejsce na wąskiej kanapie. Potem usiadł obok i chwycił lejce. Nagrodziwszy stajennego monetą, pożegnał się i ruszył w drogę. Daisy nie była zadowolona, ale przynajmniej przestała zrzędzić. Kiedy wyjechali na trakt, uznał, że pora wyznać jej całą prawdę. Pocieszał się myślą, że jest zbyt rozsądna, żeby wyskoczyć w biegu.

- Spóźnimy się, bo po drodze wybierzemy się na zakupy. Na mój koszt, rzecz jasna. Zarówno ty, jak i twoja siostra potrzebujecie nowych ubrań. Twoje sukienki może i są praktyczne, ale wyglądasz w nich jak... guwernantka. Co się tyczy Rose, jestem pewien, że wolałaby pozbyć się odzienia, które przypomina jej o Fernwood i miesiącach spędzonych w niewoli.

Westchnęła ze zniecierpliwieniem i odparła:

- Owszem, masz rację, niemniej nie widzę powodu, byśmy musieli jechać w tym celu aż do Londynu. Skoro uparłeś się opróżnić sobie kieszenie, możemy zakupić, co trzeba, we wsi w pobliżu Redgrave Manor. Tak się składa, że jestem znakomitą szwaczką. Suknię, którą mam na sobie, uszyłam sama.

Val przyjrzał jej się uważnie i niemal się skrzywił. Ciemnobrązowy worek z przepastnymi kieszeniami i białymi mankietami trudno było nazwać suknią.

- Jest zgrzebna i bura - orzekł tonem znawcy.

- Nie bura, lecz brązowa. W sam raz dla guwernantki. To miło, że pomyślałeś o Rose. Istotnie, dobrze by jej zrobiło, gdyby pozbyła się wszelkich „pamiątek” po Fernwood i Mailerze, ale doprawdy nie ma powodu, byśmy w związku z tym wyprawiali się do stolicy.

- Otóż mylisz się, jest powód. I to bardzo ważny. - Popatrzył na nią, jakby nagle zabrakło mu słów, a potem ściągnął jej z nosa okulary i cisnął je w trawę. - Nie będą ci już potrzebne. Wciąż nie domyślasz się, o co mi idzie?

- Jak widać nie. - Poprawiła się na siedzeniu i utkwiała wzrok w podłodze kolaski. - Zechcesz mnie wreszcie oświecić?

- Zamierzam przedstawić babce narzeczoną, ot co. Nie darowałaby mi, gdyby nie dowiedziała się o tym jako pierwsza z całej rodziny. Jeśli nie liczyć Piffkina, który został wtajemniczony nieco wcześniej. Nawiasem mówiąc, był bardzo rad i życzył nam szczęścia. Czy gdybym nie miał wobec ciebie poważnych zamiarów, pozwoliłbym, żebyśmy jechali taki szmat drogi sami, bez przyzwoitki? - Kiedy skończył przemowę, zapadła nieznośna cisza.

Niedobrze, pomyślał. Milczenie panny Marchant nigdy nie wróży nic dobrego.

- Daisy? - zaczął niepewnie.

Odwróciła głowę i spojrzała na drogę.

- Powiniennem być się oficjalnie oświadczyć, tak? Paść przed tobą na kolana i zrobić wszystko, jak należy... Poprosić o twoją rękę, i tym podobne? Kate zmyje mi głowę. Zawsze powtarza, że mężczyźni z rodu Redgrave'ów nie mają w sobie za grosz romantyzmu. Sęk w tym... to znaczy... sądziłem, że skoro sama jesteś taka praktyczna, możemy darować sobie tego rodzaju ceregiele. Nie przypuszczałem, że tak bardzo dbasz o ceremoniał. Jednym słowem, myślałem, że sprawa jest dla ciebie dość czytelna i oczywista... Pocałowałem cię i to nie raz. Już samo to jest powodem do ślubu. A potem jeszcze widziałem cię w tym... jak by to ująć... nieszczęsnym dezabilu. W zaistniałych okolicznościach małżeństwo to jedyne rozsądne rozwiązanie.

Wymamrotała coś pod nosem. Niewiele z tego zrozumiał, ale jej ton nie był zbyt przyjazny.

- Co mówisz?

- Mówię, że równie dobrze mogę wyjść za Luthera albo pana Piffkina. Oni też widzieli mnie w owym „nieszczęsnym dezabilu”. Zwalniam cię z jakichkolwiek zobowiązań. Nie musisz się dla mnie aż tak poświęcać.

- Nie chcesz spojrzeć mi w twarz, ale domyślam się, że na twoich ustach pojawił się właśnie szyderczy uśmiech.

Odwróciła się i w końcu zajrzała mu w oczy.

- Owszem, masz rację. I żałuj, żeś go nie widział. W przeciwieństwie do ciebie ja przynajmniej niczego nie udaję i nie chowam się za bzdurnymi konwenansami. Oczekiwałeś, że będę ci wdzięczna za tak hojną propozycję? Że przymknę oko na twój wyraźny brak entuzjazmu? Cóż, najwyraźniej nie doceniłeś mnie. A skoro uważasz, że zostałam skompromitowana, a mojej reputacji nie da się uratować, co w takim razie powiesz o Rose? Wyślesz ją na resztę życia do klasztoru?

- Dlaczego miałbym ją wysłać do klasztoru? Przecież nie jest niczemu winna. Padła ofiarą bandy zwyrodnialców.

- Właśnie. Niewiele brakowało, bym podzieliła jej los. Ani ty, ani ja nie mieliśmy wpływu na to, co chcieli mi zrobić. To, że widziałeś mnie półnagą, nie jest ani twoją, ani moją winą. Czemu więc mielibyśmy oboje do końca życia płacić za cudze grzechy?

- Więc małżeństwo ze mną byłoby dla ciebie karą?

- Nie odwracaj kota ogonem. Niczego takiego nie powiedziałam. Mówiłam o nas obojgu i o tym, że nikt nie powinien zawierać związku małżeńskiego, tylko dlatego że tak nakazuje etykieta. Owszem, pocałowałeś mnie kilka razy, ale poza tym nie zrobiłeś nic, co mogłoby narazić moją reputację na szwank. W każdym razie nie zrobiłeś niczego świadomie.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie znalazł celnej riposty. Za to niewiele brakowało, a wjechałby do rowu.

- Do diaska, wiedziałem, że to sknoce - mruknął, wyprowadzając konie z powrotem na środek drogi. - Piffkin mnie ostrzegał. - Przez następną minutę próbował sobie przypomnieć, co poszło nie tak, co takiego powiedział... A może chodziło o to, czego nie powiedział? - Sam już nie wiem... Co właściwie chciałabyś ode mnie usłyszeć? Mam ci powiedzieć, że zapałałem do ciebie dozgonną miłością? Że kocham cię ponad życie? Mógłbym, ale oboje wiemy, że to niemożliwe. Sama mówiłaś, że

choć wiele razem przeszliśmy, ledwie się znamy.

Kiedy się uśmiechnęła i spojrzała na niego swoimi wielkimi oczami, poczuł, że coś w nim pęka i rozsypuje się na tysiąc drobnych kawałków.

- Jesteś prawdziwym dżentelmenem. Zbyt wiele myślisz o innych, a za mało o sobie. Jak powiedział pan Piffkin, wybawianie dam z opresji to twoja specjalność.

- Cóż, owszem. Siostra też mi to ciągle powtarza. A skoro o siostrach mowa, nie uważasz, że Rose skorzystałaby na naszym małżeństwie? Niełatwo jej będzie zapomnieć, o tym, co przeszła. Moja rodzina przyjmie ją z otwartymi ramionami i zrobi wszystko, żeby wróciła do równowagi i odzyskała dawny spokój. Wiem to, bo znam ich wszystkich na wylot. Jako krewna mojej narzeczonej mogłaby zostać z nami w Redgrave Manor tak długo, jak długo będzie chciała.

Jej pytanie kompletnie zbiło go z tropu.

- Mieszkasz w domu brata?

- Właściwie nigdzie nie mieszkam na stałe. Trochę czasu spędzam w rodzinnym majątku na wsi, trochę w posiadłości w Londynie, często bywam też u babci Trixie, zwłaszcza gdy zaczyna narzekać, że jest samotną starą kobietą. Głównie jednak podróżuję. Odkąd skończyłem szkołę, byłem w Szkocji, Grecji, a nawet w Rosji. Czasem wyjeżdżam z tajną misją dla kraju, ale lepiej udawaj, że tego nie słyszałaś. Pewnie chciałabyś mieć własny dom i mieszkanie w mieście? Wprawdzie to Gideonowi przypadł cały spadek po ojcu, ale dzięki posagowi matki i obrotności Beatrice pozostałe rodzeństwo, w tym ja, nie zostaliśmy bez grosza. Prawdę mówiąc, wszyscy jesteśmy nieprzyzwoicie bogaci.

- Dla mnie to bez różnicy, Valentine. Nie zmieniłam zdania. Nie wyszłabym za ciebie, nawet gdybyś miał na własność połowę królestwa.

- Nie zrobisz tego nawet dla dobra Rose?

Uniosła dumnie podbródek.

- Wstydzilibyś się. I daruj sobie dalsze perswazje. Wyczerpaliśmy temat. Ja w każdym razie nie zamierzam o tym dłużej dyskutować.

Znów zapadła cisza. Wymowna i złowieszcza.

Przez całą dalszą drogę, wliczając postój na posiłek, Valentine wychodził z siebie, żeby ją przerwać. Robił, co w jego mocy, żeby nakłonić Daisy do mówienia. Na próżno. Pozostała nieugięta i uparcie milczała.

Kiedy zbliżali się do Londynu, owa cisza zaczynała dzwonić mu w uszach. Opadła go desperacja. Niebawem dotrą do domu babki. Czyżby jego plany miały wziąć w łeb? Przecież zamierzał przedstawić Trixie narzeczoną. Ale jak niby miał to zrobić, skoro jego wybranka od kilku godzin nie uraczyła go choćby jednym słowem? I to jej władcze spojrzenie...

Ależ ją ubóstwiał. Sam nie wiedział dlaczego. Uosabiała wszystko, czego pragnął w kobiecie. Była dla niego stworzona. Potrzebował jej jak powietrza... Nie powinien był kłamać. Nie zdradził się ze swoimi uczuciami, bo wydawało mu się, że jest zbyt rozsądna, żeby mu uwierzyć. Znali się przecież tak krótko... Trzeba było wyznać jej prawdę. Czemu, u licha, nie powiedział, że ją kocha? Może wówczas rozmowa potoczyłaby się zupełnie inaczej?

I co on teraz pocznie? Może Trixie coś mu doradzi?

Chwileczkę. Trixie? Uwielbiał babkę, ale wiedział, że jest cokolwiek szalona

i ekscentryczna. Miałyby powierzyć jej tak delikatną kwestię? Zdaje się, że zupełnie stracił głowę. Wychodzi na to, że miłość robi z człowieka kompletnego durnia.

- Daisy?

- Nie! Wykluczone. - Nie pozwoliła mu skończyć.

- Nawet nie wiesz, o co chciałem zapytać.

- Nie dbam o to. Nie interesuje mnie, o co chciałeś zapytać. Moja odpowiedź i tak brzmi „nie”.

Nie zamierzał tak łatwo dać za wygraną. W końcu gorzej już być nie mogło. Jak spadać, to z wysokiego konia.

- Zależy mi na tobie - wyznał szczerze. - Bardzo.

Cisza.

- Daisy, powiedziałem, że mi na tobie zależy. Bardzo zależy.

Zerknęła na niego, lecz niemal natychmiast z powrotem odwróciła głowę.

- Jesteś niemożliwy.

- Nieprawda. Zresztą nie lubię słowa „niemożliwy”. Wszystko jest możliwe, jeśli tylko człowiek się odpowiednio postara. A ja będę się starał. Zrobię wszystko, żeby niemożliwe stało się możliwe i żebyś powiedziała „tak”. Zobaczysz, nie będziesz potrafiła mi się oprzeć.

- Opieram się od kilku godzin i to bez najmniejszego wysiłku.

- Ale twój opór z każdą chwilą słabnie. Widzę to. Kiedy bardzo mi na czymś zależy i się przyłożę, nic nie jest w stanie mnie powstrzymać. Nie wierzysz mi? Spytaj Piffkina.

Nie wiedzieć czemu, wzmianka o niezastąpionym kamerdynerze ogromnie ją poruszyła. Niestety.

- Więc o to chodzi... Piffkin powiedział Rose, że chcesz zostać ze mną sam na sam, bo zamierzasz mi się oświadczyć. Dlatego nie miała nic przeciwko temu, żeby jechać beze mnie. Sądzi, że kiedy znów się zobaczymy, będę nieprzytomna ze szczęścia. Co więcej, jest przekonana, że dzięki mojemu korzystnemu zamążpójściu nie będzie musiała się już martwić o własną przyszłość. Wspominałam ci, jak bardzo boi się ubóstwa i samotności, a ty postanowiłeś to wykorzystać. Nie sądziłam, że jesteś tak wyrachowany. Zrobiłeś to celowo, prawda?

- Nie - odparł zgodnie z prawdą. - Mylisz się, choć teraz gdy mi to wyłuszczyłaś, widzę, że miałaś powody tak pomyśleć. Wiedz, że to nieprawda. Naiwnie sądziłem, że zgodzisz się za mnie wyjść. Co sądzisz o ślubie w lipcu? Środek lata to idealny moment na ceremonię.

Znów zapadła cisza. Tym razem jednak odetchnął z ulgą, a nawet poczuł coś w rodzaju satysfakcji. Daisy milczała, bo niechcący przyparł ją do muru i zwyczajnie nie miała nic do powiedzenia. Naturalnie zdawał sobie sprawę, że pewnego dnia przyjdzie mu zapłacić za to małe zwycięstwo, ale nic sobie z tego nie robił.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pomimo dość zaawansowanego wieku Beatrice Redgrave miała wyjątkowo imponującą prezencję. Była drobna, ale w odpowiednich miejscach zaokrąglona, miała pięknie ufryzowane blond loki, duże przejrzyste oczy i zgrabny nos. Poza tym nosiła wytworną jedwabną suknię oraz całe mnóstwo biżuterii. Brylant na palcu jej prawej ręki mógłby z powodzeniem oświetlić całą bawialnię.

- I jak, moja droga? - zapytała, usadowiwszy się na szerokim fotelu pełnym wzorzystych poduszek. - Czy moje wejście okazało się należycie dramatyczne?

- Owszem, milady, jestem więcej niż oszołomiona - odparła panna Marchant.

- Nieprawda, drogie dziecko. Wyglądasz mi raczej na odrobinę rozbawioną. Jestem pewna, że z miejsca przypadniemy sobie do gustu. Wybacz, że kazałam ci tak długo na siebie czekać. Siedzisz tu pewno pół godziny. Cóż mogę powiedzieć na swoją obronę? W moim wieku niełatwo o taki wygląd. Muszę się niemało napocić, żeby osiągnąć zadowalający efekt. Co dzień dziękuję Bogu za znakomitą pokojówkę. Poza tym wiadomość o waszym przyjeździe zastała mnie świeżo po kąpieli. Czy zadbano należycie o twoje wygody?

- Tak, milady. Jestem wypoczęta i syta. Valen... pan Redgrave udał się na Grosvenor Square w poszukiwaniu brata, pana Maximilliena, z którym ma nadzieję się spotkać. Obiecał, że niebawem wróci.

- Jeśli szuka Maksa, to raczej go nie znajdzie. Ja i Richard zjechaliśmy do miasta nie dalej niż wczoraj, ale o ile mi wiadomo, mój najmłodszy wnuk dokazuje w najlepsze na kontynencie. Przynajmniej według oficjalnych doniesień. Domyślam się, że tak naprawdę pojechał odwiedzić Percevala i właśnie opowiada mu o swoich śledczych dokonaniach. Valentine też ma na koncie nieliczne osiągnięcia, nieprawdaż? Poza tobą, rzecz jasna. Idzie mi o wasze wspólne wyczyny w kwestii Towarzystwa. Wprawdzie nie znam szczegółów, ale i tak winszuję wam obojgu. Godne podziwu, doprawdy. Ale wracając do rzeczy, widzę w tobie ogromny potencjał, Daisy. Pozwól, że będę się do ciebie zwracała tak samo jak mój wnuk. Tak, trzeba tylko to i owo zmienić. Powiedz, dziecino, nosiłaś kiedyś róż? Przy takim odcieniu rudości sztywna różowa suknia byłaby idealna. Już widzę ów oszołamiający efekt.

- Jestem guwernantką. Obawiam się, że w moim przypadku róż nie wchodzi w rachubę.

- Guwernantką, powiadasz? Ponoć już niedługo.

- Jeśli wierzyć pani wnukowi, być może. Ja w każdym razie nigdy nie deklarowałam, że porzucę swoje zajęcie.

Rozległo się dyskretne, acz lekko rozbawione chrząknięcie i w drzwiach pojawił się lokaj.

- Urocza, prawda, Soames? - Stwierdziła hrabina wdowa, kiedy postawił przed nią kieliszek wina. - Nie do końca w jego typie. Przypuszczam, że po części właśnie dlatego jest nią tak bardzo oczarowany. A może po prostu Wszechmogący nas wysłuchał i nasz chłopak wreszcie wydorósł? Będziemy mieli z niego niegorszy ubaw, wspomnisz moje słowa.

Panna Marchant wysłuchiwała tej przemowy z szeroko otwartymi oczami.

Mogłaby uciec, udawać, że jest kompletnie głucha i w związku z tym nie pojmuje, o czym mowa. Jako że ta opcja nie wchodziła w rachubę, postanowiła skierować rozmowę na inne tory.

- Jest pani właścicielką niezwykle interesującej kolekcji posągów - powiedziała pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy. - Pan Redgrave zdradził mi, że wiąże się z nimi ciekawa historia. Wspominał też, że niektórzy członkowie rodziny chętnie widzieliby na nich listki figowe...

- O tak, zwłaszcza Val. Rzeźby zamówił mój nieżyjący mąż. Nie mówię, nieodżałowanej pamięci mąż, bo nikt go tu nie żałował ani tym bardziej nie opłakiwał. Co się tyczy listków figowych, to moim zdaniem, są wynalazkiem pruderyjnych świętoszków. Owe posągi wzorowano na klasycznych dziełach pochodzących z antycznej Grecji i starożytnego Rzymu, a te miały afirmować życie i urodę heroiczych mężczyzn. Powtarzam to wszystkim, którzy uważają je za nieskromne. I powiem ci, moja droga, że mam ubaw po pachy, kiedy patrzę na zawstydzone twarze niektórych gości tego domu. Męskich gości, naturalnie. Nie ma nic smutniejszego niż... jak by to ująć... nieszczęśliwie imponujący... atrybut męskości, jeśli pojmujesz, o co mi idzie.

- Babciu! Obiecywałaś mi przecież!

Daisy spojrzała na skonsternowaną minę Valentine'a, który właśnie wkroczył do bawialni, i roześmiała się w głos.

- Nie bądź taki zgorszony. W końcu jestem guwernantką. Studiowałam anatomię.

- Nie tak wnikliwie jak Trixie - mruknął i ucałował babkę w policzek, wcisnął się obok niej na fotel. - Widzę, że wróciłem w samą porę. Jeszcze chwila, a babcia uraczyłaby cię szczegółową relacją z jednego ze swych licznych sypialnianych podbojów.

Hrabina pogłaskała go czule po rękę.

- Którego z moich podbojów, synku? Masz na myśli jakąś konkretną opowieść? Czyżby któraś z nich szczególnie zapadła ci w pamięć?

- Przeciwnie - odparł bez wahania. - Staram się wyprzeć je wszystkie ze świadomości. - Popatrzył na nią z ukosa i dodał: - Wybierasz się gdzieś? O tak nieprzyzwoitej porze?

Beatrice przewróciła oczami.

- Słyszałaś go, Daisy? Nic, tylko zrzędzi i strofuje jak nie przymierzając, stara panna. Zresztą nie on jeden. Wszyscy są dokładnie tacy sami. Skaranie boskie z tymi nicponiami. Wydaje im się, że są dorośli i traktują mnie jak dziecko. Mnie, swoją leciwą babkę. Dasz wiarę? - Popatrzyła z uczuciem na wnuka. - Tak, skarbie, idziemy z Richardem na prośzoną kolację do Imogene. Zjawi się także jej syn, wicehrabia Roxbury. Mam jej pomóc nakłonić go do ożenku. A może na odwrót? Tak, chyba raczej idzie o to, żeby powstrzymać go przed rychłym ślubem. Dalibóg, nie pamiętam...

- Wszystko jedno. Tak czy inaczej, mogłabyś się wymówić.

- Mogłabym, ale wówczas kazałbyś tej biedulce siedzieć tu do świtu i wysłuchiwać opowieści o tym, jak rozbiłeś w proch Towarzystwo. Zupełnie niepotrzebnie, bo jak mniemam, była świadkiem twoich wyczynów. Poza tym widać jak na dłoni, że

marzy wyłącznie o tym, by przyłożyć głowę do poduszki. Prawda, moja droga?

- Cóż, nie zaprzeczę, milady. - Daisy zerknęła na Vala i uśmiechnęła się słodko. -

Może moglibyśmy wypić razem filiżankę herbaty, zanim udam się na spoczynek?

- Załatwione - odpowiedziała za niego Trixie. - Oho, słyszę Richarda. Pora na mnie. - Poderwała się z fotela, spychając przy tym Valentine'a. - Życzyłabym sobie widzieć was oboje jutro na śniadaniu. O dziesiątej. W moich pokojach.

Redgrave pocałował ją w rękę i rzekł:

- Jutro o jedenastej. Na dole, w jadalni. Tyle się nasłuchałem o twojej sypialni, że jakoś nie mam ochoty oglądać jej z bliska.

- Widzisz, jaki z niego świętoszek, Daisy? Doprawdy nie wiem, gdzie popełniłam błąd. Bądź grzeczny, skoro koniecznie musisz. Dobranoc, dzieci, czekają na mnie.

- Mam nadzieję, że babcia nie dała ci się zbyt mocno we znaki. - Val nalał sobie wina i wypił je niemal duszkiem. - Potrafi być bardzo... bezpośrednia.

- Nie mam nic przeciwko temu - rzekła Daisy. - Choć przypuszczam, że jest wobec was dość... wymagająca.

- Cóż, nie da się ukryć, ma silny charakter. - Spojrzał na nią wymownie. - Właśnie dlatego od początku byłem pewien, że z miejsca się polubicie. Co powiesz na to, byśmy przenieśli się do twojego pokoju? Będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

- Wolałabym nie.

Posłał jej szeroki uśmiech.

- Obiecuję, że będę grzeczny.

- Znakomicie, tyle że ja nie mogę obiecać ci tego samego. - Zmierzyła go wzrokiem surowej guwernantki. - Nadal mam ochotę natrzeć ci uszu. Dla twojego dobra powinniśmy więc zostać tutaj. Będziesz bezpieczniejszy. - Wygładziła suknię i splótła ręce na kolanach. - Hrabina wdowa życzyłaby sobie, abym zaczęła nosić róż.

Przyjrzał jej się uważnie. Nie widział jej w różowym. Przyzwyczaił się do ponurego brązu, ale w nim też nie chciał jej więcej oglądać.

- Jakiś czas temu Trixie zażyczyła sobie, żeby Kate nie siadała do stołu w stroju do konnej jazdy. Jak myślisz, która z nich postawiła na swoim? Jeśli chcesz mojej rady, powiem, że od czasu do czasu powinnaś jej ulec, zwłaszcza kiedy chodzi o błahostkę. Dzięki temu w ważnych kwestiach ona ustąpi tobie.

- Twoja babka to wspaniała kobieta, ale raczej... jak by to ująć... w małych dawkach.

- Nie wyjaśnię ci, dlaczego jest taka, a nie inna. Żadnemu z nas nigdy nie udało się odgadnąć, co jej siedzi w głowie. Jedno jest pewne, wiele w życiu przeszła. Wspominałem ci już, że założycielem Towarzystwa był nasz dziadek. Domyślasz się, co to oznacza. Trixie miała nie więcej niż piętnaście lat, kiedy została jego żoną. Potem przyszła kolej na naszego szalonego ojca, który „kontynuował dzieło” protoplasty do czasu, aż matka posłała go na tamten świat przy użyciu pistoletu. Nie możemy jej zapytać, dlaczego postanowiła go zabić, ale powód wydaje się oczywisty. Zarówno ona, jak i babcia przez lata cierpiały z rąk przedstawicieli bractwa. Były ofiarami, tak samo jak twoja siostra. Mężczyźni przekazywali je sobie z rąk do rąk niczym zabawki podczas ceremonii podobnych do tej, której byłaś świadkiem w Fernwood. Mam mówić dalej? A może jednak zgodzisz się pójść ze mną na górę

i pomówić na osobności?

- Zgodzę się, żebyś mnie odprowadził. Na nic więcej nie licz. - Wciąż próbowała oswoić się z tym, co przed chwilą usłyszała. Matka Redgrave'ów zamordowała ich ojca. - Mam nadzieję, że nie musiałeś oglądać tego na własne oczy... To znaczy... Nie byłeś chyba przy... jego śmierci?

Valentine dostrzegł w jej oczach smutek i wziął ją za rękę. Współczuła małemu chłopcu, którym kiedyś był.

- Nie, na szczęście niczego nie widziałem. Zresztą to się zdarzyło bardzo dawno temu. Byłem jeszcze berbeciem. Nawet tego nie pamiętam. Rodziców też nie pamiętam. Rodzeństwo, Trixie i Redgrave Manor to jedyne stałe i niezmiennie elementy w moim życiu. Zawsze byli na wyciągnięcie ręki.

- A teraz ktoś stara się im poważnie zaszkodzić. - Nawet nie zauważyła, że wyprowadził ją na schody. Zdaje się, że nogi same zniosły ją na piętro. - To dlatego usiłujesz nie dopuścić, by kiedykolwiek łączono wasze nazwisko z działalnością Towarzystwa. Udział waszego ojca i dziadka nie może wyjść na jaw. Wcale nie pracujesz dla premiera. Walczysz o dobro rodziny. Teraz rozumiem, czemu moja obecność w Fernwood tak bardzo wyprowadziła cię z równowagi. Sądziłeś, że jestem szpiegiem Percevala i wejdę ci w paradę.

- Całkiem nieźle sobie radzisz w roli szpiega, nawiasem mówiąc.

- Zbyt szybko się poddałam. Zbyt szybko straciłam wiarę i spisałam Rose na straty. Nigdy sobie tego nie daruję. - Westchnęła ciężko i otworzyła drzwi sypialni. - Gdybyś nie zjawił się ty, moja siostra prawdopodobnie już by nie żyła. - Zmarszczyła brwi, gdy wszedł za nią do pokoju. - Miałeś zostawić mnie samą. Jest jeszcze coś, o czym nie wiem?

- Owszem. - Val wyciągnął się na łóżku i oparł głowę o stertę poduszek. - Otóż Mailer prowadził dziennik. Tak na marginesie, proszę cię, pilnuj, żebym nigdy, ale to nigdy nie wpadł na równie idiotyczny pomysł. Przed wyjazdem znalazłem ów pamiętnik w jego gabinecie. Okazuje się, że miał szczególne plany wobec twojej siostry. - Poklepał materac i uśmiechnął się zachęcająco.

- Lepiej, żebyś usiadła.

- Dziękuję, postoję. - Nie mogła oderwać od niego oczu. Wylegiwał się w niedbałej pozycji na jej pościeli i sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego. Jak on to robi? - Zastanawiała się, spoglądając w jego przystojną twarz. Ona sama nigdy nie potrafiła się rozluźnić. Zawsze była ostrożna i spięta. - Przypominam ci, tylko ty jeden sądzisz, że dobiliśmy targu i jesteśmy po słowie. Opowiedz mi o planach Mailera.

Podniósł się i oparł stopy na podłodze.

- Wybacz, ale to nie będzie przyjemna opowieść. Kilka miesięcy przed pierwszym spotkaniem z Rose Charles w... nazwijmy to, „szale namiętności” pozbawił życia jedną z dziewcząt Towarzystwa. Zbyt mocno ją przydusił.

Daisy opadła na najbliższe krzesło. Głównie dlatego że ugięły się pod nią kolana.

- Członkowie bractwa uznali ów incydent za gorszące marnotrawstwo i kazali mu trzymać się z daleka od pozostałych kobiet. Doszli do wniosku, że rozsądniej będzie, jeśli znajdzie sobie kogoś na stałe. Na prawach wyłączności. To dlatego Charles spędził z Rose sporo czasu i zadał sobie trud, żeby ją poznać. Wiedział, że szuka

kogoś, kogo będzie chciał zatrzymać przy sobie.

Zwiesiła głowę.

- Mówiła mi, że oprócz niej nie miał nikogo. Sądziłam, że oszukuje samą siebie. „Odwiedzał” ją za każdym razem, gdy zjeżdżał do Fernwood. Kiedy go nie było, jedyną osobą, z którą miała kontakt, była Davinia. Czasami przez całe tygodnie nie widywała nikogo oprócz służącej. Samotność doskwierała jej tak bardzo, że zaczęła tracić rozum. Czasem nawet tęskniła za jego wizytami. Tak bardzo pragnęła zobaczyć jakąś inną, znajomą twarz.

Val popatrzył na nią poważnym wzrokiem.

- Mailer wierzył, że jest w niej zakochany. Na przeszkodzie do wspólnego szczęścia stała mu jedynie lady Caroline, lecz nie wiedział, jak się jej pozbyć. Obawiał się ją zabić, jako że okoliczności śmierci jego pierwszej żony stały się tematem gorących plotek. Spekulowano, że popełniła samobójstwo albo została zamordowana. Byłoby zatem mocno podejrzane, gdyby jej następczyni przydarzył się podobny „tragiczny wypadek”. Po jakimś czasie zamiast upadku z urwiska zaczął rozważać inne sposoby wyeliminowania jej. Myślał o tym, żeby ją otruć albo zrzucić ze schodów. Caro naturalnie wiedziała o Rose i dlatego tak bardzo bała się o własne życie.

Daisy otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Chcesz powiedzieć, że Mailer zamierzał ożenić się z moją siostrą?

Skinął głową.

- Z jego zapisków wynika, że takie miał plany. Sądziłem, że Rose ci o nich mówiła.

- Nie, nigdy o tym nie wspomniała. W ogóle nie lubi o nim rozmawiać. Poza tym mogła nie wiedzieć o jego zamysłach.

Podeszła do łóżka i usiadła obok niego.

- Dziękuję, że mi o tym wszystkim opowiedziałeś, Valentine - powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu. Nie myślała o tym, że go dotyka. Wydawało jej się to zupełnie naturalne. - O Rose i o swojej rodzinie... Pamiętaj, że ani ty, ani twoje rodzeństwo nie możecie obarczać się odpowiedzialnością za grzechy ojca i dziadka. W niczym nie zawiniлиście i nikomu nie wyrządziliście krzywdy. Nie było was nawet na świecie, kiedy to się zaczęło.

- Masz rację, ale martwimy się przede wszystkim o babcię. Wprawdzie uwielbia skandale i nie dba przesadnie o reputację, ale gdyby sprawa Towarzystwa wyszła na jaw, to właśnie ona ucierpiałaby najbardziej. Była niewinną ofiarą męża, ale wiesz, jakimi prawami rządzi się arystokratyczny świat.

Coraz trudniej było jej skupić się na jego słowach. Raptem uzmysłowiła sobie, że są zupełnie sami. Nie pierwszy raz, ale teraz było jakoś inaczej, bardziej intymnie. Bądź co bądź siedzieli w jej sypialni.

- Daisy?

- Nie spoczniecie, dopóki bractwo nie zostanie całkowicie unicestwione, prawda? Musicie zyskać pewność, że waszej rodzinie, a zwłaszcza hrabinie wdowie nic nie zagraża. Mogłeś tego dokonać. Gdybyś wtedy w Fernwood pojmał przywódczynię... i jej kochanka. To ja pokrzyżowałam ci szyki. Niewiele brakowało, a byś przeze mnie zginął... O mój Boże...

Uśmiechnął się i pogłaskał ją po policzku.

- Próbowałem sobie wyobrazić, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby cię przy mnie

nie było, i niemal natychmiast doszedłem do wniosku, że niczego bym nie zmienił. Jesteś najlepszym, co mogło mi się w życiu przytrafić. Kto by mnie strofował, kto by pilnował, żebym nie popełnił jakiegoś głupstwa, gdyby nie ty? Poza tym twoja odwaga i determinacja dodawały mi skrzydeł i pchały do działania. Wspomnienia niektórych twoich wyczynów zostaną ze mną na zawsze, jak wtedy kiedy zabroniłaś mi patrzeć w górę. Spojrzałem, a ty wpadłaś wprost w moje ramiona.

- Mieliśmy nigdy więcej o tym nie mówić.

- Wiem. Staralem się, ale nic nie poradzę. Do tej pory śni mi się to po nocach.

- Widziałam się wtedy w lustrze. Wyglądałam okropnie, jak jakaś upiorna lalka. Zanim znaleźliśmy moje ubranie, miałam we włosach mnóstwo ostów i rozmazany makijaż... Nie patrz tak na mnie! Sam przecież wiesz, że przypominałam stracha na wróble...

- A ja i tak marzyłem o tym, żeby cię pocałować. Teraz też o tym marzę. O tym i o innych rzeczach, które chciałbym z tobą robić... - Przysunął się, a ona położyła mu ręce na ramionach.

- Valentine... nie mów tak...

- Jak? Mam nie mówić, że cię pragnę? Że nieustannie myślę o tym, jak wspaniale byłoby cię dotykać? I patrzeć ci w oczy? Uwielbiam twoje oczy... Widać w nich całą ciebie. To dobrze, że chowałaś je za tymi okropnymi okularami. Wystarczy spojrzeć w nie choć na chwilę, żeby dostrzec twoją dobroć i uczciwość. Gdybyś spotkała kogoś bardziej pozbawionego skrupułów niż ja, z pewnością już dawno by cię wykorzystał.

- Valentine, czemu mówisz takie rzeczy...?

Objął ją w talii i mocno przytulił.

- Jakie rzeczy? Przecież to szczerą prawdą. Od chwili gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, nieustannie myślałem o tym, że muszę koniecznie zobaczyć cię z rozpuszczonymi włosami. Proszę cię, Daisy, rozpuść dla mnie włosy. Chcę ich dotknąć, wpleść w nie palce...

Zajrzała mu w twarz i nie potrafiła odmówić. Drżącymi rękoma wysunęła spinki i potrząsnęła lekko głową. Niesforne loki opadły jej na ramiona.

Val uśmiechnął się, jakby sprawiła mu wielką przyjemność, a potem wsunął w nie dłonie.

- Jesteś piękna - powiedział, wpatrując się w nią zachwyconym wzrokiem.

- Wcale nie. Nigdy nie byłam piękna.

- Dla mnie jesteś najpiękniejsza na świecie.

Kiedy ją pocałował, czule i z namaszczeniem, uznała, że nie ma sensu się sprzeczać. Skoro twierdzi, że jej uroda robi na nim wrażenie, czemu miałyby wyprowadzać go z błędu?

Nie odrywając ust od jej warg, pociągnął ją za sobą na posłanie.

Odsunęła się na moment, żeby zaczerpnąć tchu.

- Val, nie powinniśmy... - szepnęła, choć cały czas oplatała go ramionami i nie zamierzała wypuścić.

- Powinniśmy, moja słodka. Myślę, że wręcz musimy. I oboje o tym wiemy. To jedyny sposób, żeby zapomnieć o koszmarze, który przeżyliśmy. Tylko dzięki temu będziemy mogli z nadzieją spojrzeć w przyszłość. Chcę ci pokazać, że pomiędzy kobie-

tą i mężczyzną może być cudownie i pięknie, że wcale nie muszą się nawzajem krzywdzić. Sam też chętnie sobie o tym przypomnę...

Wciągnęła głośno powietrze. Wypowiedział na głos to, o czym sama myślała od jakiegoś czasu.

- Cóż, brzmi to... dość rozsądnie.

Jego uśmiech jak zwykle przyprawił ją o żywsze bicie serca. Kiedy tak na nią patrzył, gotowa była zgodzić się na wszystko.

- A moja Daisy nigdy nie traci głowy i nie zapomina o zdrowym rozsądku. Musimy wstać, żeby pozbyć się ubrania.

Nie protestowała, kiedy ją podniósł i postawił na ziemi.

- Te guziczki doprowadzą mnie do szału - rzekł, sięgając do jej sukienki. - Jest ich co najmniej setka.

- Bądź ostrożny. To moja najlepsza suknia.

- Najlepsza? W takim razie należy jak najprędzej pozbyć się tego paskudztwa i sprawić ci całkiem nową garderobę.

- Ale...

- Masz rację. Najpierw rozprawimy się z moim surdudem.

Wkrótce stał przed nią w samej koszuli i zaczął ją rozpinać.

- Czekaj... ja to zrobię - powiedziała nieoczekiwanie dla samej siebie.

Był taki piękny... Imponujące posągi, które widziała w holu, bładły w blasku jego urody. Poza tym był mężczyzną z krwi i kości, a nie marmurową namiastką żywej osoby. Czowała pod palcami jego ciepło i szybkie bicie serca.

Gdy skończyła, opuściła bezradnie ręce. Nie miała pojęcia co dalej.

- Moja kolej.

Teraz on rozpiął jej guziki i pomógł wyplątać się ze spódnicy. Kiedy jego dłonie na moment spoczęły na jej małych piersiach, niemal ugięły się pod nią kolana. Oparła czoło o jego ramię i wciągnęła głośno powietrze. Nie pojmowała tego, co się z nią działo. Sądziła, że nikt nie zainteresuje się kimś takim jak ona, chudą, niepozorną guwernantką, jakich jest wiele. Myślała, że odejdzie z tego świata tak samo niewinna, jak w chwili narodzin. Już dawno porzuciła nadzieję, że kiedykolwiek spotka mężczyznę, który ją zechce, a teraz... dzięki Valentine'owi jej ciało obudziło się do życia. Pragnęła, by jej dotykał, i sama chciała go dotykać.

Odsunęła się i odruchowo zasłoniła ramionami piersi.

- Zimno ci? - zapytał ze znaczącym uśmiechem.

- Nie.

Doskonale wiedział, jakie myśli i uczucia przebiegały jej przez głowę. Czytał w niej jak w otwartej księdze.

- A zatem wstydzisz się... W takim razie musimy temu zaradzić. - Odchylił narzutę i położył ją na środku łóżka. Potem zrzucił koszulę i sięgnął do rozporka, żeby zdjąć spodnie.

Daisy natychmiast odwróciła głowę. A więc to się dzieje naprawdę, myślała gorączkowo. Jak mogłam do tego dopuścić? Gdzie się podział mój rozsądek? Powinam go powstrzymać. Jeszcze mogę go powstrzymać...

Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, leżał obok niej. Z niemałym trudem zdołał też podciągnąć pierzynę i oboje ich przykryć. Nie lada wyczyn, gdyby nie jeden drobny

szczegół.

- Au! Przygniatasz mi włosy!

Uniósł się odrobinę, a ona odgarnęła loki na kark.

- Nie, proszę, zostaw - powiedział, kiedy chciała związać je w kok. - Wyglądają pięknie. Jak żywy wachlarz.

- Raczej spąsowiały wachlarz - mruknęła pod nosem. Wciąż myślała o tym, że leży w samej koszuli obok nagiego mężczyzny, który cały czas przygląda jej się z uśmiechem. Nigdy w życiu nie czuła się tak skrępowana.

- Być może dotąd nie dałem tego po sobie poznać, ale wiedz, że jestem w tej dziedzinie prawdziwym znawcą.

- Nawet gdybyś tak jak ja nie wiedział, co robisz, i tak nie zauważyłabym różnicy.

- Hm... pocieszające. Od razu mi lepiej. Miałem nadzieję, że moje zapewnienia zrobią na tobie wrażenie, ale widzę, że nic z tego. Nadal się zastanawiasz, co cię opętało i dlaczego mi na to wszystko pozwoliłaś. Wpuściłaś mnie nie tylko do sypialni, lecz także do łóżka. Pora rozwiązać twoje wątpliwości, proponuję więc, żebyśmy przestali rozmawiać. Wtedy będę mógł wreszcie znów cię pocałować.

Czyżby czytał jej w myślach? Skąd wiedział, że jest spięta i pełna obaw?

- Skoro sądzisz, że to pomoże...

- Oczywiście, że pomoże. - Oparł się na łokciu i spojrzał na nią z powagą. - Nie musimy się spieszyć. Wystarczy, że powiesz jedno słowo, a przestanę. Pragnę cię, ale za nic w świecie nie zrobiłbym ci krzywdy. Chciałbym ci jednak pokazać, jak bardzo jesteś dla mnie ważna i jak bardzo potrzebuję cię w swoim życiu. Nie dlatego że tak nakazuje mi poczucie obowiązku. Zwyczajnie wiem, że choćbym szukał przez całe życie, nigdy nie znajdę drugiej takiej kobiety jak ty.

Poczuła w oczach łzy i zwróciła ku niemu twarz.

- To bardzo miło, że tak mówisz...

Zamknął jej usta gorącym pocałunkiem. Wabił ją i kusił, aż w końcu przestała się opierać, objęła go za szyję i przyciągnęła bliżej.

Odprężyła się nieco i nie sprzeciwiła się, kiedy zaczął jej dotykać. Rozpiął jej koszulę i przesunął palcami po gładkiej skórze na szyi. W końcu jego dłoń dotarła do piersi i odnalazła sutek. Zadrżała i wstrzymała oddech. Gdy po chwili jego rękę zastąpiły usta, poczuła, że traci kontrolę nad własnym ciałem. I chociaż wciąż się wstydziła i wciąż dręczyły ją obawy, wiedziała, że nie ma już odwrotu.

Nie sądziła, że można odczuwać tak wielką przyjemność. Rozpływała się pod jego dotykiem i nie mogła się nim nasycić. Pragnęła więcej i więcej.

Przeraziła się dopiero, gdy poczuła jego rękę na brzuchu.

- Nie! Proszę, nie! - zawołała gorączkowo.

Natychmiast zabrał dłoń i obsypał pocałunkami jej twarz.

- Daisy, kochanie - szepnął jej wprost do ucha. - Powiem ci, co zamierzam zrobić, a ty sama zdecydujesz, czy mi na to pozwolić, zgoda?

- Pewnie myślisz, że jestem kompletną idiotką - odparła, zaciskając powieki.

- Nic podobnego. Nawet tak nie myśl. Chcę cię dotknąć i poczuć, ale nie będę mógł tego zrobić, jeśli będziesz zaciskać nogi. Proszę, rozchyl je odrobinę. Zrób to dla mnie...

- Nie... nie mogę.

Pogląsł ją po policzku i popatrzył jej w oczy.

- Ufasz mi?

Przygryzła wargę i skinęła głową.

- Więc nie bój się, nie zrobię ci krzywdy. Pozwól mi. Obiecuję, że nie będę patrzył. Jeśli będziesz chciała, natychmiast przestanę.

Wzięła głęboko oddech i próbowała uspokoić nerwy.

Tymczasem dłoń Valentine'a ześlizgnęła się w dół i zaczęła masować jej uda. Jego usta powędrowały w nieśpiesznej wędrówce od piersi do pępka i niżej...

Popatrzyła na jego ciemną głowę i ze wzruszenia ścisnęło ją w gardle.

- Nie bój się, Daisy. Jesteś gotowa. Twoje ciało już to wie. Proszę, rozsuń nogi.

Zamknęła oczy i zrobiła to, o co prosił. Potem nie miała czasu ani siły, żeby myśleć o skromności i swoich zahamowaniach.

- Będzie wspaniale. Zaufaj mi i skup się na własnych doznaniach.

- Nie... mogę... O mój Boże, co robisz?! - zawołała, gdy jego palce zaczęły pieścić jej najintymniejsze miejsca. Była to ostatnia spójna myśl, jaka przemknęła jej przez głowę. Później już tylko czuła. Jej ciało zareagowało instynktownie i rozpoczęło własny intymny taniec.

- To dopiero początek - szepnął, gdy leżała bez sił, próbując uspokoić oddech.

Pogładził ją po twarzy po czym ułożył się między jej rozsuniętymi udami. Po chwili przeszył ją rozdzierający ból, ale trwało to tylko przez moment, a Valentine cały czas przemawiał do niej czułym głosem i dodawał jej otuchy. Gdy zaczął się w niej poruszać, objęła go mocno i dostosowała się do jego rytmu.

Po wszystkim ucałowała jego wilgotne od potu ramię i opadła na poduszki. Wciąż nie mogła uwierzyć, że dane jej było przeżyć coś tak wspaniałego. Miał rację. To, co się między nimi wydarzyło, było cudowne i... piękne. Tak piękne, że nie potrafiła opisać tego słowami. Nic nie liczyło się bardziej niż ta chwila i oni dwoje. W ramionach Valentine'a odnalazła wszystko, czego pragnęła od życia. Stał się dla niej kimś bardzo ważnym, najważniejszym. Pomyślała, że w tej chwili mogłaby bez żalu odejść z tego świata.

Wiedziała już, że naprawdę mu na niej zależało. Widział w niej kobietę godną pożądania, a ona dzięki niemu właśnie tak się poczuła. Jeszcze godzinę temu nie wierzyła, że to możliwe, ale los zgotował jej ogromną niespodziankę.

- Dobry z ciebie człowiek - stwierdziła zachwyconym tonem.

Nie byłby sobą, gdyby nie zażartował.

- Mogę być jeszcze lepszy - oznajmił, spoglądając na nią z bezwstydnym uśmiechem. - Daj mi tylko kilka minut, żebym zebrał siły.

Nim zdążyła odpowiedzieć, dwa piętra nad nimi rozległo się bicie w dzwony, a w domu zapanował nieopisany rwetes.

- Pali się! Pali się! Wszyscy na zewnątrz! Ogień w foyer!

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Daisy wyskoczyła z łóżka pierwsza. Nim Val zdążył włożyć spodnie i narzucić ko-szulę, była już ubrana i gotowa do wyjścia.

Po chwili trzymając się za ręce, wybiegli razem na korytarz.

- Tędy, prędko - powiedział, ciągnąc ją w stronę wyjścia dla służby.

W połowie drogi na dół natknęli się na grupkę służących, która zmierzała w przeciwnym kierunku.

- Tamtędy się nie wydostaniecie! - wrzasnął lokaj. - Kuchnia stoi w płomieniach, jaśnie panie! Ktoś wrzucił przez okno lampę.

- Lampę? Valentine, to znaczy, że...

- Tak, wiem, co to znaczy. - Redgrave chwycił służącego za ramiona i polecił tonem nieznoszącym sprzeciwu: - Stój tu i nie wpuszczaj nikogo na górę. Schody w holu głównym też się pewnie palą. Zakryjcie nosy i usta i czekajcie, aż was zawołam. Daisy, idziemy. - Nie puszczając jej ręki, popędził na parter. Mógł zabrać ze sobą lokaja, ale młodzian sprawiał wrażenie przerażonego. Poza tym w zaistniałych okolicznościach wolał mieć przy sobie niezawodną i nieustraszoną pannę Marchant, która nigdy nie traciła zimnej krwi.

W miejscu, gdzie schody skręcały do kuchni, opadli na kolana i zaczęli posuwać się na czworaka. Tym sposobem chcieli uniknąć najgęstszego dymu.

Kamienna podłoga, na którą spadła lampa, nawet się nie zatliła. Zająłoby się za to kilka mebli, zasłony, gobelin na jednej ze ścian i stos leżących na stole obrusów. Za kilka minut płomień mógł dotrzeć do drewnianego sufitu. Jeśli do tego dojdzie, domu nie da się uratować.

- Gdzie pompa? - zapytała Daisy, zanosząc się kaszlem.

Val poklepał ją po plecach i rozejrzał się. Jako dziecko, a potem wyrostek spędzał w kuchni mnóstwo czasu. Kiedy coś zbroił, a broił niemało, babcia przysyłała go tu za karę. Miał obierać ziemniaki albo pomagać leciwej kucharce. Jako że ta miała do niego wyraźną słabość, zazwyczaj kończyło się na tym, że dogadzała mu słodkościami.

- Tam. Trzymaj mnie za nogawkę.

Mogła się uratować. Bez kłopotu przecisnęłaby się do drzwi i wybiegła na ulicę. Ale nie zostawiła go samego. Jeśli się bała, w ogóle nie dawała tego po sobie poznać. Znow mu zaufała. Tak samo jak wcześniej w sypialni. Wydawało się, że od tego czasu upłynęły już całe wieki...

Obiecał sobie, że nigdy nie zawiedzie jej zaufania. Zrobi wszystko, by zawsze mogła na nim polegać i mieć w nim oparcie. Z pewnością nie był to najlepszy moment na tego rodzaju objawienia, ale właśnie w tej chwili, w dymie i ogniu, uprzytomnił sobie, że dzięki niej stał się lepszą wersją samego siebie. Dla niej, dla Daisy Marchant chciał być lepszym człowiekiem.

Pompę zamontowano na ścianie tuż nad zlewem.

Val zaczął nalewać wodę do wiadra. Tymczasem Daisy oderwała kawałek halki i podarła go na dwa mniejsze strzępy. Zmoczywszy je, podała jeden Valentine'owi.

Drugi przewiązała sobie wokół nosa i ust.

Nie musieli nic mówić. Oboje wiedzieli, co mają robić. On przejął pompowanie i napełniała kolejne wiadra, on zajął się gaszeniem ognia. Kilkanaście minut później dogasły ostatnie płomienie, a w pomieszczeniu unosiły się jedynie ciężki czarny dym oraz swąd spalenizny.

Chwilę później przywołali służących, którzy czekali na piętrze. Kiedy wszyscy wyszli bezpiecznie na ulicę odetchnąć świeżym powietrzem, Val i Daisy przeszli do foyer, żeby sprawdzić, czy nikt nie utknął w płomieniach.

Na szczęście powitał ich wyłącznie dym i... kamerdyner, który stał spokojnie przy schodach, strzepując z rękawa jakiś pył, najprawdopodobniej sadzę.

Sprawiał wrażenie zupełnie nieporuszonego. Jakby miał do czynienia z uciążliwą muchą, a nie zagrażającym życiu pożarem. Na jego widok Redgrave poczuł, że spada mu z serca ogromny ciężar.

- Rozumiem, że ogień został ugaszony - odezwał się, zdejmując z twarzy mokrą szmatę.

- Tak jest, proszę pana - odparł Soames. - Ktoś wrzucił do środka pojemnik z olejem i lampy. Jedną przez okno w kuchni, a drugą, kiedy George otworzył drzwi, usłyszawszy pukanie.

- Jak ci się udało powstrzymać płomienie?

- Złapałem, co miałem pod ręką, i zdusiłem je w zarodku, jaśnie panie. Płonącego oleju nie sposób ugasić wodą, więc...

- Naturalnie, pojmuję. - Val rozejrzał się i pokręcił głową. Arrasy, które Trixie wygrała w zakładzie od księcia Walii, i posągi w holu były kompletnie osmolone. Babcia będzie niepokieszona. - Dobra robota, Soames, uratowałeś rezydencję.

Daisy odchrząknęła, żeby zwrócić na siebie ich uwagę.

- Obydwaj spisaliście się jak na prawdziwych bohaterów przystało, panowie - oznajmiła ze spokojem. - Postawa godna najwyższej pochwały. Jestem pełna podziwu, ale najwyższa pora uprzątnąć ten bałagan. Czeka nas mnóstwo pracy, więc byłabym zobowiązana, gdyby zechciał pan wezwać resztę służby, panie Soames, a przede wszystkim gospodynię... Resztą zajmę się sama. Na początek proszę zacząć otworzyć wszystkie okna. Gdyby znalazła się dla mnie szklaneczka lemoniady, byłabym niesłychanie wdzięczna. Chętnie oczyściłabym gardło z dymu i sadzy podobnie jak inni.

Kiedy majordomus popatrzył na nią wytrzeszczonymi oczami, Val natychmiast przyszedł jej w sukurs.

- Myślę, że najpierw należałoby kazać kilku służącym obstawić dom, panno Marchant. Ktoś powinien do rana trzymać wartę.

- Oczywiście, panie Redgrave, słuszna uwaga - odparła niespeszona. - Bądź co bądź ktoś dybie na nasze życie. Zastanawiam się, czy tego rodzaju incydenty są w Mayfair na porządku dziennym. Zresztą nieistotne. Ten nieład sam się nie uprzątnie, jak mawiała moja matka, więc nie traćmy czasu na deliberacje i bierzmy się do pracy, panowie. - Posłała im zachęcający uśmiech, po czym związała włosy w kok i ujęła się pod boki. Wyglądała jak generał.

Valentine musiał się powstrzymać, żeby nie porwać jej w ramiona. Miał tak wielką ochotę ją pocałować, że z trudem stał w miejscu, nie przebierając nogami.

- Naturalnie, panno Marchant, tyle że... - zaczął kamerdyner.

Val znów uznał za stosowne dorzucić swoje trzy grosze.

- Soames próbuje powiedzieć, że pod nieobecność babci to on jest odpowiedzialny za dom.

- Och, proszę mi wybaczyć, panie Soames. Za nic nie chciałam pana urazić. To oczywiste, że pan tu rządzi. Idzie o to, że nie przywykłam, by stać bezczynnie z boku, gdy inni pracują. Proszę mi tylko powiedzieć, w czym mogę pomóc.

Służący skłonił przed nią głowę i spojrzał na Redgrave'a.

- Za pozwoleniem, jaśnie panie, pragnę wyznać, że jest pan w błędzie. Nie chodziło bynajmniej o moje kompetencje. Zamierzałem jedynie przeprosić za brak lemo niady i zasugerować, aby zamiast niej napili się państwo wina.

Valentine nie dowierzał własnym uszom. Soames, ty stary lisie, pomyślał, owinęła cię sobie wokół palca. Zresztą, nie ciebie jednego...

- Znakomity pomysł. A zatem lampka wina dla wszystkich. Panno Marchant, ze chce pani pójść za mną? - Ujął jej dłoń w swoją i wciągnął ją za sobą do bawialni.

Zamknawszy drzwi, popatrzył na nią z uwielbieniem. Nie mógł oderwać od niej wzroku, choć wyglądała jak siedem nieszczęść. Część włosów wysunęła jej się z wężła i spływała w nieładzie wokół twarzy. Miała umorusane sadzą policzki i mokrą, krzywo zapiętą suknię. Za to oczy błyszczały jej dwakroć intensywniej niż zwykle.

Był z niej taki dumny, że aż zapierało mu dech w piersiach.

- Jak się czujesz? - zapytał.

Uśmiechnęła się blado.

- Cóż, jestem gotowa skorzystać z twojej propozycji i poprosić o kilka nowych sukien. Zdaje się, że moją najlepszą sukienkę mogę spisać na straty. A jak ty się czujesz? W przeciwieństwie do mnie, jak sądzę, wyglądasz niezwykle... pociągająco. Trochę jak pirat, potargany i z usmoloną twarzą. Jak to możliwe, że niektórzy prezentują się świetnie bez względu na okoliczności, podczas gdy inni...

- Moim zdaniem jesteś piękna - oznajmił, podchodząc bliżej. - Nawet w tych okolicznościach.

- Tak, tak. Podobają ci się zwłaszcza moje oczy. Dziękuję za komplement. Chyba naprawdę ci się zdaje, że się we mnie zadurzyłeś albo... coś w tym rodzaju. Przecież dobrze wiesz, że nie jestem piękna. Moja siostra jest piękna, twoja babka jest piękna, ty jesteś piękny, ale ja? Z całą pewnością nie.

- Ja jestem piękny? Hm... to dość krępujące, zwłaszcza że jestem mężczyzną.

- Wybacz. Chciałam powiedzieć, że jesteś przystojny. Wyjątkowo. Co do mnie, cóż, wprawdzie dzieci nie uciekają z wrzaskiem na mój widok, ale to jeszcze nie znaczy, że jestem szczególnie urodziwa, więc proszę cię, nie powtarzaj tego, bo czuję się skępowana.

Valentine robił, co mógł, żeby się nie rozeźmiać. Uznał, że w tym momencie byłoby to cokolwiek nie na miejscu.

- Wolno mi przynajmniej zauważyć, że pięknie się spisałaś na górze, w sypialni?

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale rozmyśliła się i zmarszczyła brwi.

- Tak uważasz? Nie wydaje mi się. Naprawdę?

- Z pewnością nie zamierzam się skarżyć - odparł z szerokim uśmiechem. - Ale... przyprowadziłem cię tu, żeby zapytać, jak się czujesz.

- Jak się czuję? Dobrze. Nawet się nie poparzyłam.

- Nie mówię o pożarze, kochanie. - Teraz to on poczuł się skrępowany. - To był dla ciebie pierwszy raz, dlatego pomyślałem, że może...

- Ach, więc o to ci chodzi... Cóż, skoro o tym wspomniałeś... W istocie, jestem nie-co... Ale to nic poważnego. Przejdzie mi. Tak czy inaczej, nie pogardziłabym kąpielą. Byłoby wspaniale zanurzyć się w gorącej wodzie.

- Oczywiście. - Znow twardo stąpała po ziemi i znow próbowała być praktyczna. Chciałby wiedzieć, co sądzi o tym, co między nimi zaszło. Żywił pewne obawy, bo nigdy w życiu nie był tak zdenerwowany jak wówczas.

- Wszystko w swoim czasie - zarządziła. - Najpierw musimy uprzątnąć foyer. Twoja babka nie powinna zastać domu w takim stanie. Jak jej to wytłumaczymy? Domyśli się, że to sprawka Towarzystwa... Skoro chcieli nas skrzywdzić, czemu nie zrobili tego po drodze? A może to miało być tylko ostrzeżenie? Tak czy owak, z pewnością nas obserwowali. W przeciwnym razie nie wiedzieliby przecież, że zatrzymaliśmy się w rezydencji hrabiny wdowy. Ciekawe, dlaczego tak się pospieszyli... Za kilka godzin cały dom byłby pogrążony we śnie i pewno nikt by się już nie obudził.

- Masz rację. Łatwiej byłoby napaść na nas po drodze. - Nagle przyszła mu do głowy myśl, że Daisy zawsze zadaje właściwe pytania. A może to jego umysł pracował znacznie szybciej, kiedy była w pobliżu? Zupełnie jakby upatrzył ją sobie jako mężę... - Nie podzielimy się z Trixie naszymi domysłami. Zaczekamy na to, co sama powie. Jestem pewien, że będzie miała własne podejrzenia.

- Jak to? Nie rozumiem... Chcesz powiedzieć, że ów atak był wymierzony w twoją babcię? Ale dlaczego ktoś mógłby chcieć ją skrzywdzić?

- Myślę, że znalazłoby się co najmniej kilka powodów. Przede wszystkim chodzi po świecie wystarczająco długo, by pamiętać początki Towarzystwa. Zapewne wie sporo rzeczy, które mogłyby okazać się niewygodne dla jego członków. Przypuszczam, że zna nazwiska, miejsca i tym podobne. Sporo nam powiedziała, ale mój brat Gideon uważa, że nie zdradziła wszystkiego. Kto wie, ile postanowiła zachować dla siebie? Prawdopodobnie chce nas w ten sposób chronić.

- Na jej miejscu próbowałabym o tym wszystkim zapomnieć. Jej wnuki wiedzą, przez co przeszła... W dodatku z winy własnego męża, a ich dziadka. Wyobrażasz sobie, jakie to musi być dla niej trudne?

- Była bardzo dzielna, kiedy Gideon po raz pierwszy powiedział jej o swoich odkryciach. Z początku nie chciała wracać do przeszłości, ale potem bardzo nam pomogła. Do wczoraj była wraz z Richardem w podróży. Jeszcze go nie poznałaś. To bardzo zacny człowiek i jej... ukochany, jak sądzę. Być może jeżdżąc po kraju, usiłowała się czegoś dowiedzieć i nadepnęła na odcisk niewłaściwym ludziom. Wystarczy, że zadała kilka niepożądanych pytań.

- Muszę powiedzieć, że masz nad wyraz interesującą rodzinę. Im więcej się o nich dowiaduję, tym bardziej jestem zaintrygowana albo zaskoczona, w zależności od sytuacji. Masz jeszcze coś ciekawego w zanadrzu?

Nie wiedzieć czemu, zrobiło mu się raptem wesoło. Był oszołomiony, jak od nadmiaru brandy. To pewnie przez dym i gorąco...

- Cóż, nigdy nie wspomnieliśmy o tym babci, ale niedawno okazało się, że swego

czasu ktoś „zgubił” doczesne szczątki naszego ojca. Przez ponad dwie dekady spoczywały w niewłaściwym grobie. Na szczęście ostatnio wróciły na swoje miejsce w rodzinnym mauzoleum. Dzięki naszym staraniom, rzecz jasna.

Roześmiał się, gdy otworzyła usta ze zdumienia, i wziął ją za rękę.

- Chodź. Pora wracać.

Soames czekał na nich w holu z winem.

Daisy wychyliła kieliszek i pochłonęła jego zawartość jednym haustem. Jako córka duchownego zapewne nigdy wcześniej nie miała w ustach alkoholu. Była zapewne bardzo spragniona. Hm... wieczór zapowiadał się nader ciekawie.

- Panna Marchant postanowiła jednak pozostawić sprawy w twoich godnych rękach, Soames. Prosi tylko o wannę z gorącą wodą.

Kamerdyner zerknął na puste kieliszki i kiwnął głową.

- Pozwoliłem sobie przewidzieć taki obrót wypadków i zarządziłem już kąpiel dla obojga państwa.

Daisy zamrugała gwałtownie, jakby wciąż odczuwała skutki wdychania dymu, ale Valentine podejrzewał, że były to raczej pierwsze oznaki działania trunku.

- Doprawdy nie musiał pan robić sobie kłopotu. Ma pan przecież tyle spraw na głowie...

- Nie zwracaj na nią uwagi, Soames. Nie zdaje sobie sprawy, w jak kiepskim jest stanie. Spójrz tylko, sprawia wrażenie, jakby ledwo trzymała się na nogach.

Majordomus wbił wzrok w podłogę i zachował dyplomatyczne milczenie.

W połowie drogi na górę Daisy pociągnęła Vala za rękaw i rzekła:

- Prosiłam wprowadzić, żebyś przestał wychwalać pod niebiosa moją rzekomą urodę, ale to jeszcze nie znaczy, że pozwalam ci wygadywać takie rzeczy. Nie mam ochoty wysłuchiwać, że wyglądam jak strach na wróble. I to przy świadkach. - Zadarła podbródek i potknęła się o własne nogi.

- Kobiety! - Redgrave westchnął i wziął ją na rękę. - Trudno wam dogodzić. - Postawił ją z powrotem na ziemi dopiero pod drzwiami sypialni. - Wrócę za nie dalej niż dwadzieścia minut - obiecał, cmoknąwszy ją w usta. - Odpraw do tego czasu pokojówkę i nie zamykaj drzwi na klucz.

- Tak, musimy omówić sprawę pożaru, ale dwadzieścia minut? To za krótko. Nie zdążę nawet umyć głowy. Valentine?! Denerwujesz mnie, kiedy oznajmiasz coś, a potem odwracasz się na pięcie i odchodzisz!

Zatrzymawszy się w pół kroku, posłał jej w powietrzu pocałunek, po czym ruszył do swojego pokoju. Na miejscu podziękował służącemu i natychmiast wskoczył do wody. Skoro nie mógł go obsłużyć niezawodny Piffkin, wołał obsłużyć się sam. Nieco ponad pół godziny później wykąpany i w świeżym odzieniu pukał do drzwi Daisy. Spieszyło mu się, bo chciał ją zastać w wannie. Byłby niepokieszony, gdyby się okazało, że jest już ubrana i gotowa do rozmowy.

- Daisy? - Wszedł do środka niezaproszony i zatrzymał się na progu otwartej na oścież gotowalni. Zwabił go owocowo-kwiatowy zapach mydła. - To ja, Valentine... - przemówił do rozstawionego pośrodku parawanu. - Odesłałaś pokojówkę? Chciałbym do ciebie podejść.

- Domyślam się, ale wołałabym, żebyś został tam, gdzie stoisz.

Cóż, w zasadzie nie kazała mu pójść sobie precz, więc...

- Wciąż jesteś w kąpielni, prawda? Ale... skoro od stóp do głów zakrywa cię piana, nie będziesz się chyba mnie wstydzić?

- Jakże mam się nie wstydzić, skoro jestem naga? Nie mam zwyczaju paradować przed ludźmi bez odzienia. Dom niemal spłonął, a tobie w głowie... takie rzeczy? Czy to aby całkiem normalne? Valentine! Oczom własnym nie wierzę! Nie przypominam sobie, żebym pozwoliła ci wejść! Co ty najlepszego wyprawiasz?

- Zdejmuję koszulę, przecież widzisz - oznajmił spokojnie, zbliżywszy się do wanny. Zazdrościł pianie, która otulała jej gładką skórę.

- Widzę. Pytałam raczej, co to ma znaczyć.

- Jak to co? Zamierzam pomóc swojej pani umyć głowę.

- Czy mógłbyś łaskawie odziać się z powrotem? - zapytała, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w jego obnażony tors. - Rozpraszasz mnie.

Odwrócił się do toaletki i spojrział na ustawione na niej słoiczki i flakony.

- Którym specyfikiem myjesz włosy? - zapytał, zignorowawszy jej prośbę.

- To nie moje rzeczy. Sara wlała coś do wody, żeby zrobiła się piana. Ja używam zwykłego mydła, tego samego, którym myję... całą resztę. Zostało w torbie. Proszę cię, Valentine, idź sobie. Zostaw mnie na chwilę samą. Porozmawiamy, kiedy skończę.

Znów zlekceważył jej prośbę.

- To będzie najlepsze - uznał, obwąchawszy kilka buteleczek z rzędu. - Cytrynowe. Uwielbiam zapach cytryny. - Nalał sobie płynu na dłoń i stanął obok niej. - Bądź tak dobra i zmocz włosy.

- Nie pójdziesz sobie, prawda? Choćbym nie wiem, jak długo prosiła. Nie masz za grosz skrupułów. Wiesz przecież, jak bardzo mnie to krępuje. Cóż, trudno. Nie zamierzam marznąć tu w stygnącej wodzie do białego rana. - Z tymi słowy chwyciła brzegi wanny i zanurzyła głowę.

- Wyglądasz przeuroczo - stwierdził, przyglądając jej się z zachwytem. Niejedna na jej miejscu przypominałaby teraz zmokłą kurę, ale Daisy prezentowała się wspaniale.

- Jesteś gotowa? Zaczynamy. - Ukląkł z tyłu wanny i zaczął wcierać delikatnie mydło w jej rude loki. Nie robił nic nadzwyczajnego, ale intymna atmosfera sprawiała go o dreszczyk emocji. Nie sądził, że tak prozaiczna czynność może sprawić mu tyle przyjemności.

- Mmm... - mruknęła z zadowoleniem, kiedy masował jej skronie. - To... bardzo... przyjemne. - Zamknęła oczy i odchyliła głowę w tył. - Domyślam się, że chcesz mnie w ten sposób uwieść?

- Twoje domysły są jak zwykle słuszne. - Pochylił się i pocałował ją w wilgotne od wody usta. - Zupełnie sobie z nimi nie radzę - poskarżył się, spojrzawszy na swoje dzieło. Namydliłem dopiero połowę... Druga połowa jest tylko mokra. Musi być jakiś sposób, żeby je okiełznać.

- Owszem, jest na to sposób, ale musisz wyjść. Nie mam ochoty robić tego przy tobie. Proszę cię, idź do sypialni i zaczekaj tam na mnie.

Był niepokieszony, ale dał za wygraną. Chciał zadbać o romantyczny nastrój, ale jego wysiłki spełzły na niczym.

- Ale pozwolisz mi się potem uwieść, prawda? - zapytał bezczelnie.

Spojrzała na niego z niezmałonym spokojem.

- Tak, Valentine, pozwolę ci się uwieść. A teraz zmykaj.

Wyszedł, ale nie odszedł daleko. Stał tuż za uchylonymi drzwiami. Wmawiał sobie, że przygląda jej się z czystej ciekawości. Nie ma przecież nic nadzwyczajnego w myciu głowy. Nie sądził, że to, co zobaczy, tak bardzo mu się spodoba.

Daisy najpierw zanurzyła się cała w wodzie, a potem uklękła, mógł więc oglądać ją od pasa w górę w pełnej krasie. Zebrała włosy na karku, wycisnęła z nich wodę, a potem przełożyła je na prawe ramię i zaczęła wcierać w nie mydło.

Val wpatrywał się w nią jak urzeczony. Miała szczupłe, zgrabne plecy z wyraźnie zarysowaną talią i bajecznie zaokrąglone biodra.

Patrzył, jak metodycznie namydla włosy, zaczynając od góry i kończąc na dole, ale szybko stracił nimi zainteresowanie. Bardziej zajmowały go jej małe, jędrne piersi, które unosiły się i opadały przy każdym ruchu ramion. Kiedy nagle wstała i zaczęła spłukiwać się wodą z dzbanka, niemal ugięły się pod nim kolana. Zaszło mu w ustach i doszedł do wniosku, że ma dwie możliwości: albo się ujawnić, albo natychmiast przestać patrzeć.

Wybrał to drugie. Nacisnął cicho klamkę, po czym usiadł na dywanie przy kominie i sięgnawszy po pogrzebacz, zajął się przegarnianiem paleniska.

Kilka minut później Daisy wyszła z gotowalni i spoczęła tuż obok niego. Miała na sobie dwa ręczniki, jeden zawinięty w turban na głowie, drugi, większy, owinięty wokół piersi.

- Widzę, że Sara przygotowała dla mnie koszulę nocną twojej siostry, ale chyba szkoda zachodu... Skoro i tak widziałeś mnie już całą... Wyjęła też moje grzebienie... znakomicie.

Spojrzał na nią zdumiony i zaczął się zastanawiać, co się dzieje. Owszem, oświadczył się, a potem nawet zaciągnął ją do łóżka, ale nie sądził, że dalej pójdzie aż tak łatwo. Był pewien, że Daisy spróbuje wyprosić go z pokoju i przyjdzie mu długo ją przekonywać, żeby pozwoliła mu zostać. Czyżby postanowiła go zaskoczyć? A może to wino tak na nią podziałało?

Zupełnie nie rozumiał kobiet.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, choć instynkt podpowiadał mu, że lepiej byłoby zachować milczenie. - Może coś ci dolega?

Zdjęła z głowy turban i odrzuciła włosy na odsłonięte plecy.

- Dolega? Cóż niby miałyby mi dolegać? Dowiedziono mi w rzeczowy sposób, że powinnam przyjąć propozycję małżeństwa, a następnie uwolniono mnie od ciężaru dziewictwa. Chwilę po tym doniosłym wydarzeniu niemal spłonęłam żywcem. Mężczyzna, który mi się oświadczył, zaczął nagle zachwycać się moją urodą i jakby mało mu było naszego tête-à-tête w sypialni, postanowił nawiedzić mnie w kąpeli. Pórnagi próbował pomagać mi podczas mycia głowy, a potem bezwstydnie mnie podglądał. A wszystko to w ciągu zaledwie jednego dnia. Po raz pierwszy w życiu spróbowałam również wina. Jestem po nim tak oszołomiona, że postanowiłam niczym się nie przejmować i dobrze się bawić. Oczywiście wolałabym nie gasić kolejnego pożaru, ale co do reszty...

Mniej więcej w połowie tej przemowy Redgrave zaczął się uśmiechać.

- I co teraz z nami będzie? - zapytał.

- To zależy od ciebie - odparła, rozczesując włosy.

- Ode mnie? - zdziwił się. - Jak to? - Przyszedł tu, bo chciał ją uwieść, tymczasem role się odwróciły i to ona przejęła inicjatywę.

- Cóż, zdaje się, że ja sama nie panuję już nad własnym życiem. Wypada mi więc zdać się na ciebie.

- Doprawdy?

- Najwyraźniej. Poza tym przypominam ci, że to ty przyszedłeś do mojej sypialni. Nie na odwrót.

- Hm... istotnie, panno Marchant. Znów ma pani słuszność. - Wziął grzebień i pomógł jej rozczesać włosy. Były miękkie w dotyku i błyszczące jak jedwab. Gdy jeden z loków owinął mu się wokół palca, pomyślał, że jest z nią związany już na zawsze. - Zaraz... wiedziałaś, że cię podglądam? - uprzytomnił sobie nagle.

- Nie od razu, a kiedy się zorientowałam, wolałam nie krzyczeć. Nie chciałam się utopić. - Spojrzała na niego z powagą i wyjęła mu z ręki grzebień. - Nie mam pojęcia, co się między nami dzieje, Valentine. Ledwo się znamy. W dodatku do tej pory byliśmy zajęci ściganiem przestępców i ratowaniem życia, własnego i cudzego. Przyznasz, że to niecodzienne okoliczności. Tak czy owak, doszłam do wniosku, że twoja propozycja ma sens. To najrozsądniejsze rozwiązanie.

W jednej chwili zrzędała mu mina. Nie był pewien, czy chce usłyszeć to, co miała mu do powiedzenia.

- Najrozsądniejsze, powiadasz? Chciałaś powiedzieć, najbardziej praktyczne...

- Miałaś rację co do Rose. Będzie potrzebowała wsparcia i opieki, których nie zdołam zapewnić jej w pojedynkę. Co więcej, w Redgrave Manor będzie bezpieczna. Pan Piffkin jest dla niej dobry i ma na nią zbawienny wpływ.

- Nie jesteś już guwernantką, Daisy. Soames to Soames, a Piffkin to Piffkin. Nie musisz zwracać się do nich w przesadnie grzeczny sposób.

- Muszę i będę. Pan Piffkin na zawsze pozostanie dla mnie „panem Piffkinem”. Nie ma nic złego w tym, że chcę mu okazywać szacunek. Tak wiele mu zawdzięczam... Nawet się nie domyślasz, jak czule i wyrozumiale opiekuje się moją siostrą. Zawsze wie dokładnie, co jej powiedzieć, a kiedy po prostu milczeć. Nawet gdy nic nie mówi, czuwa w pobliżu, gotów na każde jej skinienie. Zresztą dla mnie też okazał się objawieniem. Jeszcze zanim odnaleźliśmy Rose.

- Objawieniem? W jakim sensie? - Do licha, pomyślał, mój kamerdyner zna ją lepiej niż ja, zresztą ona jego też. Muszę to sobie kiedyś w spokoju przemyśleć...

Daisy popatrzyła mu prosto w oczy i pogłaskała go po policzku.

- Pasujemy do siebie. Sama nie wiem dlaczego, ale tak jest. Od samego początku czułam, że zacny z ciebie człowiek. - Uśmiechnęła się. - Chociaż przez jakiś czas myślałam, że brak ci piątej klepki.

- Cóż - zachichotał - miałaś wszelkie prawo tak myśleć. Czemu sądzisz, że do ciebie pasuję? Jestem bardzo ciekaw.

- Nie musimy o tym teraz rozmawiać - odparła, związując włosy w węzeł.

- Wiem, że nie musimy, ale... chciałbym. Powiedz mi, czemu do ciebie pasuję.

Odwróciła wzrok.

- Bo masz na mnie dobry wpływ. To właśnie dzięki tobie zrozumiałam, dlaczego tu jestem. - Spojrzała na niego z uczuciem. - Mówiąc „tu” mam na myśli świat. Uświa-

domiłeś mi, po co żyję. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad sensem istnienia. Żyłam z dnia na dzień, robiłam, co do mnie należy, i spełniałam oczekiwania innych. Trudno mi to wyjaśnić. Zawsze byłam rozsądna i odpowiedzialna. Zwłaszcza od śmierci ojca. Musiałam opiekować się siostrą. Uważałam, że to moje jedyne zalety. Wydawało mi się, że jestem za wysoka, za chuda i zbyt pospolita. – Zawiesiła na chwilę głos, spojrzała mu w oczy, po czym kontynuowała: – Przy tobie poczułam się kobietą. Wciąż mi powtarzasz, że jestem ładna i godna pożądania, a to mi się podoba... I wcale nie wstydzę się do tego przyznać. Oczywiście nie jestem idealna. Byłam zbyt praktyczna, uparta i oschła.

– Cóż... nie da się ukryć.

– Rzadko się śmieję.

– Ostatnio nie miałam zbyt wielu powodów do radości, ale nie martw się, przyrzekłam sobie, że to zmienię. Kiedy już przestaną polować na nas mordercy.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Mówisz to, bo chcesz, żebyśmy poczuła się lepiej, prawda?

– Prawda. Chodź tu do mnie. – Posadził ją sobie na kolanach i mocno przytulił. O dziwo, nie w głowie mu były amory. Czuł się za to szczęśliwy i spełniony. Kiedy pocałował ją w czubek głowy, objęła go i przylgnęła do niego całym ciałem.

Ufała mu. Była gotowa powierzyć mu nie tylko ciało, ale całe swoje życie. Piffkin miał rację. Była dla niego stworzona. On także zrozumiał dzięki niej, po co znalazł się na tym świecie. Chciał być taki, jakim ona go widziała.

– Mmm... jak przyjemnie – mruknęła zadowolona. – Zupełnie jakbym podczas kąpieli zmyła z siebie wszystkie troski. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam taka spokojna i... odprężona. Jesteś bardzo dobrym człowiekiem, Valentine. Powtarzam ci to nie dość często.

– Z pewnością jestem lepszy, niż byłem jeszcze dwa tygodnie temu. To wyłącznie twoja zasługa, ale pamiętaj, nie zawsze będę taki grzeczny i dobrze ułożony jak dziś.

Roześmiała się w głos, a on poczuł, że serce rośnie mu w piersiach. Jej śmiech brzmiał w jego uszach jak najpiękniejsza muzyka.

Coś podobnego... Padamy jak muchy. Najpierw Gideon, potem Kate, teraz ja... Tylko Maksa nie dosięgła jeszcze strzała Amora.

Jakiś czas później zegar wybił drugą i wyrwał go z zamyślenia.

– Daisy? – szepnęła jej do ucha.

Nie odpowiedziała. Oddychała miarowo, opierając się o niego całym swoim ciężarem. Zasnęła, pomyślał z uśmiechem.

Mieli za sobą długi i męczący dzień. Oboje byli strudzeni. W pokoju było ciepło i przytulnie, a on trzymał w ramionach piękną kobietę, która wtulała się niego jak w poduszkę i pachniała cytrusami. Najchętniej oparłby plecy o fotel i także odpłynął w sen.

– Daisy? – spróbował jeszcze raz.

Westchnęła i ścisnęła go mocniej ramieniem.

Tak, doszedł do wniosku, jestem o wiele lepszym człowiekiem niż dawniej. Podniósł się ostrożnie i zaniósł ją do łóżka. Zdjął z niej wilgotny ręcznik i, nacieszywszy oko widokiem jej nagiego ciała, przykrył ją po samą szyję. Wtedy przewróciła się na

bok i wyciągnęła ramię, jakby czegoś szukała. Nie, nie czegoś, uprzytomnił sobie... Szukała jego...

Zerknął na drzwi i przypomniał sobie, że zamknął je na klucz. Wiedział, że powinien włożyć koszulę i wyjść, ale mógł też położyć się przy Daisy i spędzić noc, trzymając ją w ramionach. Wspaniale byłoby obudzić się u jej boku. Miał nadzieję, że rano nadal będzie mu przychylna i pozwoli się uwieść.

- Hm... - mruknął do samego siebie, przechodząc na drugą stronę łóżka. - Zdaje się, że jednak wcale nie jestem taki dobry.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Valentine? Valentine! Obudź się, Valentine! Nie mogę się ruszyć. Przygniatasz mi włosy.

Val otworzył oczy. Rzeczywiście. Leżał tuż za plecami Daisy z nosem wtulonym w jej rude loki. Jego ramię obejmowało ją w talii. Pachniała tak wspaniale... Nic dziwnego, że śniły mu się cytryny.

- Mmm... jak miło... - westchnął i przyciągnął ją bliżej. - Naprawdę nie możesz się ruszyć?

- Nie mogę, a nawet gdybym mogła, nigdzie się nie wybieram. Nie mam na sobie ubrania.

- Wiem. Sam zdjąłem z ciebie ręcznik.

- Za to nie zdjąłeś spodni.

- Drobne niedopatrzenie, któremu łatwo zaradzić. - Jego dłoń błędziła przez moment po jej brzuchu, by w końcu zatrzymać się na piersi. - Wiedz, że przez cały ten czas nawet cię nie tknąłem - oznajmił nie bez dumy. - Choć przyznam, że bardzo mnie kusiło.

- Rozumiem, że rano postanowiłeś się jednak przemóc i ulec pokusie? - Odchyliła głowę, by mógł obsypać pocałunkami jej kark. - Czyżbyś nagle zapomniał o przyzwoitości?

- Cóż, nie da się ukryć. Opuściły mnie resztki sił. Nigdy dotąd nie spędziłem całej nocy z kobietą. Wolałem unikać zbędnych... hm... komplikacji. - Uniósł się odrobinę, żeby mogła zebrać włosy.

- Tym razem raczej nie udało ci się ich uniknąć. - Zwróciła ku niemu twarz. - Nie dość, że spędziłeś calusieńką noc u boku kobiety, to jeszcze dopuściłeś się tego w domu własnej babki. Co ludzie powiedzą? Uznają, że owinęłam cię sobie wokół palca.

Próbowała zachować powagę, ale jej źrenice błyszcząły od rozbawienia. Uwielbiał, gdy tak na niego patrzyła.

- Cóż, skompromitowałam cię. Przez ciebie bezpowrotnie straciłem reputację. Nie wstyd ci?

Położyła mu rękę na torsie.

- Ani trochę. Prawdę mówiąc, jestem z siebie bardzo dumna, panie Redgrave. Daisy Marchant kusicielka. Kto by pomyślał? Niesłychane osiągnięcie jak na niepozorną córkę duchownego.

- Niepozorną? Skąd ci to przyszło do głowy? Dla mnie jesteś zupełnie wyjątkowa. I byłaś taka od samego początku. - Popatrzył na nią z powagą. - Chciałbym ci powiedzieć, że nie jesteś mi nic winna. Nie musisz za mnie wyjść, żeby zapewnić godną przyszłość siostrze. To znaczy musisz, bo będę niepokieszony, jeśli nie zostaniesz moją żoną, ale nawet jeśli powiesz „nie”, ja i moja rodzina i tak zajmiemy się Rose. Zadbamy o nią najlepiej, jak będziemy umieli. Wiesz o tym, prawda?

- Wiem. I zawsze wiedziałam. Nawet przez chwilę nie pomyślałam, że próbujesz wykorzystać Rose, żeby na mnie wpłynąć. Jesteś naprawdę uczciwym i dobrym...

Przyłożył jej palec do ust.

- Błagam, nie kończ. Nie chcę tego więcej słyszeć. Za każdym razem, kiedy to mówisz, czuję się coraz bardziej zakłopotany. Jeśli jeszcze raz...

- Nie powstrzymasz mnie. Jesteś bardzo zaczn... Valentine!

Przycisnął ją do poduszki i przygniótł własnym ciężarem.

- Daisy, ostrzegam cię. Powiedz to jeszcze raz, a pożałujesz.

Posłała mu szeroki uśmiech i spojrzała na niego z błyskiem w oku. Roześmiał się, bo wiedział, że jego groźba podziałała jak najlepsza zachęta.

- Panie Redgrave, jest pan... - Nie zdołała wydusić z siebie nic więcej, bo zaczął ją łaskotać. - Och, przestań, Valentine... - Chichocząc bez opamiętania, próbowała go odepchnąć, lecz nie wkładała w to zbyt wiele serca. - Jesteś naprawdę...

Val kilka razy słyszał jej śmiech, choć nie śmiała się zbyt często. Nigdy jednak nie przypuszczał, że potrafi chichotać jak beztroska mała dziewczynka. Pewnie nie robiła tego od wielu lat. Nie miała łatwego dzieciństwa. Po śmierci matki musiała przedwcześnie dorosnąć i zająć się resztą rodziny. Na jej barkach spoczywał ogromny ciężar odpowiedzialności. To dlatego była taka praktyczna i rzeczowa. Od dziś koniec z tym, pomyślał. Nie pozwoli, by kiedykolwiek zmagala się z przeciwnościami losu w pojedynkę. Już nigdy więcej nie będzie sama ani samotna - przysięgł sobie, spoglądając na nią z czułością.

Dopilnuję, żeby śmiała się co najmniej raz dziennie. Zadbam o to, by nie rozpałmiętywała bolesnej przeszłości i żyła wyłącznie przyszłością. Naszą wspólną przyszłością...

- Valentine?

Już jej nie łaskotał. Po prostu na nią patrzył. I mógłby tak patrzeć do końca świata.

- Valentine? - szepnęła drżącym głosem, zaglądając mu w oczy.

Pewnie wyczytała z nich wszystko.

- Daisy - odparł z zapartym tchem. Stała się dla niego wszystkim. Jego szczęściem, całym jego życiem. Musiał jej o tym powiedzieć. Ale ona już chyba wiedziała, że właśnie wydarzyło się między nimi coś bardzo ważnego. Zobaczyła to w jego spojrzeniu.

Po jej policzku spłynęła pojedyncza łza. Gdy otarł ją wierzchem dłoni, uniosła głowę i podała mu usta do pocałunku - pocałunku, w którym powiedzieli sobie nawzajem więcej, niż zdołaliby wyrazić słowami. Val objął ją i mocno przytulił, a kiedy tym razem zaczął jej dotykać, jej ciało zareagowało instynktownie.

Z początku Daisy nie była przekonana, czy pożyczony od lady Katherine strój do niej pasuje. Przyzwyczaiła się do brązów i szarości. Sądziła, że jest jej w nich do twarzy. Kiedy jednak przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze, natychmiast zmieniła zdanie. Mięciutka różowa suknia z zielonym haftem w kształcie listków i wygodne satynowe pantofelki z miejsca podbiły jej serce. W dodatku leżały jak ulał.

Wprawne ręce Sary potrafiły czynić cuda. Dzięki nim nieokiełznane rude loki panny Marchant zostały uporządkowane i upięte tuż nad lewym uchem, a jej policzki pokrywała delikatna warstwa koloryzującego pudru.

Naturalnie nie obyło się bez protestów, ale pokojówka poradziła sobie z nimi bez

kłopotu.

- Jeśli Pan Bóg zapomniał ci czegoś dać, zapewnij to sobie sama - wyłuszczyła z przekonaniem. - Właśnie po to Stwórca podarował nam sklepy, jak powiada lady Beatrice.

Daisy uśmiechnęła się na myśl o Trixie. Hrabina wdowa nie przestawała jej zdumiewać. Zresztą po wspólnej nocy i pełnym uniesień poranku w ramionach Valentine'a była tak szczęśliwa, że miała ochotę uśmiechać się nieustannie. Świat wydawał jej się lepszym miejscem.

Soames powitał ją na dole i skierował do bawialni.

Hol wyglądał równie idealnie jak niegdyś. Nadpaloną podłogę zakrywał ozdobny chodnik, na stole w wazonie stały świeże kwiaty, a posągi znów lśniły nieskazitelną czystością.

- Gdyby nie wyraźna woń spalenizny, można by pomyśleć, że nic się tu nie wydarzyło - zauważyła z niejakim zdumieniem. - Jestem pełna podziwu, panie... to jest chciałam powiedzieć... Soames. Winszuję, dokonałeś niemożliwego.

Kamerdyner uklonił się z galanterią.

- Dziękuję, panienko, ale wciąż mamy mnóstwo do zrobienia. Trzeba wyczyścić kandelabry i wymienić sztukaterie. Niebawem zjawią się tu robotnicy. Obawiam się, że w domu zapanuje kompletny chaos. Jaśnie pani zamierza przenieść się na czas remontu do Redgrave Manor.

- Słuszna decyzja - odparła, kiwając głową. - Pan Redgrave i ja też niebawem wyjeżdżamy. Przynajmniej nie będziemy niepotrzebnie płatać ci się pod nogami. Jesteś nieoceniony, Soames. Lady Beatrice nie mogłaby sobie wymarzyć lepszego major-domusa.

Służący wyprężył się jak struna, po czym znów się uklonił.

- Panienska jest dla mnie zbyt łaskawa.

- Przeciwnie - zapewniła solennie. - Panienska jest ci ogromnie wdzięczna za życzliwość i... dyskrecję. - Poczwała, że się rumieni, po czym przestąpiła próg salonu.

Trixie siedziała na tym samym szeszlunku, który zajmowała wczorajszego wieczoru. Tymczasem Valentine spoczywał w niedbałej pozie na kanapie. Opierał stopy o stolik, lecz na widok Daisy poderwał się na nogi.

Gdy dygnąwszy przed hrabiną, panna Marchant przycupnęła obok niego, natychmiast ujął jej dłoń w swoją. Potem uniósł ją do ust i ucałował.

- Jesteś piękna, jak zwykle... - szepnął jej do ucha.

- Zgadza się w zupełności - dorzuciła lady Beatrice, która mimo lat zachowała doskonały słuch. - Od razu wiedziałam, że będzie jej dobrze w różowym. Zresztą sama wybrałam tę suknię.

Redgrave nie odrywał wzroku od swojej wybranki.

- W tej czy innej sukni dla mnie jesteś i zawsze będziesz najpiękniejszą kobietą na świecie.

Daisy uśmiechnęła się do hrabiny.

- Wcale nie jestem piękna - stwierdziła bez kokieterii. - To pani wnuk jest najprzystojniejszym mężczyzną w całej Anglii. Jestem o tym święcie przekonana, on z kolei jest przekonany o mojej rzekomo „nadzwyczajnej” urodzie. Wmawia mi to tak uroczo i z takim zapałem, że nie mam serca wyprowadzać go z błędu. Przytaku-

ję więc, żeby sprawić mu przyjemność.

Trixie roześmiała się i klasnęła w dłonie.

- Uwielbiam cię, młoda damo. Masz znakomite poczucie humoru. Spójrz tylko, nasz chłopak się rumieni.

- Dwie na jednego? - wtrącił przesadnie urażonym tonem Val. - Ładnie to tak stroić sobie żarty z bezbronnego mężczyzny, moje panie? Zgroza. - Zwrócił się z powrotem do Daisy. - Właśnie pytałem babcię, czy ma jakieś podejrzenia w kwestii pożaru i tego, kto chciałby upiec nas żywcem.

Lady Beatrice niezwłocznie podchwyciła wątek.

- Ja zaś odparłam, że moim zdaniem był to zamach na jego życie. Najwyraźniej zbyt mocno nastąpił na odcisk członkom Towarzystwa. W każdym razie nie mogło chodzić o mnie. Jestem przecież powszechnie podziwiana i uwielbiana, nieprawdaż? - Uśmiechnęła się rozbrajająco i uniosła ku niemu kieliszek. - Twoja kolej, skarbie. Możemy tak odbijać piłęczkę do wieczora.

Redgrave westchnął sfrustrowany i spróbował z innej beczki.

- Po pożarze w Redgrave Manor nie przyjechaliście z Richardem prosto na Cavendish Square, prawda?

- Pożar? - zadrwiła hrabina. - To nie był pożar, lecz istna pożoga. Spłonęło wszystko do szczytu. Piękne widowisko, powiadam wam. Dawno czegoś takiego nie widziałam. Twój brat i Jessica zamierzają wznieść na tym miejscu kort tenisowy i pole do krykieta.

- Cudownie - mruknął pod nosem Val, spoglądając bezradnie na Daisy. - Na miłość boską, babciu, bądźże choć raz w życiu poważna. To nie są żarty... Do diaska, kto tu wpuścił te bestie?

Do pokoju wpadły z impetem dwa brązowoczarne psy. Ujadając jak opętane, podbiegły do Redgrave'a i spróbowały wskoczyć mu na kolana.

- Gog! Magog! Leżeć! Na podłogę, rozwrzeszczane dzikusy! Leżeć, mówię!

- Och, daj pokój, Val - powiedziała z uśmiechem Daisy. - Są nieco rozbrykane, ale raczej nieszkodliwe.

- Nieszkodliwe? - odparł zrzędlawie. - Za chwilę wylecą stąd z podwiniętymi ogonami. Zobacz, ogryzają mi buty. Moje najlepsze oficerki! Diabelskie nasienie!

Panna Marchant postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce i zrobić to, co umiała robić najlepiej.

Pstryknęła dwakroć palcami i przemówiła do czworonogów tonem surowej guwernantki:

- Gog! Magog! Siad! Leżeć! W tej chwili!

Psiaki natychmiast padły na podłogę i zaczęły merdać ogonami, spoglądając wy-czekująco w jej stronę.

- Jak to zrobiłaś, do pioruna?! - zdumiał się Valentine. - Te potwory nie mają po-słuchu u nikogo.

- Sama nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Zwierzęta i ludzie często się mnie słuchają. Pewnie dlatego że mówię wszystko prosto z mostu i nie toleruję nonsen-sów.

- Zdaje się, że właśnie mignęła mi przed oczami własna przyszłość - stwierdził ponuro.

Lady Beatrice roześmiała się ubawiona jego niepokieszoną miną.

- Ja też lubię czasem wyprowadzić Valentine'a z równowagi, milady - rzekła panna Marchant. - Kiedy się denerwuje, wygląda dość pociesznie, ale zgodzi się pani chyba, gdy powiem, że powinniśmy przejść do sedna?

- Cóż za rzeczowy ton, moja droga. Czyżbyś próbowała ze mną tej samej sztuczki, co z psami? Hm... widzę, że ty i mój wnuk przyjęliście przeciwko mnie wspólny front. Raczej z wami nie wygram. A zatem pytaj.

- Dziękuję, milady. - Daisy spojrzała na Vala, który ścisnął ją dla zachęty za rękę.

- Pani wnuk chciałby wiedzieć, dokąd udała się pani przed przyjazdem do stolicy. Proszę go w tej kwestii oświecić. Potem będziemy mogły udać się w spokoju na zakupy. Przydałaby mi się pani rada. Valentine obiecał sprawić nową garderobę mojej siostrze. Ponoć jest nieprzyzwoicie bogaty, a ja do tej pory musiałam liczyć się z każdym groszem. Chętnie go ogołocę. Nie do cna, oczywiście, tylko odrobinę.

- Ha! Stanowcza prośba poparta przekupstwem? Dalibóg, Daisy sądziłem, że stać cię na więcej. Naprawdę wydaje ci się, że to zadziała? Strategia kija i marchewki? Na Trixie Redgrave? Uwierz mi, wielu już próbowało i poniosło sromotną klęskę...

- Udaliśmy się wraz z Richardem do Canterbury. Na miejscu spotkaliśmy się z arcybiskupem, który był łaskaw osobiście udzielić nam ślubu. Potem zatrzymaliśmy się na jakiś czas w uroczej gospodzie na obrzeżach miasta, aby, jak nakazuje tradycja, uczcić tę ważną dla nas okazję. Chętnie przyjmę od ciebie gratulacje, skarbie. Jak tylko zamkniesz z powrotem buzię. Dodam, że miała to być niespodzianka. Zrujnowałaś ją, więc możesz czuć się winny.

Dla efektu hrabina wysunęła ku nim lewą dłoń. Nie zauważyli na niej wcześniej obrączki, bo ta utonęła pośród innych brylantów.

- Biskup udzielił wam ślubu? - Val nie dowierzał własnym uszom. - Znów jesteś mężatką, babciu?! To wspaniale! Cudowna nowina! - Podbiegł do Trixie, poderwał ją z szeszlona i zakręcił nią w powietrzu, jakby była małą dziewczynką. - Gdzie podziałaś małżonka? - dodał, ucałowawszy ją w oba policzki. - Chcę mu pogratulować. Odkąd pamiętam, zawsze powtarzałaś, że już nigdy, ale to nigdy nie wyjdiesz za mąż.

Beatrice posłała mu szeroki uśmiech.

- Cóż mogę powiedzieć? W obliczu miłości człowiek staje się zupełnie bezradny. Obróć mnie jeszcze raz, jeśli łaska, a potem postaw na ziemi, bo inaczej pognieciesz mi sukienkę. I jak się później pokażę na mieście? Dostanę buziaka i od ciebie, Daisy?

Panna Marchant objęła hrabinę i pozwoliła jej się przytulić.

- Przepraszam, że zepsuliśmy pani niespodziankę.

- Trixie - poprawiła Beatrice. - Mów mi po imieniu, drogie dziecko. A co do niespodzianki, to jestem ci wdzięczna. Rwałam się, żeby komuś o tym powiedzieć. I tak nie wytrzymałabym długo. - Usiadła z powrotem i sięgnęła po kieliszek. - Ale wracajmy do rzeczy. Jak już mówiłam, pojechaliśmy tylko do Canterbury. Nie byliśmy nigdzie więcej i nie rozmawialiśmy z nikim oprócz drogiego Charlesa, to jest arcybiskupa. Wcześniej w Redgrave Manor widywaliśmy się wyłącznie z rodziną, służbą i naszymi dzierżawcami. To wszystko. Twoja kolej, Val. Opowiedz mi więcej o swoich wyczynach w Fernwood. Zdaje się, że miałeś pełne ręce roboty.

- Pełne ręce roboty i spore osiągnięcia.

- Największym twoim wyczynem było niewątpliwie uwolnienie panny Rose Marchant.

- Z całą pewnością, milady... to znaczy Trixie. Byłam przekonana, że straciłam ją na zawsze.

- Porozmawiamy o twojej siostrze w drodze na Bond Street. Skoro Valowi tak bardzo się spieszy, myślę, że pora, aby podał mi nazwiska. Bo chcesz mi podać jakieś nazwiska, prawda, synku?

Redgrave wrócił na kanapę ze szklaneczką brandy i lemoniadą dla Daisy.

- O Charlesie Mailerze już słyszałaś - rzekł, wyjąwszy z kieszeni złożoną na czworo kartkę papieru. - Obecnie nieżyjącym. O ile nam wiadomo, był jednym z Parszywej Trzynastki. Teraz jego miejsce zajmuje członek o pseudonimie Hammer. Błagając o życie, Charlie nazwał go Axbridge'em. Wspomniał też, że to on wprowadził go do Towarzystwa.

- Axbridge, powiadasz... - powtórzyła w zamyśleniu hrabina. - Wiem... nie, zaraz. Czekajcie... Nie zapominajcie, że członkostwo też przechodzi często z ojca na syna. To dlatego mało wyszukane przydomki zawsze odnoszą się do nazwiska właściciela. Za czasów waszego ojca, baron Terence Conway wciągnął do bractwa swego syna, Stephena. Młodszy Conway słynął z chorobliwego zamiłowania do hazardu. Nic więc dziwnego, że roztrwonił cały majątek na spłatę karcianych długów. Na dobitkę płodził wyłącznie córki, więc nie miał komu przekazać po sobie pałeczki. Owe niefortunne córki nie skończyły dobrze. Papa wydał je wszystkie za mąż za zbereźnych starców w zamian za więcej niż godziwą, nazwijmy rzeczy po imieniu, zapłatę.

- Babciu, jesteś pewna, że twoja skądinąd zajmująca opowieść do czegoś nas zaprowadzi?

- Owszem, synku. Nie jestem jeszcze stetryczalą sklerotyczką, jak się niektórym wydaje. Mam za to sporo wspomnień. Nic dziwnego, że muszę w nich trochę pogrzebać, zanim znajdę to właściwe, prawda? Wszystko w swoim czasie, skarbie. Wiesz, że nie lubię, kiedy się mnie pogania. A cierpliwość to wielka cnota. Pojmiesz to już niedługo, gdy będziesz tak stary jak ja. Czas biegnie nieubłaganie dla każdego...

Val przewrócił oczami, a Daisy zasłoniła usta dłonią, żeby ukryć uśmiech.

- Co też to ja mówiłam, zanim mi przerwałeś? Ach tak. Urodziwe córki Stephena, naturalnie. Wielki to był skandal swego czasu, ale do rzeczy. Otóż Conwayowi coraz bardziej brakowało pieniędzy, a co gorsza, zaczynało brakować mu także córek. Najmłodsza miała zaledwie piętnaście lat, kiedy sprzedał ją nieprzyzwoicie bogatemu bankierowi, niejakiemu Giraudowi Axbridge'owi. Biednemu dziewczęciu zmarło się w połogu już niecały rok po ślubie. Axbridge przykładowie odbył obowiązkowy rok żałoby, lecz gdy pełen nadziei wrócił do życia pełną gębą, natknął się na mur niechęci i ostracyzmu. Dla londyńskiej śmietanki pozostał prymitywnym plebejuszem, nuworyszem, który wzenił się w szanowaną rodzinę, aby gwałtem wedrzeć się na salony. Stephen, który nadal potrzebował pieniędzy, nie mógł mu zaoferować kolejnej córki, zaproponował mu więc coś innego.

- Przynależność do Towarzystwa - domyśliła się panna Marchant. - Ale przecież to Mailer wprowadził go do bractwa.

Beatrice skinęła głową.

- Zgadza się. Tak się składa, że zarówno Stephen, jak i jego papa byli zaledwie szeregowymi członkami. Nigdy nie należeli do trzymającej władzę Parszywej Trzynastki. Przy okazji, młodszy Conway też już nie żyje, więc nie próbujcie go szukać. Nieszczęśliwy wypadek, jakich wiele. Biedaczysko spadł ze schodów i skręcił kark, jeśli dobrze pamiętam. Zostawił po sobie około osiemnastoletnią wdowę, która, jak się zapewne domyślacie, nieszczęśliwie po nim rozpacziała. Jako że nie wylewał za kołierz, uznano, że zabił się po pijanemu i sprawa momentalnie ucichła. A wracając do Axbridge'a, przypuszczam, że Stephen zaproponował go na nowego członka, ale reszty formalności musiał dopełnić bardziej zaufany członek Towarzystwa. Tak czy owak, wasz Hammer to może być on. Co jeszcze mogę wam o nim rzec? Myślę, że dobiega teraz pięćdziesiątki. Jego ojciec był Anglikiem, a matka Francuzką, jeśli ma to jakieś znaczenie...

- Hm... bankier to niewątpliwie cenny nabytek dla stowarzyszenia. To musi być on. - Valentine podszedł do babki i ucałował ją w czoło. - Dziękuję, Trixie, bardzo nam pomogłaś. Jesteś cudowna.

Daisy czuła, jak bardzo jest podekscytowana. Sama również cieszyła się z nowych informacji, ale dręczyły ją także obawy. Martwiła się, że Val zrobi coś nieprzemysłanego. Prawdopodobnie miał ochotę natychmiast wybiec z domu i zacząć ścigać Hammera - człowieka, który nie tak dawno groził mu nożem. To się mogło źle skończyć.

- Co zamierzasz? - zapytała bez owijania w bawełnę.

- Nic pochopnego, obiecuję. Chcę tylko podejść do niego na tyle blisko, by sprawdzić, czy nosi bandaż na nadgarstku. Kiedy zobaczę jego twarz bez maski, będę miał pewność, kogo szukamy. Pozwolimy mu na jakiś czas wrócić do swoich. Potem spotkamy się całą rodziną i obmyślimy dalszy plan działania. Chcemy przecież rozbić całą szajkę. Sam Hammer na niewiele nam się przyda. Tymczasem wy, moje drogie damy, możecie udać się na zakupy.

- Nie tak prędko, Valentine - zaprotestowała stanowczo. - Zdaje się, że o czymś zapomniałeś. Nie dalej jak dziś w nocy ktoś usiłował spalić nas żywcem. Czyżbyś sądził, że to sprawa Axbridge'a?

- Właśnie, skarbie - wtrąciła hrabina. - Sama też chętnie się tego dowiem. Chyba nie narobiliście sobie na wsi jakichś innych wrogów?

- Val owszem, ma ich teraz całkiem sporo - odparła Daisy, patrząc z uśmiechem na Redgrave'a. - Prawda, „skarbie”? Nie wiemy tylko, ilu ich jest ani kim dokładnie są. Ot, drobnostka.

- Bez przesady. Nie jest aż tak źle. Znamy co najmniej kilka nazwisk. Jednego nawet schwytałem i wysłałem do Redgrave Manor. Simon zapewne właśnie go przesłuchuje i nieźle sobie na nim używa. Ów człowiek to Harold Charfield vel Burn, jeden z mniej ważnych pracowników kancelarii Percevala.

- Jest jeszcze coś - powiedziała panna Marchant, zwracając się do Beatrice. - Być może Valentine jeszcze ci o tym nie wspominał... Otóż wygląda na to, że Towarzystwem kieruje kobieta.

Niewiele brakowało, a hrabina zakrztusiłaby się winem, które akurat przełykała.

- Nie może być! Kobieta? Przecież to właśnie kobiety padają ich ofiarami.

- Ta z pewnością nie jest niczyją ofiarą. Rzekłbym, że jest gorsza od nich wszystkich razem wziętych. Z tego, co widzieliśmy, większość jej się bała. W każdym razie miała u nich wielki posłuch.

Trixie wciąż kręciła z niedowierzaniem głową.

- Coś podobnego! Kobieta jest ich przywódczynią! Że też sama nigdy na to nie wpadłam. Był czas, że mogłam mieć ich wszystkich w garści!

- Nie wpadłaś na to, bo nie jesteś potworem - podsumowała Daisy. - Ta okropna kobieta własnoręcznie okaleczyła i zamordowała Mailera. Potem kazała zabić wszystkie dziewczęta, w tym moją siostrę.

- Pozbyła się też żony Charlesa i jej pokojówki - dodał Valentine. - To także zrobiła osobiście, jak sądzę. Jak już mówiłem, jest niewątpliwie najgroźniejsza z nich wszystkich.

- Fascynujące - stwierdziła Beatrice. - Ambitna i przepelniona nienawiścią do mężczyzn, którymi steruje. Jest kompletnie pozbawiona zasad i ludzkich uczuć. Zastanawiam się, czy uczestniczy w orgiach. Kto wie, może nawet nosi ze sobą pejcz?

- Możesz być pewna, babciu, kiedy ją schwytamy, będą to pierwsze dwa pytania, jakie jej zadam. Specjalnie dla ciebie i zaspokojenia twojej ciekawości. - Redgrave odstawił kieliszek i podniósł się z kanapy. - Jako że nadal nie wiemy, kto próbował zamienić nas w popiół, wybieram się do miasta. Może czegoś się dowiem. Wam życzę udanych zakupów. Spotkamy się w domu około piątej, zgoda? I błagam cię, Trixie, nie deprawuj mi narzeczonej.

Hrabina przewróciła oczami i spojrzała na niego z miną niewiniątka.

- Ależ naturalnie, synku. Będę grzeczna - obiecała, zerkając z uśmiechem na wybrankę wnuka. - Ja miałabym kogoś deprawować? Nie wiedziałabym nawet, jak się do tego zabrać.

Tym razem to Val przewrócił oczami, po czym schylił się, żeby pocałować na pożegnanie Daisy.

- Zaczekaj, Valentine - szepnęła mu do ucha. - Nie powiedziałaś Trixie o kochanku przywódczyni.

- Wcale nie zamierzałem jej tego powiedzieć - ostrzegł, starając się mówić jak najciszej.

Beatrice naturalnie wszystko doskonale słyszała.

- A więc jednak stoi za nią jakiś mężczyzna! Wybornie. Musicie koniecznie zdradzić mi szczegóły.

- Śmiało, Daisy - rzekł Val, siadając z powrotem obok niej.

Spojrzała na niego zdumiona i zaczęła mówić. Miała nieodparte wrażenie, że coś przed nią ukrywa.

- Zwracała się do niego Scarlet - dodała, zakończywszy krótką opowieść.

Babka i wnuk wymienili w milczeniu spojrzenia.

- Używają prostego kodu - odezwała się przygaszonym głosem hrabina. - Nie-trudno go rozszyfrować. Pseudonim zawsze nawiązuje do nazwiska. Burn dla Charfielda, Post dla Mailera, City dla Urbana. Przewiska przechodzą z ojca na syna.

- Więc jednak się nie myliłem?

- Nie, Val. Nie pomyliłeś się - powiedziała z westchnieniem Trixie. Wyglądała, jakby nagle przybyło jej co najmniej dziesięć lat. - Scarlet dla Redgrave'ów, choć

wasz dziadek i ojciec woleli, gdy nazywano ich „Nieomylnym Przywódcą” czy jakoś tak. Nie pamiętam dokładnie, w każdym razie coś równie niedorzecznego.

- Ale... to przecież niemożliwe... żeby ktoś z rodziny...? Prawda? - Daisy była tak wstrząśnięta, że z trudem wydobyła z siebie głos.

- Ja też w to nie wierzę, ale muszę zadać to pytanie, gdzie jest Max, babciu?

- Sama się nad tym zastanawiam. Posłałam po niego Richarda. Mam nadzieję, że zostanie go w Ostendzie. Nie mogłam poprosić o to żadnego z was. Towarzystwo wie o naszej rodzinie stanowczo zbyt wiele.

- To dlatego wszyscy jedziemy do Redgrave Manor... - domyśliła się panna Marchant. - Podobno macie tam fosę?

- Coś w tym rodzaju. Ku mojemu wiecznemu utrapieniu Maximilien nie dba o reputację, a odkąd jest pełnoletni, rzadko bywa w kraju. Nie przypuszczam, by ścigał członków bractwa pod własnym nazwiskiem. Jest odrobinę narwany, ale nie brak mu rozsądku. Z drugiej strony jeśli to nie on... to kto?

- Niewykluczone, że to przypadek - upierała się Daisy. - Zwyczajny zbieg okoliczności. Całe mnóstwo nazwisk zaczyna się od „Red”, Reddick, Reddell, Redburn, przykłady można by mnożyć.

Hrabina zamyśliła się, jakby coś jej przyszło do głowy.

- Zarówno Charles, jak i Barry niewątpliwie spółdzili całe tuziny bękartów. W samym Saltwood znalazłoby się ich z... O mój Boże, czy to możliwe? - popatrzyła z niedowierzaniem na Valentine'a.

Daisy z kolei spoglądała to na jedno, to na drugie, nie mając pojęcia, co się dzieje.

- Trixie? Val? Nic z tego nie rozumiem.

- Chwileczkę - uspokoił ją Valentine. - Zaraz wszystko zrozumiesz. Odrobina cierpliwości. - Zwrócił się ponownie do babki. - Mówiłaś, że będąc w Redgrave Manor, rozmawiałaś z dzierżawcami i służbą. Z kim konkretnie? Przypomnij sobie, to ważne.

Beatrice rozmasowała skronie.

- Tak, tak, właśnie się zastanawiam... Gawędziłam z Mildred, naszą starą kucharką, tą, która rozpieszczała cię w dzieciństwie słodkościami. I z siostrami Millerównami. Pamiętasz? To te stare panny, które pracowały niegdyś w mleczarni. Odkąd odeszły i zajmują się ogrodem, masło zupełnie zeszło na psy. Uwielbiają, kiedy im to powtarzam, zacne dusze. Kto jeszcze? Hm... Angus. Tak, Angus Cooper! Na pewno. On i wasz dziadek razem dorastali. Zawsze mi o tym przypomina. I nazywa nas swoją rodziną. To takie miłe. O Boże, czyżby...? Jak myślisz, Val? Czy to możliwe, żeby...?

- Angus Cooper. Ojciec Hugh, który z kolei jest ojcem Liama. W Saltwood mieszka kilkunastu Cooperów. I, jak to ujęłaś „całe tuziny” nieślubnych dzieci ojca i dziadka. Pytasz, czy to możliwe? Zaczynam wierzyć, że wszystko jest możliwe.

- Obaj byli wyjątkowo jurni. I żadnej nie przepuścili. Och, wybacz, dziecko, zdarza mi się powiedzieć o dwa słowa za dużo. To dlatego że wychowałam się w znacznie swobodniejszych czasach. Nie martw się, przywykniesz.

Daisy miała w głowie mętlik.

- Na pewno, ale skąd owi Cooperowie mieliby wiedzieć o Towarzystwie?

- Cała rodzina to kamieniarze, z dziada pradziada. To oni budowali, a przynaj-

mniej pomagali, przy budowie posiadłości Saltwood. Musieli wiedzieć o bractwie, może nawet o nedorzecznych pomysłach mojego pierwszego męża, który uważał się za potomka Stuartów i rościł prawa do królewskiego tronu.

- Wszystko zaczyna nabierać sensu - wymamrotał pod nosem Valentine. - Cooperowie znają jaskinie, podziemne tunele i tajne komnaty w okolicach Redgrave Manor, bo sami je budowali. Kiedy kota nie ma, myszy harcują. Pod nieobecność dziadka czy ojca zapewne myszkowali tam, gdzie nie trzeba. Być może czytali ich dzienniki albo natknęli się na biblię bractwa. Prawdopodobnie znają cały ceremoniał. To dlatego nowe wcielenie Towarzystwa posiadało tak rozległą wiedzę na temat swoich poprzedników. W końcu rozumiem, jak to...

- Zawsze mówi do samego siebie, kiedy się nad czymś zastanawia - przerwała mu Daisy, spoglądając na Beatrice. - Twierdzi, że głośno myśli. Do tego też pewnie się kiedyś przyzwyczaję. Valentine? Nadal tu jesteśmy. Zechcesz zwracać się także do nas?

- Och, wybaczenie. Zamyśliłem się. Pamiętasz, o czym rozmawiałaś z Angusem, babciu?

- Chyba o niczym ważnym... Siedzieliśmy przy domowej nalewce i wspominaliśmy dawne dzieje. Szkoda, że nie ma Richarda. Był wtedy razem ze mną. Ma lepszą pamięć niż ja... Czekaście... zdaje się, że... tak... jestem pewna... Powiedziałam, że ja i Angus jesteśmy prawdopodobnie ostatnimi pozostałymi przy życiu ludźmi, którzy pamiętają stare czasy. Chryste, czyżbym nieświadomie naraziła się na niebezpieczeństwo? Nie, to niemożliwe. Nie wierzę, żeby Angus pragnął mojej śmierci.

- Mnie też trudno w to uwierzyć, ale nie możemy wykluczyć takiej ewentualności. Powiem więcej, wydaje się, że to najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie całej sytuacji. Także pożaru.

Hrabina spojrzała z rozżaleniem na wnuka i ciężko westchnęła.

- To naprawdę straszne. Uważaliśmy ich niemal za rodzinę. Nie przyszło nam nawet do głowy, że hołubiliśmy śmiertelnego wroga. Jeśli nasze domysły są słuszne, to zyskali nad nami przewagę. Teraz to oni ścigają nas, nie na odwrót. Wiedzą za dużo. Mogą wyrzucić krzywdę Simonowi i Kate, zwłaszcza gdy zobaczą Charfiel-da... Domyślą się, że jest naszym więźniem, a wówczas... Drzę na samą myśl o tym, do czego mogą się posunąć.

Valentine klepnął się energicznie po udzie i wstał. Najwyraźniej podjął decyzję.

- Proponuję, żebyście ograniczyły zakupy do niezbędnego minimum. Kupcie tylko tkaniny. Resztą zajmie się w Saltwood miejscowa szwaczka. Musimy jak najprędzej wyjechać. Najdalej jutro z samego rana. Nie ma chwili do stracenia. Masz rację, babciu, Simon i Kate czują się bezpieczni, a znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Stangret - zaczęła wyliczać na palcach hrabina - dwóch lokajów na przedzie, dwóch z tyłu i dwóch ludzi w charakterze eskorty. Razem siedmiu mężczyzn do pilnowania zaledwie dwóch kobiet. W biały dzień, na Bond Street w Londynie. Czy to nie lekka przesada? Co złego może się stać? Cóż, jak widać, mój wnuk nie uznaje półśrodków.

Panna Marchant zarumieniała się lekko, przypomniawszy sobie upojne chwile w ramionach Valentine'a.

- W istocie, jest wyjątkowo... skrupulatny - przyznała bez wahania. Ja w każdym razie nie mogę narzekać. Zawsze czuję się przy nim wyjątkowa, dopieszczona i zaspokojona.

Lady Beatrice uśmiechnęła się ze zrozumieniem, jakby potrafiła czytać jej w myślach.

- Nie musisz siedzieć tyłem do kierunku jazdy, wiesz o tym, prawda?

- Och, wybaczone, zajęłam to miejsce z przyzwyczajenia. I proszę, broń Boże nie wspominaj o tej gafie Valentine'owi, bo znów urządzi mi wykład na temat różnic pomiędzy guwernantką i narzeczoną. Jak go znam, będzie pół dnia rozprawiał o tym, co mi wypada, a czego nie wypada robić.

Trixie wzdrygnęła się mimowolnie.

- Jesteś niezwykle praktyczna i rzeczowa, moja młoda damo - stwierdziła z uznaniem. - Powiedz no, kochasz mojego wnuka?

Daisy nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Nie zdążyła jeszcze przyznać się do tego przed samą sobą. Prawdę mówiąc, nawet nie zadała sobie tego pytania. Val zresztą też jak dotąd nie składał jej żadnych deklaracji.

- Mamy się pobrać.

- Nieistotne. W dzisiejszych czasach małżeństwo rzadko kiedy ma coś wspólnego z prawdziwym uczuciem. Majątek, długi, pozycja społeczna, tytuł, spłodzenie potomka... oto główne powody, dla których ludzie łączą się w pary. Wygoda, interes albo jedno i drugie.

- Wiesz, co przytrafiło się mojej siostrze. Zrobiłabym wszystko, żeby ją chronić, ale Val niczego ode mnie nie żądał. Nie zaproponował mi małżeństwa w zamian za pomoc Rose. Skorzystałybyśmy na tym tylko my dwie, on sam niczego by nie zyskał. Nie jestem przecież dobrą partią. Choć wspomniał, że... go skompromitowałam i że bezpowrotnie stracił przeze mnie reputację.

- Ha! - Beatrice z uciechy klasnęła w dłonie. - Posunięcie godne Redgrave'a, słowo daję. Zuch chłopak. Pozwól, że coś ci powiem, moja droga, znam tego nicponia lepiej, niż on zna samego siebie. Wiem, że nigdy nie robi niczego, czego nie chce zrobić. Czasem nie rozumie, dlaczego czegoś pragnie, ale kiedy już to osiągnie, prędzej czy później sam dojdzie do tego, co go ku temu popchnęło. Wczoraj zaraz po przyjeździe oznajmił mi, że za moment poznam najcudowniejszą, najmądrzejszą, najodważniejszą i najpiękniejszą dziewczynę, jaką nosi ziemia. Nie zapamiętałam całej tej litanii, ale uwierz mi, wychwalał cię pod niebiosa przez dobre pięć minut,

nie robiąc nawet przerw na złapanie tchu. Nie lada wyczyn, jak na mój gust. Kiedy schodziłam do bawialni, spodziewałam się ósmego cudu świata albo co najmniej Wenus, która nosi nad głową aureolę i żongluje mieczem oraz mądrą księgą.

- Wenus nie mogłaby żonglować. Nie miała ramion. - Daisy zaczynała się odprężyć. - Valentine to zacna dusza, choć upiera się, żeby mu tego nie mówić. Zupełnie nie rozumiem dlaczego. W końcu to szczerza prawda. Przypuszczam, że zwyczajnie jest skromny.

- Skromny? Valentine? Dobre sobie. Zdaje się, że właśnie odpowiedziałas na moje pytanie. Zupełnie niechcący, ale jednak. Tak samo jak on wczoraj. Wystarczyło popatrzeć na jego minę, kiedy rozprawiał o twoich rozlicznych cnotach. Oboje jesteście sobie warci i oboje świata poza sobą nie widzicie. To tylko sugestia, ale dobrze by było, gdybyście porozmawiali o tym otwarcie i szczerze wyznali sobie uczucia. Wspaniale jest oddać komuś serce i powiedzieć to na głos. Powiadam ci, to cudowne uczucie. Posłuchaj mojej rady, a sama się przekonasz.

Panna Marchant spuściła głowę, by ukryć rumieniec.

- Na pewno posłucham. To dobra rada.

Trixie uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

- Opowiedz mi więcej o waszych wyczynach w Fernwood, a zwłaszcza o uwolnieniu twojej siostry. Niewykluczone, że to właśnie ona doprowadzi do upadku Towarzystwa. To naprawdę ironia losu, że nosi imię Rose. Róża to przecież ich symbol. Idzie, zdaje się, o odebranie wianka niewinnym dziewczicom.

- Mojej siostrze na szczęście tego oszczędzono. Kiedy Mailer zwabił ją do swego domu, była wdową.

- Słyszałam, że Piffkin wziął ją pod swoje skrzydła.

- O tak, zajął się nią lepiej, niż zrobiłby to niejeden ojciec. Jest naprawdę cudowny.

- Wiem coś o tym. Swego czasu zajął się także mną. Był przy mnie, kiedy odchodził z tego świata mój pierwszy mąż. Pomógł mi przetrwać najczarniejszy okres w życiu. Pragnęłam mu się potem jakoś odwdziaczyć. Proponowałam wszystko, co tylko przyszło mi do głowy, ale on niczego nie chciał. Zażyczył sobie jedynie złotej koronki na ząb. Ot, taka zachcianka. Po latach poprosił, bym pozwoliła mu otoczyć opieką „panicza Valentine’a”. Ufam mu bezgranicznie, więc ty też możesz śmiało powierzyć mu siostrę. Ba, nawet własne życie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Podobnie jak ja powierzyłam mu niegdyś swoje i swojego wnuka.

- Tej nocy gdy uratowaliśmy Rose, poszedł na spotkanie z przestępcami uzbrojony w karbownicę. Potem zdjął surdut, a nawet koszulę, i oddał je nam, żebyśmy nie czuły się obnażone. Jestem przekonana, że gdyby trzeba było oddać życie za Valentine’a, pan Piffkin zrobiłby to bez najmniejszego wahania. Darzę go ogromnym szacunkiem. Już dawno nikt mi tak bardzo nie zaimponował.

Hrabina chwyciła za poręcz kanapy, kiedy powóz wszedł w ostry zakręt.

- Ty także zrobiłaś na nim ogromne wrażenie. Och, nie dziw się tak. Gdyby cię nie polubił, już bym o tym wiedziała. Dopóki nie spotkałam Richarda, wnuczęta były całym moim życiem. Pilnuję ich jak oka w głowie. Innymi słowy, ty i Val macie moje błogosławieństwo. Kto wie, teraz, kiedy znów jestem żoną, a większość moich wnuków się ustatkowała, może osiadę na wsi i jak przystało statecznej matronie, za-

cznę wyczekiwać z niecierpliwością prawników. Już teraz cieszę się na myśl o tym, że będę mogła rozpieszczać do woli kolejne pokolenie Redgra...

Kiedy ktoś otworzył z impetem drzwiczki, Daisy zareagowała instynktownie. Obawiając się, że Beatrice wypadnie na brukowaną jezdnię, chwyciła starszą panią za ramię i pociągnęła w swoją stronę.

Tylko dzięki temu Trixie uniknęła śmierci. Siedziała już na przeciwległej kanapie, gdy nóż intruza wbił się aż po rękojeść w tapicerkę.

Chwilę później rozpętało się istne piekło. Najpierw ktoś nieprzystojnie zaklął. Potem rozległ się huk wystrzału i napastnik padł z dziurą w plecach tuż pod nogi oniemiałych z przerażenia kobiet.

Na ulicy także zapanował chaos. Rozhisteryzowane damy mdlały lub wrzeszczały wniebogłosy, płosząc przy tym konie w promieniu co najmniej mili. Ich towarzysze próbowali zapanować nad sytuacją, względnie udawali bohaterów. Z marnym skutkiem, jak to zwykle bywa w takich razach.

Panna Marchant miała wrażenie, że upłynęła cała wieczność, zanim do powozu zajrzał jeden z członków eskorty.

- Wybiegł z bocznej alejki, kiedy skręciliśmy za róg - wyrecytował jednym tchem. - Przez moment nie wierzyliśmy własnym oczom, a on pędził jak oszalały. Nie zdążyliśmy go w porę zatrzymać. Nie miałem wyboru. Musiałem go zastrzelić. Czy nic paniom nie dolega?

- Chyba powinienesz być zacząć od tego pytania, Jackson, nie uważasz? - przemówiła władcym tonem hrabina i zajęła się wycieraniem krwi, która splamiła jej suknię. - Ale nie, ty wolałeś od razu uraczyć nas serią usprawiedliwień. Jakże istotnych w zaistniałych okolicznościach... Na szczęście jesteśmy całe i zdrowe, a to wyłącznie dzięki przytomności umysłu i refleksowi panny Marchant. - Posłała mu wymowne spojrzenie. - Nie dzięki wam. Bądź łaskaw na coś się przydać i usuń nam spod nóg ciało tego nieszczęśnika. Nie, czekaj! Najpierw go odwróć. Nie zaszkodzi przyjrzeć się jego twarzy.

- Ale... jaśnie pani, proszę mi wierzyć, nie chce pani kalać oczu takim wido...

- Dobrze ci radzę, młody człowieku, nie mów mi, czego chcę, a czego nie. Nigdy więcej.

Służący był tak wstrząśnięty rozkazem Beatrice, że na chwilę oniemiał.

- Rób, co mówi hrabina - interweniowała Daisy tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Jackson pokręcił głową, ale zrobił, co mu kazano.

- Nie powinny panie tego oglądać...

Zamachowiec okazał się bardzo młody. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Wyglądał bardziej na chłopca niż na dojrzałego mężczyznę.

- Słodki Jezu, nie. To nie może być on... - Trixie potrząsnęła głową i przyłożyła rękę do skroni. - Nie, nie wierzę... nie wierzę...

- Ostrzegalem panią.

- Jak mogli zrobić coś takiego? - Pochyliła się i zamknęła zmarłemu powieki. - Dlaczego przysłali właśnie ciebie? Byłeś jeszcze dzieckiem... Przeklęci tchórze! - Wychyliła się z powozu i krzyknęła na całe gardło: - Jesteście tam, łajdacy?! Patrzcie na swoje dzieło? Przyjrzyjcie się, coście narobili!

Daisy skinęła na Jacksona, który zabrał ciało, po czym przysunęła się do hrabiny.

- Kto to był? - spytała najdelikatniej, jak umiała.

- Liam Cooper, wnuk Angusa. Ostatnia osoba, którą ktokolwiek podejrzewałby o zbrodnię. Przemięty i dobroduszny chłopiec, choć niezbyt bystry... Wszyscy tak go lubiliśmy...

Kiedy tył powozu ugiął się pod ciężarem doczesnych szczątków Liama, Beatrice zalała się łzami.

Zauważywszy tłum gapiów, panna Marchant zasłoniła okna i dała stangretowi sygnał do odjazdu. Potem przytuliła mocno hrabinę, by dodać jej otuchy.

Redgrave'owie staną się bohaterami kolejnego skandalu, pomyślała, gdy toczyli się z wolna w kierunku Cavendish Square. Tym razem będzie to skandal z rozlewem krwi. Nie lada kąsek dla zepsutych plotkarzy z wyższych sfer.

Valentine krążył nerwowo po pokoju, dopóki nie ujrzał w progu narzeczonej.

- Jak ona się czuje? - zapytał bez zbędnych wstępów.

- Znacznie lepiej niż godzinę temu, kiedy rozmawiałeś z nią zaraz po naszym powrocie. Wygląda, jakby cały jej świat legł w gruzach. To naprawdę okropne... Ten chłopak był taki młody...

Val wziął ją w ramiona i pogłaskał ją po głowie.

- Niewiele brakowało, a ten „chłopak” zamordowałby nam babcię. Gdyby nie ty, pewnie już by nie żyła. Rozmawiałem z Jacksonem i resztą eskorty. Wszystko mi opowiedzieli. Nazwali cię bohaterką i wychwalali twoje męstwo i przytomność umysłu. Ponoć przejęłaś dowodzenie niczym generał. Do końca życia nie zdołam ci się odwdziżyć.

Odsunęła się odrobinę, by zajrzeć mu w twarz.

- Gruba przesada. Tak naprawdę nie wiedziałam nawet, co robię. Chwyciłam hrabinę odruchowo, z przyzwyczajenia. Odezwały się we mnie dawne nawyki guvernantki. Tak samo postąpiłabym z każdym z moich podopiecznych. Tak czy owak, drzę na myśl o tym, co by się wydarzyło, gdybym starym zwyczajem nie zajęła miejsca tyłem do kierunku jazdy. Gdybyśmy siedziały obok siebie, pociągnęłabym Trixie w bok, więc moja interwencja na niewiele by się zdała. Jeśli ją uratowałam, to tylko przez przypadek. Wcale nie jestem bohaterką.

Ucałował ją w czubek nosa.

- Jesteś, skoro ja tak mówię. Zapanowałaś nad sytuacją w chwili, gdy większość ludzi wpadłaby w panikę. Przede wszystkim zabrałaś powóz z Bond Street, zanim zjawili się żandarmi i zaczęli zadawać pytania. Wyjaśniłem im wszystko, kiedy zjawili się potem w domu. Niewiele da się zrobić. Pewnie huczy już o tym całe Mayfair.

- Beatrice wychyliła się na ulicę i zaczęła krzyczeć do tych, którzy nasłali Liama. Oskarżyła ich o to, że wysłali go na śmierć. Wtedy zbiegowisko zrobiło się jeszcze większe.

Valentine zacisnął powieki. Boże drogi, przemknęło mu przez myśl, ktoś mógł do niej wtedy strzelić. Poza tym jeśli Cooperowie istotnie byli na miejscu i słyszeli wrzaski babci, to pewnie właśnie pakują dobytek i uciekają z Saltwood. Będzie nieco trudniej ich znaleźć i ukarać, ale przecież Redgrave'owie nigdy się nie poddają i zawsze mają ostatnie słowo.

- Cóż, najwyraźniej żaden z członków naszej rodziny nie uznaje półśrodków -

rzekł po chwili milczenia. – O plotki nie musimy się martwić. Gideon ukręci sprawię łeb, tak jak to robił z wieloma innymi skandalami. To jego specjalność. Teraz mamy znacznie poważniejszy problem. Musimy jak najprędzej wracać do Redgrave Manor, a obawiam się, że babcia nie będzie w stanie ruszyć jutro w drogę.

Daisy podeszła do łóżka i usiadła.

– Trudno powiedzieć, czy będzie gotowa. Tęskni za mężem. Pewnie wolałaby tu na niego poczekać. Ma przecież sprowadzić do domu twojego brata. Jeśli go znajdzie.

– Skoro powiedziała, że Max jest w Ostendzie, to na pewno się nie myli. Babcia zawsze wie, gdzie jesteśmy i co robimy. Ma szpiegów dosłownie wszędzie. Każde z nas dostało własnego anioła stróża. Moim był Piffkin, przynajmniej do czasu, aż porzucił mnie dla twojej siostry.

– Nie przeszkadza wam, że Trixie was kontroluje?

Przycupnęła na materacu obok niej.

– Kiedyś przeszkadzało. Gdy byliśmy młodzi i narwani. Teraz udajemy, że nie mamy o tym pojęcia. Tak jest wygodniej. Przypuszczam, że babcia od samego początku starała się nas chronić przed mackami Towarzystwa.

– Myślisz, że mogła spisać całą swoją wiedzę w pamiętnikach i zagrozić, że je opublikuje, jeśli któremuś z was przytrafi się coś złego?

– Hm... niewykluczone. Z pewnością jest do tego zdolna.

Oparła mu głowę na ramieniu.

– Biedactwo. Mam nadzieję, że nie byliście dla niej zbyt wielkim utrapieniem.

– Sama widzisz, jaka jest siwa i pomarszczona – zażartował. – To wszystko przez nas. Na szczęście niebawem będzie się już martwić wyłącznie o Maksa. Co do mojej osoby, jestem pewien, że odetchnęła z ulgą, gdy przekazała mnie w twoje godne ręce. Teraz może wreszcie spać spokojnie.

– Będę twoją żoną, Valentine, nie piastunką.

Objął ją i pociągnął za sobą na posłanie.

– Ale ja potrzebuję piastunki, Daisy. Pomyśl tylko o kłopotach, w które się nieustannie pakuję... Choć przyznasz, że ostatnio pakowaliśmy się w nie razem. W przyszłości dla odmiany ty możesz uratować mnie...

– Wcale mnie nie uratowałeś. Uratowałam się sama. Ty się tylko napatoczyłeś, gdy byłam w połowie drogi...

– Z okna w dół. Półnaga i sama jak palec. W dodatku nie miałaś pojęcia, gdzie jesteś i w którą stronę pójść.

Westchnęła i pogłaskała go po policzku.

– Niech ci będzie. To ty mnie ocaliłeś, mój ty dzielny rycerzu w lśniącej zbroi. Możemy już o tym nie rozmawiać? Wiesz, że nie lubię tego wspominać.

– Wiem, ale wybacz. Ja raczej nie zdołam się powstrzymać i od czasu do czasu wspomnę to i owo. Kto wie, może nawet umieszczę notkę o owej nocy w swoich wspomnieniach. Może napiszę coś na stare lata...

Objął ją i zaczął rozpinać jej sukienkę.

– Bój się Boga, Val. Chcesz mnie zaciągnąć do łóżka? Teraz? W takiej chwili? Już zapomniałeś, co się dziś przydarzyło twojej babci?

– Ależ skądże, nie zapomniałem. Kazałem za to rozstawić wokół domu wartę. Je-

steśmy strzeżeni lepiej niż średniowieczna twierdza. Poza tym skoro musimy tkwić tu do rana, warto chyba umilić sobie czekanie? Jeżeli mi odmówisz, ani chybi popadnę w desperację. Byłbym wdzięczny, gdybyś zechciała pójść na współpracę. Jeśli się odwrócisz, rozprawię się z tymi guzikami znacznie szybciej.

Zachichotała i przewróciła się na drugi bok.

- Tylko bądź ostrożny. Zrujnowałam już dziś jedną sukienkę twojej siostry.

- Niczego nie obiecuję.

Przyglądała mu się bez skrępowania, gdy kilka minut później pozbywał się własnego odzienia.

- Nie powiedziałeś mi jeszcze, czy widziałeś Axbridge'a ani czy on i Hammer to ta sama osoba.

- Owszem, widziałem go, gdy wychodził z własnego banku. To nasz człowiek. Nosi rękę na temblaku, więc nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- Co ty wyczyniasz, Val? - zapytała, kiedy wskoczył do łóżka i dorwał się do niej jak wygłodniały wilk. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale jej na to nie pozwolił.

- Dość tego gadania, moja pani. Teraz będziemy oddawali się przyjemnościom, które na szczęście nie wymagają użycia słów.

Kiedy jakiś czas później odpoczywali w czułym uścisku, ich serca były jednym rytmem. Valentine pomyślał, że są dla siebie stworzeni.

- Kocham cię, Daisy - szepnął jej wprost do ucha. - I właśnie dlatego chcę się z tobą ożenić. Myślę, że kochałem cię od samego początku. To dlatego nalegałem, żebyś wyjechała z Fernwood. Wiedziałem, że jeśli zostaniesz, nie będę potrafił się z tobą rozstać.

Nie odpowiedziała, więc odsunął się nieco, żeby na nią spojrzeć.

- Daisy?

- Czy to Trixie namówiła cię, żebyś mi to powiedział? - zapytała w końcu.

Wszystkiego się spodziewał, ale nie tego.

- Nie. Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

- Mnie też kazała to zrobić. Zaledwie kilka godzin temu. Jej zdaniem oboje świata poza sobą nie widzimy i w związku z tym powinniśmy szczerze porozmawiać o naszych uczuciach. Czy to nie dziwne, że...

- Właśnie o nich rozmawiamy?

- W rzeczy samej. Dziękuję ci, że mnie kochasz i... wzajemnie.

Roześmiał się ubawiony sposobem, w jakim złożyła swoją miłosną deklarację.

- Rozumiem, że ty też mnie kochasz, tak? - spytał dla pewności. - A... od jak dawna wiesz, że... odwzajemniasz moje uczucia?

Spojrzała na niego z taką powagą, że natychmiast zapragnął znów porwać ją w ramiona.

- Od dzisiaj. Pojęłam to rano w drodze na Bond Street. Nie ma we mnie za grosz romantyzmu. Zanim cię poznałam, sądziłam, że nigdy się nie zakocham, a już na pewno nie wyjdę za mąż. Ale ty nie dawałeś mi spokoju. Uparcie dążyłeś do swego.

Pogładził ją po policzku i uśmiechnął się.

- Cóż, jak każdy Redgrave jestem bardzo wytrwały.

- Nie tylko wytrwały, lecz także odważny, zabawny i odrobinę szalony. Poza tym

znakomicie radzisz sobie z dziećmi i jesteś niezrównanym kochankiem.

- Skąd wiesz? Przecież nie miałaś przede mną innych kochanków.

- Wiem, bo nie mogę znieść myśli, że mógłby mnie dotykać jakiś inny mężczyzna. Nikomu innemu nie pozwoliłabym się do siebie zbliżyć i z nikim innym nie zrobiłabym tego, co robię z tobą. Ufam ci bezgranicznie. Wiem, że nigdy byś mnie nie skrzywdził. Dlatego bez lęku i wstydu oddaję ci swoje serce i ciało. Trixie powiada, że wspaniale jest powiedzieć to na głos. Ma rację. Cieszę się, że to właśnie ty stałeś mi się tak drogi.

Valentine był tak wzruszony, że na moment zaniemówił. Pomyślał, że chyba na nią nie zasługuje.

- Ja też bardzo cię kocham, Daisy - powtórzył i pocałował ją czule w usta. - Żałuję tylko, że nie będziemy mogli opowiadać naszym dzieciom anegdot o tym, jak się poznaliśmy.

Roześmiała się i wtuliła w niego jak w poduszkę.

Nie wiedzieli, co ich czeka, ale tej nocy byli tak szczęśliwi, że nic nie zamięciło im snu.

Kiedy Trixie, Daisy i Val zjechali do Redgrave Manor, rodzina była niemal w komplecie. Tymczasem Cooperowie po ponad stu latach w Saltwood ulotnili się i przepadli jak kamień w wodę. Wszyscy, co do jednego. Szczęśliwie zjednoczona rodzina Redgrave'ów czekała już tylko na powrót najmłodszego z braci, Maximilliena.

[1] Mowa o królu Anglii, Jerzym III. Okres panowania: 1760-1810. Ceniony i niezwykle popularny monarcha pod koniec 1810 roku podupadł na zdrowiu. Prawdopodobnie cierpiał na porfirię, która objawia się między innymi halucynacjami i depresją. W związku z ograniczonym kontaktem z rzeczywistością Jerzy III zrezygnował ze sprawowania władzy na rzecz swego syna Jerzego, księcia Walii, późniejszego Jerzego IV. Lata pomiędzy 1810 i dniem śmierci Jerzego III w 1820 r. nazywane są okresem regencji, bowiem w zastępstwie niedysponowanego ojca władzę sprawował wówczas książę regent (*przyp. tłum.*).

[2] Brytyjski polityk (1762-1812). Miał sześciu synów i sześć córek. Zginął z ręki zamachowca, Johna Bellinghama, kupca, którego interesy podupadły po tym, jak niesłusznie skazany spędził kilka lat w więzieniu (*przyp. tłum.*).

[3] Ang. *Lord Chancellor* - sędzia najwyższy i przewodniczący Izby Lordów (*przyp. tłum.*).

[4] Nieduże, masywne wieże obronne ze strzelnicami, służące do obrony wybrzeża przed flotą inwazyjną. Budowane w pierwszej połowie XIX wieku w czasie wojen napoleońskich (*przyp. tłum.*).

[5] Imię bohaterki „Daisy” to także rzeczownik pospolity oznaczający stokrotkę (*przyp. tłum.*).

[6] William Cowper (1731-1800), angielski poeta okresu sentymentalizmu związany z nurtem wiejskim. Autor licznych hymnów i pieśni religijnych. Uważany za jednego z prekursorów romantyzmu (*przyp. tłum.*).

[7] Jedna z najsłynniejszych europejskich budowli megalitycznych z epoki neolitu lub brązu. Znajduje się w pobliżu Salisbury w południowej Anglii. Składa się z wałów ziemnych otaczających duży zespół stojących kamieni (*przyp. tłum.*).

[8] Ang. „char” znaczy „zwęglić”, „osmalić się”. Słowo „burn” z kolei oznacza „(s)palić się”, „płonąć”, „przypalić się”, „oparzyć się” (*przyp. tłum.*).

[9] Łac. „Witaj, Cezarze, pozdrawiają cię idący na śmierć.” - słowa, które gladiatorzy rzekomo kierowali do cezara przed wejściem na arenę (*przyp. tłum.*).

Spis treści

Strona tytułowa

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Przypisy

Strona redakcyjna